

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

Octobre 1967

Cena 3/6
\$ 0.50; 2.50 F.



SYRENA

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

PAŹDZIERNIK

1967

Nr 39/1186



Zaczął się nowy rok szkolny dla dzieci polskich na obczyźnie. W różnych krajach, w polskich domach społecznych, częściej w użyczonych szkołach obcych w soboty czy niedziele szumi polska mowa, rozbrzmiewa polska piosenka. A po godzinach lekcyjnych zbierają się jeszcze gromady zuchowe, drużyny harcerskie, zespoły teatralne, tańców ludowych.

Cała ta praca wciągająca tysiące, ma jeden

cel: zachowanie młodego pokolenia dla Polski. Odbywa się wspólnym wysiłkiem rodziców, nauczycieli, księży z udziałem organizacji społecznych.

Płyną lata. Rośnie, gęstnieje młody las urodzonych na obczyźnie. Zwiększają się potrzeby organizacyjne, kulturalne, materialne. Wychowanie narodowe to trud ogromny — sprostać mu może tylko zgodny, wytrwały wysiłek całej społeczności polskiej.

FP 2156

W NUMERZE :

Z. Stahl: De Gaulle w Polsce	1
K. Trębicki: Z czego nie możemy zrezygnować?	3
T. Norwid: Uwagi na temat infiltracji reżymowej	4
S. Wójcicki: Moja i Twoja Europa	7
F. Goldschlag: Lekarz i pacjent	8
A. Stambrowski: Rządy pułkowników	11
Soviética	13
M. Paszkiewicz: Pocałunek kamienia	14
K. Brzozowska: W romantycznym Paryżu	17
H. Jankowska: Luigi Pirandello w cieniu własnych tragedii	20
Klara Evans: Koniec Romanowych	22
W. Günther: „Siostry“	24
S. Legeżyński: Trójwymiarowy Picasso	25
M. Wilczewska: Z Kazachstanu do Polski	26
J. Pększyc: Drzewiej	28
Kage: Kronika wojskowa	30
K. B.: I cóż dalej Afryko?	31
Z życia polskiego	32
K. E.: Przeważnie dla pań	34
k. b.: Z różnych dziedzin	35
J. Ostr.: Notatnik kulturalny	36
J. Orłowska: Tajemnica Pawła	37
K. Trębicki: Śp. Prof. Tytus Komarnicki	38
A. Cz.: Śp. Prof. Adolf Fierla	39
Książki i wydawnictwa nadesłane	39
Świat się śmieje	40

KSIEGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.

Skład główny wydawnictw Polskiego Instytutu Historycznego

★

POLSKIE SIŁY ZBROJNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Tom I cz. 1 — Kampania wrześniowa 1939. Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną.	30s
Tom I cz. 2 — Kampania wrześniowa 1939. Przebieg działań, 1—8 września.	42/6
Tom I cz. 3 — Kampania wrześniowa 1939. Okres trzeciej kampanii, 9—14 września.	50s
Tom I cz. 5 — Kampania wrześniowa 1939. Marynarka wojenna i obrona polskiego wybrzeża.	30s
Tom II cz. 1 — Kampania na obczyźnie. Wrzesień 1939 — czerwiec 1941.	35s
Tom III — Armia Krajowa.	52/6

★

STEBNIK W. — Zarys działań wojennych armii „Kraków“ w kampanii wrześniowej 1939 r.	19/6
--	------

★

Wojna a potencjał gospodarczy — Zeszyt I.	12s
---	-----

WÓDKI I LIKIERY NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI

J. A. BACZEWSKI

Lwów

1782

Wiedeń

Wiśniówka — Krupnik — Starka — Wiśniak
Jarzębiak — Malinowa — Tea Rum — St. Bernhard

Importowane przez:

PODOLIA COMPANY LIMITED

Zamówienia kierować do:

PODOLIA CO. LTD. — 687-9, Manchester Old Road,
Rhodes-Middleton nr. Manchester, Lanc's. Tel.: 643-8301
lub do:

J. A. BRUCE & CO. — 9, Lenthal Place,
London, S.W. 7. Tel.: 373 5808

Żądać wszędzie

Ceny przystępne

FRANCJA de Gaulle'a w ślad za Ameryką i Anglią weszła na drogę polityki koegzystencji z Sowietami i komunizmem, ale w imię innych założeń. Podczas gdy mocarstwa anglo-saskie zakładają „nieuchronną“ demokratyzację komunistycznych ustrojów, nacjonalista de Gaulle wierzy w tryumf nad komunizmem pierwiastków narodowych. Mimo, że zaproszony przez komunistów, pojechał więc do Polski, aby imieniem narodu francuskiego podać rękę narodowi naszemu, choćby ponad głowę narzuconego reżymu.

We wszystkich mowach prezydenta Francji ta myśl się przewijała. Przypominał tradycyjne więzy swego kraju i Polski, wspólne dziedzictwo cywilizacji i wiary, wreszcie wskazywał na analogie położenia międzynarodowego, na łączące oba narody przymierza i wspólne walki przeciw tym samym wrogom. Podkreślał dalej, że podobnie jak Francja dąży do zupełnej niezależności w świecie, Polacy winni usamodzielniać swoją politykę, oczywiście — bez wskazywania palcem — od Rosji. Aby też dać ramy międzynarodowe, tej większej, polskiej niezależności, wprowadził de Gaulle pojęcie „Europy Środkowej“, jako trzeciego rejonu między zachodnią a wschodnią. Nie wahał się też prezydent kilkakrotnie wspominać serdecznie swój pobyt w Polsce przed 40 laty, choć wiadomo, że było to z okazji wojny polsko-bolszewickiej i w służbie naszej sprawy.

De Gaulle z naciskiem podkreślał swoje poparcie dla granicy na Odrze i Nysie, choć zarazem ignorował NRD i występował za zjednoczeniem Niemiec. Nazwał Zabrze, na ziemiach odzyskanych najbardziej polskim z miast i złożył hold ofiarom Oświęcimia.

Wizyta prezydenta Francji w Polsce nie przyniosła efektów dyplomatycznych, ale to chyba nie było jej celem. De Gaulle, choć nie przekonał — wbrew swemu optymizmowi — komunistów, ożywił więzy narodu naszego z Zachodem, podniósł społeczeństwo polskie na duchu, umocnił je w narodowej odporności na komunizm i sowiecką dominację. Za to należy się mu szczerza wdzięczność.

JESZCZE JEDEN ŚWISTEK PAPIERU

Znane, cyniczne powiedzenie, że międzynarodowe układy to zaledwie świstki papieru, potwierdziło się jeszcze raz i to w sposób szczególnie jaskrawy. Dnia 24 sierpnia 1967 Moskwa i Waszyngton wniosły równocześnie, choć osobno, jednobrzmiące projekty układu przeciw rozpowszechnianiu się broni wodorowej. Taki zgodny wniosek zapowiadany był po czerwcowym spotkaniu Johnson-Kosygin i miał być wyrazem tzw. ducha Glassboro, jako symbolu nowego zbliżenia amerykańsko-sowieckiego.

Zbliżenie takie nie może być miłe żad-



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 39/1186

PAŹDZIERNIK, 1967

Rok XXVI

PRZEGLĄD POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

DE GAULLE W POLSCE

nym szczerym wyznawcom sprawy wolności narodów, ani tym bardziej narodom przez Sowiety ujarzmionym, które swoje nadzieje chciały by wiązać z polityką Stanów Zjednoczonych. Nie może on być miłe zwłaszcza, gdy ma trwale zapewniać wspólną supremację uzbrojenia wodorowego obu tym supermocarstwom, czyli zarazem utrwałać ich współrządy nad światem. Toteż, duch Glassboro, jako stała wytyczna polityki światowej był by dla nas raczej upiorem.

Nie będziemy więc ronili łez z tego powodu, że wniesiony na porządek obrad Genewskiej Konferencji Rozbrojenia amerykańsko-sowiecki projekt ma wszelkie szanse powodzenia w końcu do kosza, w charakterze jeszcze jednego świstka papieru. Ma on takie szanse przede wszystkim dlatego, że świeci białą plamą w tym punkcie, który dla powodzenia paktu jest najistotniejszy. Pierwszy artykuł projektu mówi, że państwa rozporządzające broniąmi nuklearnymi zobowiązują się nie przekazywać ich nikomu, drugi — że nie posiadające ich obiecują nie starać się o nie i nie przyjmować ich, trzeci — tymczasem in bianco — przewiduje międzynarodową kontrolę przyjętych zobowiązań i wreszcie czwarty — przyznaje wszystkim państwom prawo do prowadzenia badań, produkcji i używania energii wodorowej dla celów pokojowych.

Sprawa kontroli zbrojeń wodorowych była zawsze główną przeszkodą w zawarciu poważnego układu rozbrojenia między mocarstwami Zachodu a Sowietami, które na żadną skuteczną formę inspekcji w swoich granicach się nie godziły. Brak uzgodnienia tego punktu w sierpniowym projekcie nie jest więc niczym niespodziewanym. Dziwne jest raczej, że tak wadliwy projekt zo-

stał przez Moskwę i Waszyngton w ogóle wniesiony, a jeszcze dziwniejsze, że obaj partnerzy bardzo go zachwalali. Prez. Johnson nazwał go „wielkim darem dla przyszłych pokoleń“.

Ten „wielki dar“ ma zresztą, oprócz braku gwarancji kontrolnych, jeszcze inne zasadnicze niedomagania. Wiadomo mianowicie z góry, że nie przyłączy się do amerykańsko-sowieckiego projektu dwa państwa, które już bronią wodorowe posiadają, czyli Francja i Chińska Republika Ludowa. W rezultacie, także z tego powodu genewski projekt nie może kandydatem do podpisu żadnego zabezpieczenia gwarantować. W szczególności, nie będzie on odstręczał od wyrzeczenia się broni nuklearnych tych państw, które już — jak Indie czy Izrael — nad własnymi reaktorami atomowymi pracują. Sowiecko-amerykański projekt nie może więc ich zabezpieczać — nawet gdyby w końcu jakieś gwarancje kontrolne doń wprowadzono — przed bronią wodorowymi pochodzenia choćby chińskiego.

Mimo obłudnych zachwałania projektu przez Waszyngton i Moskwę, nie znalazł on przychylnego echa nawet w prasie, propagującej z reguły wszelkie objawy koegzystencji amerykańsko-sowieckiej. Londyński „Observer“ z 27 sierpnia br. ocenił go bardzo sceptycznie i stwierdził, że podpisanie układu przez „różne państwa wschodniej Europy, Afryki czy Ameryki Łacińskiej było by minimalnego znaczenia“.

SUPER-MOCARSTWA I KRAJE ŚRODKOWEGO WSCHODU

Minęły dawno czasy, kiedy o sprawach Środkowego Wschodu rozstrzygały Anglia i Francja, minął krótki okres po drugiej wojnie światowej, kiedy decydo-

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

**Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.**

wały oba mocarstwa anglosaskie, przy czym Stany Zjednoczone, które początkowo wkroczyły tam dla postawienia tamy ekspansji sowieckiej, stopniowo usuwały na plan drugi partnera brytyjskiego.

Ostatni kryzys wojny arabsko-izraelskiej odsonił rzeczywistość nową, mianowicie dwugłosu amerykańsko-sowieckiego, w miarę którego równoważenia się uzyskują tym większą swobodę same kraje tego rejonu świata, próbując obejść się bez interwencji zewnętrznej. Sprzecznosci interesów i zadrażnienia uczuciowe między Izraelem a Arabami zdają się jednak wciąż być zanadto głębokie, aby móc rolę supermocarstw wyeliminować. Możliwości zresztą rozżarzania wspomnianych sprzecznosci i zadrażnień od zewnątrz, przede wszystkim ze strony Rosji Sowieckiej, są tak znaczne, że zupełne ich opanowanie przez rządy państw Śr. Wschodu nie wydaje się realne jeszcze długo.

Najpoważniejszą dotychczas próbą uzgodnienia polityki między krajami arabskimi w własnym zakresie była konferencja „na szczycie” czyli ich głów państwa, która pod koniec sierpnia obradowała w stolicy Sudanu, Chartumie. W rzeczywistości na trzynaście reprezentacji krajowych, zaledwie osiem miało na swoim czele głów państwa, a pięć tylko ministrów. Do pierwszej kategorii należały: Egipt, Arabia Saudyjska, Jordania, Irak, Kuwait, Jemen (prezydent Sallal, czyli stroną republikańską), Liban i Sudan, którego prezydent El Azhari otworzył konferencję, a premier Mangub odegrał na niej dużą rolę, zwłaszcza w doprowadzeniu do porozumienia między prez. Nasserem a królem Arabii Saudyjskiej Fejsalem w sprawie Jemenu. Nie przybyli do Chartumu szefowie tych państw, które są skrajnie umiarkowanym skrzydłem, jak monarchie Libii, Maroka i Tunizji, albo nieprzejednanym w stosunku do Izraela — jak Algieria i Syria.

Na konferencji chartumskiej odniósł zwycięstwo obóz, który można by określić jako w dzisiejszym świecie arabskim centrowy, stanowczy wobec Izraela, ale realistyczny w ocenie swoich aktualnych możliwości i umiarkowany w planowanych metodach, obóz któremu przewodzi egipski prez. Nasser. Uznania Izraela ani prowadzenia z nim rokowań obóz ten nie zamierza, ale nie będzie też przygotowań do rychłego odwetu wojskowego, ani wojennych pogroźek. Kanał sueski nie zostanie otwarty, ale postanowiono znieść embargo na naftę, co pozwoli bogatym w to cenne paliwo krajom udzielić nieodzownych pożyczek Egiptowi oraz Jordanii. Egipt otrzyma £90 milionów dla wyrównania strat, ponoszonych na skutek zamknięcia Kanału, a Jordania — £40 milionów na najpilniejsze potrzeby, wynikiłe z utraty najrozdajniejszej części swego terytorium i Jerozolimy, do której turystyka była poważnym źródłem jej dochodów.

Kluczowym dla osiągnięcia w Chartumie porozumienia ogólnego stał się układ między Egiptem a Arabią Saudyjską, uzgadniający powstrzymanie się od dalszej interwencji wojskowej w Jemenu. Układy takie były już zawierane poprzednio bez realnych następstw, ale tym razem rzekomo decyzja obu stron jest poważna. Nasser obiecał wycofać z Jemenu swoje wojska, wspierające tam zbrojnie od pięciu lat republikanów Sallala, a król Fejsal — zobowiązał się wstrzymać pomoc, jakiej udzielał jemeńskim monarchistom. Tajna umowa przewiduje jakoby, w trzy do sześciu miesięcy po wycofaniu wojsk egipskich z Jemenu, plebiscyt ludności w sprawie ustroju państwa. Ma się on odbyć pod nadzorem trzech państw arabskich: Iraku, Maroka i Sudanu.

SUKCES I DALSZE TRUDNOŚCI

Konferencja w Chartumie okazała się sukcesem świata arabskiego, ponieważ osiągnięto tam szerokie porozumienie i nakreślono program umiarkowany i realistyczny. Wyraziła ona też dążenie Arabów do obchodzenia się przynajmniej w dziedzinie najważniejszej bez szukania protekcji mocarstw. Niemniej, od posta-

nowień przy stole obrad do wykonania nakreślonej polityki prowadzi nieraz droga daleka i trudna, zwłaszcza dla zmiennego, swarliwego i uczuciowego charakteru Arabów. Tym trudniej przyjdzie im urzeczywistnić ustalony program, że wpływy zewnętrzne nie pozostawią ich w spokoju. Głównie Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka, w porozumieniu czy rywalizacji między sobą, bezpośrednio czy poprzez Organizację Narodów Zjednoczonych będą wywierały nacisk w kierunku jakiegoś kompromisu, w którym będzie im chodziło przede wszystkim o własny interes. Moskwa zresztą nie wypuściła bynajmniej Śr. Wschodu ze swoich „opiekuńczych” skrzydeł, których roztoczenie nad tym obszarem świata ułatwiła jej znakomicie ostatnia wojna. Podróż jugosłowiańskiego Tity, bez wątplenia odbyła się za wiedzą i błogosławieństwem Sowietów, a konferencję chartumską przywódcy Kremla pozdrowili bardzo serdecznymi depeşami. Ambasadorem w Kairze został dyplomata pierwszorzędnego kalibru, poprzednio reprezentant sowiecki w Paryżu — Winogradow. Jest charakterystyczne, że Moskwa nie wahała się wysłać na placówkę w antyizraelskim Egipcie dyplomata żydowskiego pochodzenia, którego pierwotne nazwisko brzmi Weinstein.

Trudności, na jakie natrafia realistyczna polityka Nassera, akceptowana na ogół w Chartumie, ale mająca przeciw sobie zastarzałe namiętności i głęboko wkorzone sprzeczności świata arabskiego, dały o sobie znać bardzo szybko w samym Kairze. Oskarżony o spisek przeciw prezydentowi, jego najbliższy przyjaciel, internowany marszałek Amer popełnił samobójstwo, co ujawniło zarazem i pogłębiło kryzys, przez jaki w rezultacie czerwcowej klęski Arabowie, zwłaszcza w Egipcie, przechodzą. Droga od emocji i fanatyzmu w polityce do trzeźwej oceny otaczającej rzeczywistości nie jest krótka, ani łatwa. Póki rządy arabskie nie zdecydują się na bezpośrednie rokowania z Izraelem, eliminacja zewnętrznych wpływów mocarstw i komunistycznej dywersji na Śr. Wschodzie będzie zadaniem nad siły.

Zdzisław Stahl

Polski sklep WESTERN PROVISION STORES

200, Warwick Road, London, W. 14.

Tel.: 603 6221

**Bogato zaopatrzone we wszystkie
artykuły żywnościowe kontynentalne i miejscowe**

DOSTAWY BEZPŁATNIE (W NAJBLIŻSZEJ OKOLICY)

Ceny konkurencyjne.

Obsługa szybka.

Z czego nie możemy zrezygnować

WARTYKULE pod tytułem: „Czy możemy zrezygnować?“ (Orzeł Biały, lipiec-sierpień, 1967 r. No. 36/7), p. Marian Kałuski omawia przyszłość ziem zagarniętych przemocą i bezprawnie wcielonych do Związku Sowieckiego na podstawie decyzji teherańskich i jałtańskich wielkich mocarstw. Zabór ten nie mógł przekreślić naszych praw wynikających z tego traktatu. Ziemi te stanowiły część terytorium odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej w myśl dobrowolnie zawartego w r. 1921 polsko-sowieckiego traktatu pokojowego, podpisanego w Rydze. Traktat ten pozostawiał we władaniu Rosji Sowieckiej znaczny obszar Rzplitej przedrozbiorowej, położony na wschód od granicy ryskiej aż do granic 1772 roku. Obszar ten w ciągu około 400 lat należał do Rzplitej Obojga Narodów. Zarówno terytorium położone między dzisiejszą faktyczną granicą polsko-sowiecką, a granicą ryską, jak też między tą ostatnią, a granicami 1772 roku, nie było nigdy etnograficznie polskie, to znaczy, że element polski był tam zawsze w mniejszości. Natomiast jedynie aktywny politycznie w ówczesnych mało demokratycznych czasach przedrozbiorowych — bardzo zresztą zróżniczkowany — „naród“ szlachecki, niezależnie od pochodzenia i wyznania, był w większości szczerze przywiązany do swej państwowości czyli Rzplitej. Ten czynnik oraz długotrwałe działanie kultury polskiej spowodowały stopniowe narastanie elementu polskiego o charakterze z natury rzeczy przywódczym. Że uważanie kultury polskiej za własną było istotniejszym od pochodzenia czynnikiem wzmacniającym element polski, uwidacznia się najlepiej w zagęszczaniu się elementu tego w ogniskach tej kultury, ewentualnie w rejonie najsilniejszego ich promieniowania. Choćby krótkie naszkicowanie stosunku elementu polskiego do elementów większości niepolskiej, ten obszar zamieszkującej, a więc dzisiejszych Białorusinów, Litwinów, Ukraińców i Żydów — rozsadzilibyśmy ramy niniejszego artykułu. Wystarczy stwierdzić, że Rzeczpospolita przedrozbio-

rowa usiłowała stworzyć podstawy zgodnego i opartego na tolerancji współżycia różnych ludów pod dachem wspólnej państwowości. Konsekwentnie polska penetracja kulturalna unikała tendencji antagonistycznych, nie wypierała, lecz przenikała i łączyła się z kulturami, z którymi wchodziła w bezpośredni kontakt na wschodzie. Myśl państwowa Rzplitej osiągnęła duże sukcesy na północnym wschodzie, natomiast w wyniku specjalnie trudnych i zawiąskanych warunków, przede wszystkim społecznych, załamała się na południowym wschodzie. Wojny kozackie, niewątpliwie, bardzo przyczyniły się do upadku Rzeczypospolitej przedrozbiorowej i katastrofy rozbiorów. Okres zapoczątkowany przez ten fakt historyczny oraz długotrwałe panowanie wrogiej wszelkiemu postępowi i niezdolnej do rozładowania napięć społecznych Rosji carskiej na całym tym obszarze — zakończył się wybuchem rewolucji październikowej w Rosji w wyniku przegranej wojny 1914-18 r. Niezależnie od losu poszczególnych rejonów, zapoczątkowuje to okres generalnej likwidacji roli przywódczej żywiołu polskiego na obszarach o większości niepolskiej. Tak się dzieje w Litwie Kowieńskiej. Tam, gdzie sięga panowanie Sowieców tj. na wschód od sztucznie przecinającej obszar dawnej Rzeczypospolitej granicy ryskiej, niszczy się metodami państwa totalnego nie tylko stanowisko przywódcze, lecz i likwiduje się element polski, redukując go do minimum. Na obszarze na zachód od granicy ryskiej Polska niedość skutecznie i konsekwentnie usiłuje zbyt powoli, jak się okazało, jak na czas, który miała do rozporządzenia, rozwiązać sprawy narodowościowe i społeczne. Wynik Drugiej Wojny Światowej pozwala Sowiecom na dokończenie rozpoczętego dzieła niszczenia elementu polskiego aż po Bug i San. Jest to tym tragiczniejsze, że w ręce sowieckie wpadły tym razem ogniska kultury, Wilno i Lwów.

Choć dzieło zniszczenia nie jest całkowicie zakończone, stoimy wobec chwilowej ruiny dzieła Polski Jagiellońskiej. Można, jak to robi

reżym komunistyczny w Polsce, odwrócić się do tego dzieła dosłownie plecami, pozbawiając przez to Polskę wszelkiej samodzielnej racji bytu. Albo też — i to jest jedyna polityka, którą winien reprezentować obóz niepodległościowy — stoi się przed zagadnieniem odzyskania wolności i niepodległości narodów z polskim włącznie — zamieszkujących obszar Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Ponieważ solidarność polityczna całego tego obszaru jest zapewne nie jedynym, ale niezbędnym warunkiem odzyskania niepodległości, bezpieczeństwa i rozwoju tego obszaru — rozgraniczenia wewnętrzne powinny mieć drugorzędne znaczenie. Stawianie na pierwszym planie sporów granicznych między nami a naszymi wschodnimi sąsiadami, dowodzi zupełnej niezdolności wyciągnięcia koniecznych konkluzji z gorzkich doświadczeń przeszłości. Patrząc dziś na te spory w czasie krótkotrwałego okresu odzyskanej niepodległości, odnosi się wrażenie widoku dzieci, budujących przeciw sobie fortyfikacje z piasku na brzegu morza przed jego przypiływem.

Zaleca sypanie takich szanów z piasku i pan Kałuski i to w czasie trwania zalewu. Trzeba żywić szacunek i podzielać miłość do stron rodzinnych, dziś pod bezpośrednim uciskiem sowieckim, można też wierzyć autorowi artykułu, że przywiązanie do tych stron, a zwłaszcza do kuźnic kultury, jak Wilno i Lwów, jest wciąż żywe w przesuniętej na zachód dzisiejszej Polsce. Ale to nie wystarcza na zbudowanie koncepcji politycznej, ani nie tłumaczy zupełnie zignorowania istniejącej rzeczywistości i naszkicowanego powyżej, pobieżnie, tła historycznego. Czyśto uczuciowe przywiązania nie bywają trwałe i pan Kałuski nie zgłasza już roszczeń do obszarów na wschód od granicy ryskiej. Nie dlatego, żeby element polski był tam w swoim czasie mniej silny i zasłużony, czy zwłaszcza mniej kochający swe strony rodzinne, lecz nieświadomie dlatego, że ucichły lub cichną na emigracji głosy pochodzące ze stron, które katastrofa dziejowa dotknęła dwadzieścia lat wcześniej.

Dlatego dochowanie wierności uczuciom indywidualnym, choćby najmocniejszym, nie może stać w sprzeczności z niepomiernie ważniejszym dochowaniem wierności Ojczyźnie, w pierwszym rzędzie jej obliczu duchowemu, to znaczy wartościom nieprzemijającym, które są źródłem natchnienia dla przemijających pokoleń narodu. Oblicze duchowe Polski na wschodzie było wyraźnie chrześcijańskie i tolerancyjne i kłęski następowały niechybnie, gdy na skutek błędów swoich i nieswoich, Rzeczpospolita sprzeniewierzała się temu obliczu.

Pan Kałuski zapomina, że nie my jedni jesteśmy przywiązani do stron rodzinnych, że miasta kochane przez parę narodów mogą rozkwitnąć jedynie w atmosferze przyjaźni, a nigdy nienawiści. Że kult Matki Boskiej Ostrobramskiej nabiera wtedy dopiero mocy duchowej, jeśli łączy w miłości do siebie, a nie dzieli poważnione nacjonalizmy.

Pan Kałuski zdaje się zapominać, że dominującym faktem na zaanektowanych przez Sowiety w wyniku ostatniej wojny obszarach, wcieloonych do sowieckich republik Litwy, Białorusi i Ukrainy jest panowanie imperializmu rosyjskiego w jego ko-

munistycznej postaci. Artykuł nawet nie wymienia Rosji, ani Sowie-tów, wspomina tylko ogólnikowo o „bezpříkladnej russyfikacji“ tych ziem, nie precyzując, że russyfikacja dotyka wszystkich nie-Rosjan, a więc jest groźnym memento, wzywającym ciemiężone ludy do solidarnej obrony swej odrębności narodowej i wspólnej walki o wolność. Artykuł woli nie widzieć tego zasadniczego aspektu i poświęca swą uwagę rywalizacji elementu polskiego z innymi narodami tego obszaru. Czyni to w dodatku za pomocą argumentów niezgodnych z rzeczywistością lub wręcz obraźliwych dla naszych naturalnych sojuszników w walce o wolność. Zrozumienie dla naszego punktu widzenia usiłuje przedstawić jako rezygnację z własnych postulatów narodowych. A samozwańcze dzielenie narodu ukraińskiego na Rusinów „pod każdym względem bardziej zbliżonych do Polaków niż do Ukraińców naddnieprzańskich“ jest i odległe od prawdy i byłoby śmieszne w swej naiwności, gdyby nie musiało wywołać uzasadnionego oburzenia zainteresowanych. Można sobie wyobrazić co byśmy, Polacy, powiedzieli w 1919 r., gdyby Niemcy nam dowodzili, że Wielkopolanin czy Ślązak, mają więcej wspólnego z narodem niemieckim niż z resztą

Polski. Własny patriotyzm winien chyba ustrzec od równie nietaktownego traktowania cudzych uczuć narodowych.

Można ubolewać, że znajdują się ludzie uważający syntezę demagogii z bezmyślnością za najlepszą metodę służenia interesom narodowym. Można jeszcze bardziej ubolewać, że znajdują się inni, którzy dostrzegając zarówno demagogię jak i bezmyślność, nie wydają się szczerze przekonani o konieczności polepszenia stosunków z naszymi wschodnimi sąsiadami. Ale można być pewnym, że znajdą się też zawsze tacy, którzy odbudowanie przyjaźni naszej z naszymi wschodnimi sąsiadami będą uważali za duchową spuściznę naszej przeszłości, za zasadniczą i podstawową przesłankę naszego narodowego i politycznego odrodzenia. Nie możemy zrezygnować z dorobku Jagiellonów, którym był Grunwald, Unia Lubelska i Ugoda Hadziacka. Z roli Polski jako bastionu wolności i postępu społecznego na wschodzie Europy. Nie możemy zwłaszcza zrezygnować ze zgodnego współżycia narodów na podstawie równości w imię obrony wspólnych wartości w okresie, gdy ta obrona staje się nakazem chwili dla całej Europy i przyszłości świata.

Kazimierz Trębicki

TADEUSZ NORWID

UWAGI NA TEMAT INFILTRACJI REŻYMOWEJ

NIEBEZPIECZEŃSTWO infiltracji reżymowej zostało docenione przez organizację polityczną emigracji polskiej w W. Brytanii i innych krajach — niestety, zbyt późno. Wysiłki reżymu w celu infiltrowania, rozłożenia i stopniowej likwidacji wszystkich organizacji naszej emigracji o charakterze niepodległościowym datują się co najmniej od lat 10-ciu. Nie brak było w tym czasie głosów ostrzegawczych ze strony Polaków lepiej obeznanych ze strategią i taktyką komunizmu i lepiej poinformowanych o akcji reżymowej. Głosy te jednak traktowano i w kuchni politycznej naszych organizacji i w ogromnej większości prasy niepodległościowej — jako głosy fanatyków, antykomunistów z czarnym podniebieniem, stanowiących ofiarę własnej obsesji i malujących diabła w zbyt przejaskrawionych kolorach. Tak było — należy to dla porządku skonstatować. Ten kilkuletni okres bierności i nieuzasadnionej wiary w stuprocentową

odporność i nieugiętość własnych szeregów w ośrodkach kierowniczych naszej emigracji politycznej ułatwił niezmiernie reżymową krecią robotę przygotowawczą, przede wszystkim na terenie W. Brytanii, a także i w innych krajach Europy. Gdyby nasze czynniki kierownicze społeczno-polityczne na emigracji wcześniej zorientowały się w metodach reżymu, jeśli chodzi o bezpośredni dostęp i wpływ na emigrację — który dziś jest już faktem — można było infiltrację reżymową skuteczniej zwalczać i do dzisiejszego zaangażowania nie dopuścić. Ale nie jest jeszcze za późno, jak się sądzi w kołach proreżymowych.

WALKA Z EMIGRACJĄ POLITYCZNĄ

Znaczna część naszej emigracji uległa propagandzie reżymowej, głoszącej, że emigracja polityczna jest całkowicie bez znaczenia, jako czynnik polityki narodu. Rezultatem tego była z jednej strony

pasywna postawa wielu uchodźców w stosunku do organizacji politycznych emigracji, Skarbu Narodowego i postawy negatywnej w stosunku do narzuconego krajowi przez Sowiety — reżymu. Była to pierwsza i najważniejsza przegrana w wojnie psychologicznej, którą reżym prowadził konsekwentnie od początku swego istnienia przeciw naszej emigracji politycznej. Wolna prasa polska poza granicami Kraju nie doceniła znaczenia tej tezy propagandowej i nie wyszła dość skutecznie na jej spotkanie.

Teza o bezsilności emigracji politycznej w ogóle, a polskiej w szczególności, jest typową półprawdą. Choć kierownictwo polityczne oparte na większości Polaków na uchodźstwie nie jest organizacją państwową, uznawaną przez inne państwa i może tylko pośrednio i w minimalnym stopniu wywierać swój wpływ na arenie międzynarodowej — jest ono na dłuższą metę ośrodkiem,

w którym nadal istnieje żywa i czynna idea niepodległości. Emigracja polityczna, mówiąc obrazowo, posiada w depozycie tę ideę, której uciskanemu przez sowiecki komunizm krajowi pod groźbą represji nie wolno ujawniać, choć wiadomo, że naród polski pod okupacją partii komunistycznej swoich dążeń niepodległościowych się nie wyrzekł, i liczy, że emigracja będzie o tym świadczyć.

Reżym docenia szczególnie ten aspekt emigracji politycznej, który w dłuższych okresach czasu działa jako bomba czasowa, jej wybuch jest pewny, gdy nastąpią bardziej sprzyjające okoliczności historyczne. Komuniści polscy wiedzą i nie zapomnieli, jaką rolę odegrała emigracja w ciągu 125 lat panowania zaborców w Polsce i jak walnie się przyczyniła do odzyskania niepodległości w roku 1918. Sowieccy mentorzy PZPR wiedzą nie tylko to, ale mają w świeżej pamięci fakt, że Lenin i Trocki też byli długoletnimi emigrantami politycznymi. Carat wtedy też głosił tezę bezsilności rosyjskiej emigracji politycznej. Tezie o braku jakiegokolwiek znaczenia emigracji politycznej głoszonej przez reżym, całkowicie zaprzecza zainteresowanie, wysiłek i znaczne koszty, jakie reżym uruchamia w celu pozabawienia emigracji jej charakteru politycznego jako wyrazicielki prawa Narodu Polskiego do pełnej niepodległości.

WYGRYWANIE OPORTUNIZMU

To osłabienie, czy też czasami rezygnacja z ambicji i postawy niepodległościowej, dość dużej części naszej emigracji, pod wpływem wyżej wspomnianego zwycięstwa propagandy reżymowej otworzyły drogę do grania na uczuciach oportunistycznych wśród dużego odłamu emigracji polskiej. Skoro się zapomniało racje, dla których nie wrócić do kraju po roku 1945 (lub przestało w nie wierzyć), nie ma powodu do odmawiania sobie wygodnego rozwiązania swoich problemów osobistych. Realia są ważniejsze od mrzonek i ideałów. Polska ludowa — to zjawisko realnie istniejące — obliczona na daleką metę walka o niepodległość narodu na tle beznadziejnego dziś układu stosunków w Europie — to chimera, walka z wiatrakami. Tego rodzaju zdania można bardzo łatwo i często usłyszeć od polskich uchodźców, którzy nie wrócili do kraju w swoim czasie, odmawiając uznania reżymu i poddania się jego władzy.

Drugim, niemniej ważnym, choć pomocniczym nurtem propagandy reżymowej jest twierdzenie (tylko częściowo słuszne) o rozbięciu politycznym i wzajemnym skłóceniu ośrodków kierowniczych emigracji. Propaganda ta znalazła

wdzięczny oddźwięk wśród szerokiej rzeszy emigracyjnych i wpłynęła na rosnący brak zainteresowania politycznego. Teza ta również nie była dostatecznie zwalczana przez nasze ośrodki propagandowe.

A było to przecież tak łatwo tłumaczyć, że jeśli 1/4 narodu żyje na obczyźnie i jeśli emigracja polityczna obejmowała po wojnie nie tylko pewne klasy społeczne, lecz w swej strukturze była rzeczywiście częścią całego narodu, to jest rzeczą jasną, że w części tej muszą grać te same przeciwieństwa, które cechują normalną wielopartyjność społeczeństwa — wielopartyjność, która na pewno zachowałaby się, gdyby kraj nasz nie stracił wolności. Dlatego prawdziwa i narodowa (a nie klasowa) emigracja polityczna zawsze była i będzie polem starć różnych ugrupowań o różnych przekonaniach, w dziedzinie wewnętrznej. O żadnym „rozbięciu“ i „skłóceniu“ nie może być mowy, dopóki ta emigracja zachowuje solidarnie swoją postawę w stosunku do kraju, walcząc w jego imieniu o prawo narodu do niepodległości.

Na tym odcinku reżym również prowadzi propagandę w złej wierze. I reżym i Sowiety wiedzą świetnie, że różnice poglądów politycznych wśród emigrantów świadczą raczej o jej żywotności i aktywności, niż degeneracji. Emigracja rosyjska przed rokiem 1914, (a nawet i dzisiejsza emigracja polityczna z Sowietów) była niepomniernie bardziej skłócona i rozbita, niż dzisiejsza emigracja polska. Uchodźcy sowieccy mieli wiele programów walki z białym i czerwonym caratem. My mamy tylko jeden program: pogonić komunistów z Polski i umożliwić wolne wybory. Potem partie mogą i powinny się dalej zwalczać.

Środowisko polskie, być może pod wpływem otoczenia, szczególnie w Anglii, notorycznie nie docenia znaczenia wojny psychologicznej, jaką w mistrzowski sposób potrafią prowadzić komuniści. W środowisku tym jednocześnie lekceważy się propagandę ofensywną, jako broń główną w wojnie psychologicznej, a te jednostki, które rozumieją potrzebę takiej ofensywy, uważa się za reakcjonistów, osoby kopnięte na punkcie komunizmu lub cichych spryciarzy i cwaniaków, chcących przez tę ofensywę osiągnąć własne cele. Jest to po części zrozumiałe, gdyż w Anglii i w Stanach Zjednoczonych takie właśnie jest nastawienie do wojny psychologicznej i do propagandy. Tymczasem komuniści mają całkiem odwrotne zdanie w tej sprawie. Ich propaganda toczy się bez przerwy, konsekwentnie, w olbrzymiej skali i przy pomocy gigantycznych środków na całym świecie. I zwycięża. Jej największym zwycięstwem jest niesłuchany wzrost niechęci i niepopularności

USA na całym świecie i coraz większa powszechność wiary w kłamliwy slogan, że antykomunizm jest „niedemokratyczny“, reakcyjny, jest produktem ciemnoty politycznej, brakiem inteligencji no i w ogóle — jest niesalonowy, nieprzyzwoity, jest czymś, co powinno być obce współczesnemu człowiekowi kulturalnemu. I to wbrew wszelkiej oczywistości — na którą „nie wypada“ się powoływać, jeśli się nie chce narazić na powyższe zarzuty. Ten szacunek dla „nie wypada“ — jest widoczny w znacznej części prasy emigracyjnej i to też na najwyższym poziomie.

Ale mała to pociecha, że nie tylko nasza emigracja polityczna, ale i największe mocarstwa świata przegrywają wojnę psychologiczną z komunizmem i placą za to klęskami politycznymi i zmniejszającymi się wpływami na całej kuli ziemskiej. My, emigranci polityczni, bezpośrednio zaangażowani w walkę z uciskiem i okupacją kraju przez filię sowieckiej partii komunistycznej — powinniśmy w tych problemach orientować się lepiej.

Sytuacja dzisiejsza na polu dalszej obrony przed ofensywą infiltracji reżymowej nie jest najlepsza. Reżym zdołał przez swoje agenty zagraniczne i przez skuteczną robotę polityczną wśród dużego odłamu emigracji oczyścić przedpole, zneutralizować w pewnej mierze jej nieprzejednaną postawę niepodległościową i stworzyć cały aparat za granicą nastawiony na pełne wykorzystanie, zrozumiałych skądinąd, tendencji oportunistycznych wśród masy uchodźczej i na innych słabościach.

KONSEKWENCJE WYJAZDÓW DO KRAJU

Jak z grubsza wyglądają funkcje tego aparatu wszyscy wiemy. Wystarczy tu tylko krótko wspomnieć o najważniejszych. A więc:

Wyjazdy do kraju ze wszystkimi skutkami — 1). Uznanie reżymu przez wzięcie wizy w konsulacie reżymowym. 2). Uzależnienie się od tegoż konsulatu na przyszłość, gdyż reżym może dać albo odmówić wizy na drugi raz, może dać lub nie dać wizy wyjazdowej osobom z rodziny lub krewnym, których uchodźca chciałby sprowadzić do swego kraju pobytu itd. 3). Jest stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że reżym z funkcji udzielania wiz robi instrument presji. Znany jest szereg faktów, że konsulaty reżymowe udzielają wiz lub pozwoleń obywatelom Polski Ludowej na wyjazd za granicę, pod warunkiem, że uchodźca wystąpi z organizacji politycznych emigracji, nie będzie prenumerował, ani ogłaszał się w niepodległościowych pismach emigracji etc. —

(Ciąg dalszy na str. 6)

4). Z punktu widzenia prawa międzynarodowego — uchodźca wyjeżdżający do swego kraju, z którego uciekł lub do którego nie wrócił w obawie prześladowań i pozostaje za granicą w charakterze emigranta politycznego — traci swój status i staje się zwykłym emigranem zarobkowym z chwilą gdy odwiedzi swój kraj rodzinny. Innymi słowami, nic nie stoi wówczas na przeszkodzie do wydalenia go przez władze kraju pobytu — do jego poprzedniej ojczyzny, która też musi go wówczas przyjąć. 5). Polacy, którzy nabyli obywatelstwo obce i z obcym paszportem wyjeżdżają do kraju — są nadal uważani za obywateli PRL przez jego władze, jeśli nie otrzymali formalnego zezwolenia tych władz na zmianę obywatelstwa. W żadnym jednak wypadku Polacy z zagranicznym paszportem (np. angielskim czy francuskim) nie korzystają z opieki konsulatów tych krajów pobytu znajdujących się w Polsce (np. konsul. angielskich i francuskich). 6). Jest również stwierdzonym wielokrotnie faktem, że w stosunku do wielu uchodźców polskich odwiedzających kraj, wywierano brutalną presję w celu zmuszenia ich do podpisania umowy o współpracę z UB — w celach szpiegowania emigracji politycznej po powrocie do kraju pobytu, a często w celu prowadzenia roboty wywiadowczej przeciw krajowi pobytu w interesie Paktu Warszawskiego. Władze policyjne, zarówno w Anglii, jak i innych krajach doskonale o tym wiedzą. Nie zwiększa to zaufania administracji lokalnej do polskich uchodźców, a zwłaszcza do tych co odwiedzają Polskę. W stosunku do tych ostatnich można przewidywać nawet zastosowanie zbiorowej represji przez władze kraju pobytu — w razie specyficznego zaostrzenia sytuacji politycznej na gruncie międzynarodowym.

APATIA I NAIWNOŚĆ ŻEREM DLA PROPAGANDY

Są to wszystko fakty i okoliczności, które powinny być znane uchodźcom polskim. Z faktów tych nie wyciąga się jednak wniosków. Dlaczego? Taki jest nastrój np. w wielu naszych organizacjach politycznych i społecznych. Nie mówi się o tym. Np. w roku 1958 Rada Główna SPK powzięła uchwałę, że wszyscy członkowie zarządów krajowych i kół SPK, którzy z różnych względów wybierają się do Polski, mają przed wyjazdem zrzec się swego mandatu. Odnośnie Zarządy mogą, po powrocie danego członka SPK przywrócić mu ten mandat lub nie. Jest to rozsądna uchwała, defensywna, właśnie skierowana przeciw infiltracji — tj. przeciw tolerowaniu w swoich Zarządach członków SPK, którzy w czasie odwiedzin w Pol-

sce mogli uleść presji i indoktrynacji reżymu i po powrocie stać się wtyczkami reżymowymi w organizacjach SPK na różnych szczeblach. Uchwała ta dażyła do upełnomocnienia Zarządów SPK do obrony przed tego typu wtyczkami, gdy mają dostateczne powody po temu. Wszyscy wiemy, że uchwała ta na ogół nigdzie nie była wykonywana, poza nie-licznymi wyjątkami, i że była i jest niepopularna. Propaganda reżymowa zwalczała i ośmieszała tę praktyczną i celową uchwałę wszelkimi dostępnymi środkami. Niestety, jest cały szereg polskich organizacji społecznych, które lekceważą znaczenie infiltracji reżymowej. Trudno to nazwać inaczej niż zupełnie fantastycznym brakiem poczucia rzeczywistości, niezbędnej czujności w obronie przed ofesywą reżymu. Nie należy zamykać oczu na elementarną prawdę: ilość reżymowych wtyczek rośnie i będzie rosła tak długo jak organizacje i instytucje infiltrowane nie będą stawiać żadnego oporu. Albo trzeba się zdobyć na akt odwagi cywilnej, spojrzeć prawdzie w oczy i wyciągnąć z tego logiczne wnioski — albo się pogodzić z rosnącą ilością wtyczek i coraz intensywniejszą infiltracją — jako złem koniecznym, którego się nie ma siły i odwagi zwalczać. Reżym buduje swoje plany i nadzieje, wyłącznie na tym stanowisku — tj. bierności, apatii i tchórzostwie cywilnym w ośrodkach politycznych i społecznych uchodźstwa.

Reżym rozbudował niepomiernie swój aparat ekonomiczny za granicą w celu zarówno kontrolowania jak i „przekupywania“ uchodźców. Cała organizacja PKO jest na to nastawiana. Bardzo duża liczba uchodźczych firm paczkowych, biur podróży w Europie etc. jest zależna finansowo i kontrolowana przez reżym.

Najlepszy dowód, jak z miejsca i jednocześnie wiele z tych firm przestało się ogłaszać w polskiej prasie niepodległościowej, np. w Anglii, na polecenie agentury reżymowej — w celu zwalczania tej prasy. Stwarzając pewne wygody dla emigracyjnych oportunistów — agentury reżymowe za granicą zarabiają wielkie sumy na polskich klientach tych firm. Sumy te są następnie obracane na „przekupywanie“ emigracji — stąd niesłychanie tanie wycieczki zbiorowe do Polski, do których reżym musi pośrednio dopłacać, stąd kolonie dla dzieci uchodźców w Polsce (gdzie się więcej uczą miłości do Sowieców i Górniki, niż języka i polskości). Tymi środkami reżym finansuje anty-niepodległościową akcję, prasę i propagandę reżymową wśród uchodźstwa.

Propaganda ta chwytła, żerując na naiwności wśród wielu uchodźców, zaliczających się nawet do emigracji walczącej. Występy chórów, zespołów baletowych, teatrów krajowych zbierają

tłumy emigrantów polskich, choć wszyscy wiedzą, jaki jest ich cel rzeczywisty. To samo dotyczy krajowych filmów propagandowych, literatury i prasy sprowadzanej z Polski i za pół darmo lub w ogóle darmo wtykanej uchodźcom polskim. Proreżymowe gadzinówki, są przez emigrację czytane, choć rzadko kupowane lub abonowane. Po co? W praktyce każdy kto chce może je dostać za darmo. Jest ciekaw i czyta. O to tylko o to chodzi.

Nie ulega wątpliwości, że jedynym skutecznym środkiem obrony przed infiltracją w dziedzinie kulturalnej, najgroźniejszej, bo najszybciej prowadzącej do reorientacji politycznej wielu słabszych głów i charakterów na emigracji — mogłoby być tylko ignorowanie i bojkot tych wszystkich marek reżymowych w dziedzinie kultury, literatury i prasy. Ale można się jednocześnie spytać, ilu jest w praktyce takich, nawet wśród naprawdę niezłomnych, którzy się zdobędą na otwartą postawę bojkotu i ignorowania tych właśnie marek infiltracyjnych reżymu? I ilu takich co są gotowi z odkrytą przyłbicą głosić ten bojkot i ignorowanie jako część programu obrony przeciw infiltracji?

Reżym nie operuje już dziś żadnymi amatorskimi siłami w walce z emigracją polityczną. Prawie wszyscy urzędnicy konsulatów PRL, służby zagranicznej i służby handlu zagranicznego etc., którzy pracują lub przyjeżdżają za granicę przeszli specjalny kurs przeszkolenia w ramach UB na temat taktyki w walce o neutralizację polityczną i rozkład wszelkich organizacji i instytucji emigracji niepodległościowej. Ale działalność tego aparatu i jego efektywność zależy przede wszystkim od zdobycia odpowiedniej ilości wtyczek w tych organizacjach, gdyż bez tych wtyczek cała robota infiltracyjna i propagandowa nie byłaby możliwa. Najlepszym przykładem jest taktyka ZBOWiDu, tego kukułczego jaja UB i Moczara.

Polskie środowisko uchodźcze zdradza niezrozumiałą i nieumotywowaną wrażliwość na krytykę i oszczerstwa propagandy reżymowej... Jest jasne, że każdy uchodźca pozbawiony iluzji i mający poczucie rzeczywistości, który będzie odważnie i czynnie zwalczał propagandę, wtyczki i umizgi „kulturalne“ reżymu będzie przez agentury reżymowe nazwany reakcjonistą, faszystą i w ogóle „ciemną masą“.

Zapominamy o tym, że pasywnie poddając się ofensywie infiltracji reżymowej — też nazywani jesteśmy przez te agentury, faszystowskimi psami, czarną reakcją itp., jeśli nie zdrajcami, szpiegami CIA lub niemieckimi, zło-

(Dokończenie obok)

MOJA I TWOJA EUROPA

KSIĄŻKA Zbigniewa Grabowskiego „Ojczyzna Europa“^{*)} wydana w sierpniu przez Gryf Publication Ltd. w Londynie, stanowi wynik zamierzenia, niezmiernie rzadkiego w literaturze światowej, a zupełnie bez precedensu w naszej literaturze politycznej. Grabowski postawił sobie za cel przedstawienie, jak to sam określa, „psychoanalitycznego“ portretu poszczególnych krajów Europy po wstrząsie, wywołanym na kontynencie Europejskim drugą wojną światową. Do pracy tej autor przystąpił w oparciu o imponujący zapas pra-

^{*)} Zbigniew Grabowski: *Ojczyzna Europa*. Tom I-II. Gryf Publications Ltd., London, 1967. Stron 488.

dziejami, bandytami i zbrodniarzami seksualnymi. W praktyce więc nikt z nas nie ma nic do stracenia, jeśli nie będzie się przejmować tymi zarzutami.

Najmniej przyjemny i najdotkliwszy jest dla wielu emigrantów politycznych zarzut „integralnego antykomunizmu“ lub „zacofania“ albo „reakcyjności“. Wielu z czołowych ludzi emigracji walczącej wydaje się unikać tego zarzutu, co musi prowadzić do szukania postawy kompromisowej lub bierności i cofania się przed bezwzględny, a więc skutecznymi metodami zwalczania roboty reżymowej. Bardzo rzadko się czyta i słyszy np. pogląd, że polski emigrant polityczny — nie musi zwalczać komunizmu jako takiego, jeśli z nim sympatyzuje, a więc nie musi być „reakcyjny“, może być w tym sensie „postępowy“. Postawa niepodległościowa oznacza przede wszystkim, wrogość i bezwzględne zwalczanie tego komunizmu, który przez PZPR okupuje i uciska nasz kraj i który rządzi w Polsce nie na skutek wolnych wyborów, lecz został narzucony przez sowieckie bagnety.

Tylko wolne wybory, w wolnym państwie mogą decydować o jego ustroju — i to jest istota postawy niepodległościowej. Nie ma ona wiele wspólnego z programami demokratycznych partii.

Nie obronimy się przed infiltracją i robotą rozkładową reżymu, jeśli będziemy się bać lub liczyć z jego krytyką i jeśli zabraknie nam odwagi cywilnej do stosowania skutecznych, choć może nie zawsze przyjemnych środków i metod walki z nią. I już czas rozstać się z wahaniami i złudzeniami. Albo — albo. Albo przeżyjemy jako emigracja polityczna — albo skapitulujemy przed reżymem.

cowicie zgromadzonych wiadomości, czerpanych zarówno z literatury i to wielu działów, od belestryki poczynając, a kończąc na filozofii — jak i z własnych, liczących podróży po opisywanych przez siebie krajach. Na sumienne podejście do swego zadania przez Grabowskiego wskazuje fakt, że w swych szkicach analitycznych pominął dwa państwa Europy Zachodniej, a więc Finlandię i Portugalię. Jak widzimy, trudnego zadania podjął się pisarz, chyba najbardziej z pośród literatów emigracyjnych do tego powołany. Warto się teraz zastanowić, w jakim stopniu cel, postawiony sobie przez Grabowskiego, został przez niego osiągnięty.

Obszerna, bez mała pięćsetstronicowa „Ojczyzna Europa“ podzielona jest na dwa tomy. W ramach pierwszego Grabowski omawia cztery wielkie mocarstwa zachodnie: Anglię, Francję, Włochy i Niemcy, a w drugim pozostałe państwa Zachodu. Zaczniemy od początku, od Anglii. Autor spogląda bardzo krytycznym wzrokiem na przemiany, które w tym kraju zachodzą, podkreślając kryzys, któremu właściwie podlegają w tej chwili wszystkie tradycyjne instytucje brytyjskie, stanowiące dotychczas podstawę tego, co można by nazwać politycznym kośćcem kraju: monarchia, parlament, system dwupartyjny, Wspólnota. Widzi wśród młodzieży brytyjskiej, mimo głośnego buntu „gniewnych młodych ludzi“, objawy pustki życiowej i neurastenii, a u robotnika brytyjskiego — niechęć do ciężkiej pracy. Przyznając, że tzw. „państwo opiekuńcze“ pomnożyło sumę szczęścia zbiorowego, Grabowski wskazuje, że z drugiej strony w Anglii odbywa się przemiana umysłowości narodowej z przedsiębiorczej, awanturniczej, entrepreneurskiej, na umysłowość urzędnika, któremu chodzi tylko o gwarancję pracy i płacy. Omawia on obszernie specyficzne problemy charakteru angielskiego, wyniki setek lat pracy, włożonych w wyhodowanie typu gentlemana, u którego najwyższą cnotą była kontrola przejawów swych uczuć. Nie pomija też zagadnienia homoseksualizmu, dochodząc wreszcie do wniosku, że naród angielski, niebawem prężny i agresywny przez szereg stuleci, obecnie przeżywa okres zmęczenia, a zmęczenie to przejawia się nie tylko w przeobrażeniach, jakim obecnie ulega charakter angielski, ale również w linii polityki angielskiej. Dla niektórych z nas tego rodzaju wniosek, połączony z raczej pesymistycznymi prognozykami na przy-

szłość, może się wydać zbyt minorowy, ale nie ulega wątpliwości, że jest on przez Grabowskiego doskonale umotywowany. Zresztą autor sam wytrąca krytykowi oręż z ręki, stwierdzając, że i on ma wrażenie, że szkic o Anglii wypadł krytyczniej od innych, ale tłumaczy to argumentem, zasługującym na szacunek. Wszyscy: Europa i cały świat, spodziewali się po powojennej Anglii tyle we wszystkich dziedzinach, a spotkali się w większości wypadków — z rozczarowaniem, tak, że każdemu z nas trudno jest się uwolnić od poczucia zawodu.

Zająłem się nieco obszerniej szkicem, dotyczącym Anglii, aby zilustrować podejście, jakie sobie obrał Grabowski w swej pracy. Bierze on pod uwagę w swej analizie niemal wszystkie czynniki, które mogą rzucić trochę chociażby światła na charakter narodowy; pisze o instytucjach politycznych, o nastrojach i dążeniach poszczególnych grup społecznych, o zagadnieniach ekonomicznych, o sprawach kościoła, o sztuce i literaturze, ba! nawet o kuchni, jeśli mu to potrzebne dla zilustrowania jakiejś swojej tezy. W pewnych wypadkach posługuję się obszernymi wspomnieniami z własnych podróży, ale służą one konsekwentnie do lepszego naświetlenia poruszanych przez niego problemów. Oczywiście, każdy z nas żywi cieplejsze, nie zawsze zresztą obiektywnie uzasadnione uczucia pod adresem tego czy innego państwa i niejeden z takich bardziej bezkrytycznych miłośników może się poczuć dotknięty ostrą analizą Grabowskiego, skierowaną pod adresem „jego“ państwa. Zwłaszcza dotyczy to szkicu o Francji, w którym nasi zawodowi „frankofile“ znajdują na pewno dość pozytywki do oburzania się przez dłuższy czas. Ale ponieważ autor bynajmniej nie stara się narzucić czytelnikowi swych poglądów, a jedynie dąży do przekonania go, więc nikt nie może mieć do niego osobistych pretensji; zamiast tego, trzeba znaleźć przeciwne argumenty, a z tym często może być trudniej, bo Grabowski przygotowany jest do swego zadania doskonale.

Naturalnie, w książce tego typu muszą istnieć pewne różnice między poziomem poszczególnych szkiców; zagadnienia niektórych państw pasjonują autora, podczas gdy w innych bierze górę tylko sumiennosc badacza. Byłbym w kłopotcie, gdyby mi kazano wyróżnić któreś z opracowań Grabowskiego; natomiast dwa z nich (Belgia i Turcja) nie

wydają się stać na poziomie pozostałych. Muszę też, niestety, dodać, że korekta ładnie wydanej książki jest niedbała.

To wszystko są jednak drobne usterki w pracy, która w polskiej literaturze politycznej jest unikatem. Unikatem zarówno na temat, jak i na obiektywizm, na oderwanie się od obciążającego naszą prozę polityczną podejścia do każdego państwa i do każdego politycznego zagadnienia wyłącznie z punktu widzenia emocjonalnego obciążenia „sprawą polską“. Gdyby jeszcze udało się kiedy Grabowskiemu uzupełnić swoją książkę szkicami o komunistycznej części Europy, o czym wspomina w słowie autorskim, mielibyśmy dzieło, jakiego nie ma w bez porównania bogatszych od naszej literatury politycznych, odzwierciedlające przemiany, zachodzące w psychologii narodów europejskich po drugiej wojnie światowej. No, ale i w obecnej formie książka Grabowskiego jest niezwykle cennym wkładem do naszej politycznej prozy.

I wreszcie kilka słów na temat tego, kto powinien się z tą książką zapoznać. Obawiam się, że większość naszego czytającego społeczeństwa może „na niewidzianego“ dojść do wniosku, że „Ojczyzna Europa“ — to ciężki traktat naukowy, rzecz dla specjalistów. Ze swojej strony chciałbym wyrazić przekonanie, że tak absolutnie nie jest. Książka napisana jest żywo, czyta się — mimo niewątpliwie poważnego tematu — łatwo i zasługuje na to, żeby się z nią zapoznali szersze grono czytelników. Przekonany jestem, że np. turysta jadący do Hiszpanii, po przeczytaniu odpowiedniego rozdziału w książce Grabowskiego więcej wyniesie pożytku ze swej wizyty, niż gdyby tego nie zrobił. A zresztą, proszę państwa, zjemy w dobie niebawącego rozpowszechniania wiadomości politycznych przez środki informacji masowej; ale każda informacja, aby była dobrze zrozumiana, wymaga pewnego przygotowania u odbiorcy. Otóż „Ojczyzna Europa“ dopomóż czytelnikowi w nabyciu takiego przygotowania.

S. Wóycicki

Józef Garliński „Z I E M I A“

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich

L E K A R Z

Nur ein guter Mensch kann ein guter
Arzt sein. (Nothnagel).

PIEKNA, humanitarna dewiza, jakże na miejscu we wieku oświecenia lub liberalizmu, w czasach, gdy medycyna, poza współczuciem, niewiele mogła ofiarować cierpiącej ludzkości. Dzisiaj — z pewnym niedowierzaniem powtarzana. Przeobrażenie, któremu w galopującym tempie uległo lecznictwo, nie pozostało bez wpływu na stosunek lekarza do pacjenta. Medycyna przestała być sztuką, jakże kapryśną, pozwalającą sobie na luksus indywidualizowania, a przemieniła się we wiedzę, ścisłą, surową, niezawodną.

Modny lekarz powinien być wyposażony w dobry mózg i bystre zmysły. Może posiadać, naturalnie, i serce. Nie stanowi przeszkody na drodze do kariery, ale nie jest już istotnym warunkiem. Znany znakomitych lekarzy, wyzuty z ludzkich uczuć. Prof. Eppinger, jeden ze zbrodniczych eksperymentatorów, zyskał trwałe miejsce w historii medycyny dzięki — swej wiedzy i odkryciom. Nie żywił nawet szczególnych sympatii dla Hitlerizmu. Był tylko psychopatą, niezdolnym do odróżnienia ludzkiej istoty od królika. Prof. Sauerbruch, światowej sławy chirurg berliński, przyznaje w swych pamiętnikach, że w dyskusji nad referatem bezmyślnego, okrutnego kolegi na posiedzeniu towarzystwa lekarskiego nie wyraził zastrzeżenia do podobnych doświadczeń i nie poruszył etycznej strony, ale ograniczył się jedynie do rzeczowych uwag, czym udzielił milczącego placet najohydniejszemu przestępstwu.

Niezależnie jednak od przykładów zaczerpniętych z postępowania wysoce patologicznych osobników można stwierdzić zmianę w pojmowaniu obowiązków ze strony młodego pokolenia lekarskiego. Miejsce serdecznego odnośnienia się, chęci dokładnego zaznajomienia się z warunkami bytu, powiązania z rodzinnymi, mentalnością etc. zajęła troska o najlepsze wykorzystanie najnowszych zdobyczy, szybkie zorganizowanie szpitalnej pomocy, postawienie poprawnego rozpoznania i zalecenie właściwego leczenia. Dzisiejszy lekarz musi się liczyć z sytuacją, w której przyjdzie mu podejmować błyskawiczne decyzje, a nie będzie czasu darzyć przesadną uwagą „róż, gdy płoną lasy“. Widmo Hiroshimy czy Drezna stoi u kolebki przygotowań do obowiązków, czekających go pewnego, niespodziewanego dnia.

Nie znaczy to, że nie docenia się czynnika psychicznego w leczeniu. Owszem, pamięta się o nim i zaprzęga do współpracy różnych idealistów-społeczników, paramedycznych pomocników i, w pierwszym rzędzie, duchownych. Z tym wszystkim jednak lekarz, zwłaszcza przepracowany praktyk, przesuwając się ze szczebla intymności na szczebel rzeczowości, na którym czuje się pewniej. Dzisiejszy lekarz idzie z duchem czasu, chce służyć, przede wszystkim, swoją wiedzą.

Z punktu widzenia socjologa, biologa, genetyka i eugenika należy uważać tę tendencję za zdrową. Lekarza przygotowuje się dzisiaj do pracy w warunkach, odpowiadających tempu niespokojnego, niepewnego jutra, o których nie śnili filozofowie ubiegłych wieków. Zamiast więc tracić czas na jałowych rozmowach i tanich zapewnieniach, woli uciekać się do komputera.

Że chorzy nie zadowala się zawsze najsumienniejszym przebadaniem, najlepszą radą, a nawet pomyślnym wynikiem, wiemy sami z własnego doświadczenia. Jeden lekarz potrafi bez wielu słów, bez czułych gestów i klepania wzbudzić zaufanie i nadzieję, drugi, tak samo hojnie wyposażony w wiedzę, nie znajdzie uznania, nie zyska wdzięczności. Pacjent zapomina o oddanych mu usługach, o ważności trafnego rozpoznania i wyboru skutecznego leczenia. Na jego siatkówce psychicznej utrwala się obraz życzliwego albo obojętnego eskulapa i ten przesłania wszystkie inne aspekty problemu.

O swych psychicznych cierpieniach w jednym z paryskich szpitali pisał barwnie George Orwell, autor nieśmiertelnej „Animal Farm“. Jego salę odwiedzał specjalista światowej sławy w otoczeniu licznej sztabu. Do żadnego z badanych chorych nie przemówił, wszystkie swoje uwagi kierował do otoczenia. Orwella i towarzyszy irytowało to zachowanie i bolało więcej niż sama choroba.

Posiadamy zwierzenia innego wielkiego człowieka, spragnionego pomocy z rąk wymarzonego przedstawiciela. Zastępują na uwagę, gdyż pochodzą od sławnego malarza, Vincenta van Gogha.

On to przypomniał mi w jednym ze swych listów, że patronem sztuk plastycznych jest św. Łukasz. Wiadomo, że ten najmilszy z ewangelistów trudnił się medycyną. Może więc dlatego znajduje się wśród lekarzy tyłu amatorów-malarzy, a jeszcze więcej znawców i miłośników. Mój znakomity nauczyciel, prof. Ehrman, przerzucił się na medy-

i PACJENT

cynę dopiero po ukończeniu akademii sztuk pięknych. Prof. Łukasiewicz we Lwowie posiadał wspaniały zbiór obrazów podobnie jak prof. Pareński w Krakowie. Prof. Freud we Wiedniu uchodził za szczególnego znawcę renesansu.

Vincenta Willem van Gogha uważa się za największego holenderskiego malarza po Rembrandcie. Zmarł, nie przekroczywszy nawet czterdziestki. Jego spuścizna obejmuje 800 obrazów olejnych i 700 szkiców. Żył w skrajnej nędzy, raz jedyny sprzedał jeden obraz. Jak zrozumieć tę tępotę, jak wytłumaczyć ślepotę, powszechny brak wycucia, chociażby instynktowego, genialnej twórczości, nie tylko ze strony konserwatywnych, akademickich mistrzów, ale zazwyczaj własnymi drogami chodzących krytyków i chętnie z awangardą kokietującej publiczności?

Przechowały się cztery tomy „Verzamelde Brieven van V. Gogh”. Cenny, chociaż bolesny, zbiór listów, dających dokładny obraz celów, wiary, nadziei i rozczarowania niezwykłego, ciężko fizycznie i psychicznie chorego geniusza. Fachowiec może znaleźć dużo wzmianek natury technicznej, uwag, dotyczących się metod malarskich, za którymi, wieczną ich głodny pionier, szukał gorączkowo. Laika zainteresuje więcej tragiczny patos codziennego życia, bijący z tych kart, pisanych nieraz w rozterce, często w rozpacz. Podziwu godne są dynamika i wybór właściwych słów, logika wywodu, subtelna analiza wydarzeń i osób — zalety, które czynią genialnego malarza i literata niepośledniej miary. Uprowadzam w tym miejscu, że cytaty francuskie przytaczam z oryginalnymi błędami ortograficznymi i stylistycznymi.

Motyw kierujący, powtarzający się w każdym prawie liście, to sprawa twórczości. Zapewnia: „Je peux bien dans la vie, et dans la peinture aussi, me passer de Bon Dieu, mais je ne puis me passer de quelque chose de plus grand que moi, qui est ma vie, la puissance de créer”.

Rezygnuje z boskiej opieki, ale odrzuca myśl pogodzenia się z utratą zdolności twórczej. Gdy zarysuje się groźba podobnej tragedii, będzie uważał swą misję życiową za ukończoną. I można wierzyć w szczerą jego słów, gdy opisuje stany niby zamroczenia: „Que veux-tu, j'ai des moments où je suis tordu par l'enthousiasme ou la folie ou la profétie comme un oracle grec sur son trépied”. Człowiek, który dla sztuki kradł sobie sen i jadło, za-

śluje na wiarę, gdy zwierza się ze swych trosk o twórczość.

Wydarzenia związane z chorobą, kontaktem z lekarzami i refleksje na te tematy wychodzą spod jego pióra barwnie i przekonująco. Stanowią bogatą kopalnię dla coraz nowych biografów, a cenny dar dla psychologa, usiłującego się dobrać do tej zranionej i ciężko chorej duszy.

Po dwóch latach pobytu w Paryżu wyjechał w r. 1888 do d'Arles. Widocznie samotność dokuczala mu, bo zaprosił Paula Gaugina do siebie. Obu impresjonistom przyświecała myśl wspólnej pracy i wymiany myśli, zdala od sporów i intryg stolicy. Pomysł okazał się fatalny. Początkowy zapal i sympatia uległy szybkiemu oziębieniu, a kielkująca niecierpliwość i drażliwość dwóch indywidualistów znajdowała upust w gwałtownych sprzeczkach. Niewątpliwie miały one pewny wpływ na wybuch kryzysu u van Gogha, kulminującego w niepoczytalnym okaleczeniu się brzytwą i odcięciu lewej małżowiny usznej. Wypadek zdarzył się przed wilią 1888 roku. Gaugin opuścił d'Arles w panice, a skrwawionego i majaczącego szaleńca umieszczono w szpitalu Guerin.

Nad chorobą van Gogha łamali sobie głowę współcześni i późniejsi uczeni. Zdania były dość rozbieżne i dyskusja trwa nadal na łamach pism medycznych. Przebieg nie odpowiadał żadnemu z klasycznych obrazów. Przeważa pogląd, że cierpiał na padaczkę (epilepsję) wywołaną czy powikłaną alkoholizmem i fatalnym odżywianiem się.

Ordynujący lekarze malarza spotkali się z naganą potomności. Krytycy zapominają jednak, że ówczesna medycyna była bezsilna wobec chorób nerwowych. Dzisiaj, w konfrontacji z padaczką, staramy się usunąć czynnik wywołujący, a środkami przeciwkonwulsyjnymi i uspokajającymi zapewnić pacjentowi znośne i pożyteczne życie. To są jednak zdobycze późniejszych czasów, aniżeli te, w których żył nieszczęśliwy Holender.

Dyrektor wspomnianego szpitala nie poświęcał dużo uwagi jakiemś anormalnemu przybłędzie. Natomiast młody, jeszcze nie dyplomowany, medyk, nazwiskiem Felix Rey zachował się godnie. Może nawet podejrzewał padaczkę, gdyż przepisał brom, jedyny wówczas środek przeciw tego rodzaju schorzeniom.

Do zgnębionego, przybitego, zawstydzanego pacjenta odnosił się życzliwie, a chorobę oceniał raczej optymistycz-

nie. Kilka dni zaledwie po wy**3016** do-
nosi Vincent bratu, że „podniecenie było przemijające i niewątpliwie szybko ustąpi”.

Zważywszy, że list pisał pod kontrolą Reya wolno nam wątpić czy młodzik zdawał sobie sprawę z powagi choroby. Sympatia jednak i takt, którymi darzył swego pacjenta, kompensowała fachowe braki. Van Gogh wystawia mu wielce pochlebne świadectwo: „... le plus brave homme... le plus dévoué, le plus vaillant, un coeur chaud et mâle”.

Widocznie siostra, w odpowiedzi, nie przejęła się entuzjazmem brata, bo Vincent usiłuje ją przekonać: „Widzisz — lekarze, których wspominasz, nie są zdolni do rzeczy wielkich — pozwalam ci to twierdzić, tym bardziej, że osądzasz słusznie. Do czego jednak są zdolni, to uściśnić ci dłoń serdeczniej i życzliwiej aniżeli inni, ... et leur présence peut bien quelquefois être tres sympathique et rassurante”.

Dla opuszczonego, złamanego na ciele i duchu pacjenta sympatia i zachęta ze strony zaufanego lekarza znaczący więcej aniżeli chaotycznie podawane mikstury i proszki. Trzyma się więc kurczowo wyidealizowanego obrazu opiekuna i daje się nawet ponieść fantazji. Przepowiada bratu, że Rey uzbrojony w „plein pouvoir médical de Paris, en temp de calamité il fera ici de vrais miracles”.

Ten zapowiedziany „cud” spełnił się zresztą na jego własnej osobie. Ochłoniął z szoku, nabrał odwagi i pewności, odzyskał wiarę w ludzi i począł patrzeć na świat przez jaśniejsze szkła. Gauginą zapewnia: „ayez confiance qu'en some aucun mal n'existe dans ce meilleur des mondes où tout marche toujours pour le mieux”.

Medicus Rey wyprzedził swój czas. Poza ciałem pamiętał również o chorej duszy pacjenta. Okazywał żywe zainteresowanie dla jego sztuki, czym zachwyił mistrza. V. Gogh notuje: „Monsieur Rey est venu voir la peinture avec deux de ses amis médecins et eux comprennent au moins bigrement vite c'est que des complémentaire”. V. Gogh miał swoją teorię barw uzupełniających się i chętnie dosiadał tego konika.

Uprzejmy Rey zapewnia go o swym pociągu do malarstwa i chęci wyczerpania się tej sztuki. Mistrz hamuje nieco ten zapal: „Je lui dit, qu'il doit se mettre amateur, mais qu'il ne doit pas chercher à faire de la peinture, lui-même.

V. Gogh przychodził szybko do zdrowia. Po 14 dniach powrócił do domu, gdzie wykończył rozpoczęte w szpitalu obrazy, wspaniały „Le jardin de l'Hôpital à Arle, słynny autoportret „L'homme a l'oreille coupée” i portret dra Reya. Z tego też okresu pochodzi „La berceuse”, w której unieśmier-

tełnił Mme Roulin, żonę listonosza, swego oddanego przyjaciela.

Z przykrością notuje, że dr Rey, przy wszystkich zaletach, nie okazał się szczególnym znawcą sztuki. Portretem zatkał nieszczelne okno na poddaszu, gdzie go znalazł jakiś sprytny handlarz, kupił za grosze, przetrzymał pewien czas i wzbogacił się na nim.

Z końcem kwietnia 1889 r. v. Gogh poczuł nasilający się niepokój. Nie ufając sobie więcej, udał się do azylu w St. Remy. Niestety, wybrał nieszczególnie miejsce. Naczelnym lekarzem był stary, spensjonowany lekarz marynarki, dr Peyron, sam poważnie chory na podagrę. Pielęgnację i administrację sprawowały niezbyt czule siostry zakonne. Status v. Gogha był też odmienny od poprzedniego. Umieszczono go wśród internowanych, ograniczono swobodę poruszania się i poddano różnym szykanom. Vincent krytykuje surowo ten reżym: „... on n'y fait absolument rien, on les laisse végéter dans l'oisiveté et les nourrit de nourriture fade et un peu avariée.“

Skromny i ascetyczny geniusz nie był ani wybredny, ani wymagający. Można przyjąć jego protest za uzasadniony. Odnoszenie się do pacjentów nerwowo lub umysłowo chorych pozostawiało dużo do życzenia. Uważano ich za bez nadziejne przypadki, wielce kłopotliwe, trzymane tylko z łaski. O próbach zatrudnienia ich, skierowania uwagi na jakies zajęcia lub rozrywkę nie było mowy. Na takie luksusy nie zgodziłaby się żadna instytucja. Lekarze, świadomi swej bezsilności, unikali pacjentów, zwłaszcza tych, którzy domagali się zdecydowanego orzeczenia. V. Gogh nie taił swego niezadowolonia i niecierpliwości w listach do Thea: „Nie lekceważyłbym tego, co mówi lub uważa za właściwe. Ale doszedłszy do jakiegoś wniosku, czy ci napisał „quelque chose de clair et de possible?“ Kilka dni później powtarza: „Czekam w końcu na to, co ci powie...“ je n'ai moi aucune idée de son opinion“.

Subtelny artysta wyczuwa dobrze niepewność autorytetu, więc nieco szyderczo uprzedza brata: „Pocziwy M. Peyron opowie ci masę rzeczy o prawdopodobieństwach i możliwościach, reakcjach mimowolnych etc., zgoda, ale, jeśli nawet dokładnie się oświadczy, nie dam wiary. „Et nous verrons alors ce qu'il précisera, si c'est précis“. Sceptycyzm, graniczący już z votum nieufności.

Posiadamy niezbita dowody, że lekceważony Peyron postawił rozpoznanie przy pierwszym badaniu. Możemy dobrze wczuć się w jego sytuację, kiedy nie chciał powierzyć swego niemiłego odkrycia, psychicznie niezrównoważo-

nemu pacjentowi. Ostatecznie puścił parę i v. Gogh komunikuje: „Pour autant que je said le médecin d'ici est à considérer ce que j'ai eu comme attaque de nature épileptique“.

Skargi i rozczarowania mnożą się: „M. Peyron ne me donne pas beaucoup d'espair pour l'avenir ce que je trouve juste...“. Między pacjentem a lekarzem pogłębia się roźdźwięk. Peyron by zwolennikiem surowego reżymu. Zabronił wychodzić, a nawet malować, co potęgowało depresję Vincenta, którego irytuje również nieustanna kontrola przydzielonego mu pielęgniarza. Ataki epileptyczne widocznie powtarzały się często, co v. Gogh przypisuje wpływowi otoczenia i widokowi podobnych chorzych. Najwięcej boli go zupełna obojętność dla jego stanu psychicznego i znaczenia sztuki dla chorego i opuszczonego artysty. Zauważył z przerażeniem, że nalegania na pozwolenie podjęcia pracy były uważane za objaw chorobowy.

Dr Peyron otrzymał w podarunku obraz azylu, odmówił jednak pozowania do portretu. Natomiast pielęgniarz Tarbu przeszedł do historii malarstwa tak, że pamięć o dobroliwym, współczującym prostaku przetrwa pamięć ważnego lekarza naczelnego. Wiemy nawet, że towarzyszył raz pacjentowi do Arles, gdy ten wybrał się w odwiedziny do swej przyjaciółki, prostytutki Rachel, przy której to sposobności zaoginał obraz „l'Arlescene“, i wiemy, że v. Gogh miał trudności w odnalezieniu powrotnej drogi. Prawdopodobnie stany poepileptyczne wywołały u niego lekkie zamroczenie.

W maju 1890 r. opuścił azyl i udał się do Paryża, aby odwiedzić ciężko chorego brata. Po kilku dniach, za poradą przyjaciół, oddał się pod opiekę dra Gachet w Anvers sur-Oise. Vincent polubił z miejsca swego nowego władcę. Nazywał go stale père Gachet. Lekarz, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, sam malował z zapalem, miał więc pełne zrozumienie dla artystycznych potrzeb genialnego kolegi.

Pierwsze doniesienia z nowego miejsca brzmią ostrożnie: „...widziałem dra G., który zrobił na mnie wrażenie ekscentryka“. Później lody topnieją: „M. Gachet est absolument fanatique pour ce portrait“. Listy tchną pewnym optymizmem. Więcej niż właściwe leczenie i wyniki tego pacjenta zachwycała, wiara lekarza w jego geniusz.

Dr Gachet zasłużył na wdzięczność potomności. W ciągu dwóch miesięcy, spędzonych w zakładzie, Vincent namalował 70 obrazów i 32 akwarele. Niestety, choroba przybierała złośliwy przebieg. Już zmiana stylu wskazywała na ciężkie zaburzenia. 26-go lipca 1890 r.

Vincent v. Gogh popełnił samobójstwo strzałem w brzuch. Zmarł, przy pełnej świadomości, trzy dni później. Ciężko chorego brata pocieszał w ostatnim liście: „Ne pleure pas je l'ai fait pour le bien de tous“.

Dr Gachet nie był może wzorem odpowiedzialnego lekarza. Okazał karygodne niedbalstwo, nie licząc się z możliwością samobójstwa u ciężko przygnębionego pacjenta. Co zawinił jednak jako lekarz, naprawił jako człowiek, wrażliwy na tragedię genialnego artysty, i jako szlachetny mecenas. W liście kondolencyjnym do Thea pisze o zmarłym: „... określenie „miłość do sztuki“ nie jest właściwe... to wiara, którą należy nazwać wiarą aż do męczeństwa“. „Wiarę aż do męczeństwa“ dzielił nieszczęśny v. Gogh z innym wielkim epileptykiem, Fedorem Dostojewskim. Obu służył Chrystus za źródło inspiracji. Dostojewski uskarżał się, że jego „hosanna“ przeszła przez ogień czystycy zwątpienia. V. Gogh odbył nawet gorszą drogę.

„Hosanna“ jest słowem hebrajskim i znaczy: Zawitaj Panie! Zbaw nas! Wspomóż! Tę hosannę przyzywał gorąckowo v. Gogh na swym ludzkim i artystycznym szlaku. Mimo niejednokrotnych błędzeń, częstych zwątpień ufał w zbawienie przez miłość wiary i potęgę sztuki. Ze swego podziwu dla Chrystusa zwierza się koledze Bernardowi: „Il a vécu sereinement en artiste plus grand que tous les artists, dédaignant et le marbre et l'argile et la couleur, travaillant en chair vivante... il faisait des hommes vivants, des immortales“.

V. Gogh, w wiecznej walce z materią, płótnem, farbą, barwą, czuje podziw dla arcy mistrza, który, będąc artystą nad artystami, rezygnuje ze ziemskich akcesoriów i pracuje nad żywym ciałem ludzi, aby zapewnić im nieśmiertelność. Chrystus był również wspaniałym lekarzem i dwa tysiące lat przed naszą epoką rozumiał ważność psychiki chorego. Idzie w jego ślady psycholog-filozof K. Jaspers, gdy w swoim eseju: „Die Idee des Arztes und ihre Erneuerung“ przypomina lekarzowi, że „aby wypełnić zadanie, należy pamiętać i o cierpieniach duszy i starać się jej ulżyć“, również o „nieobliczalnej potędze zaufania i pragnienia życia“, która drzemie w każdym człowieku. „Was der Mensch dem Menschen sein kann, erschöpft sich nicht in BEGRIFFLICHKEITEN“.

Już Hipokrates, 2.500 lat przed Nothnaglem i Jaspersem apelował do swych kolegów i uczniów, aby pamiętali o tej potrzebie chorego. Pogłębia się nowoczesna wiedza, bogaci arsenał niezawodnych środków, przedłuża się życie ludz-

(Dokończenie obok)

RZĄDY PUŁKOWNIKÓW

W okresie niepodległości między wojnami dużym mówiło się i pisało w Polsce o rządach pułkowników i obsadzaniu posad państwowych i samorządowych przez byłych wojskowych, jako czymś specyficznie polskim i szkodliwym. Jednym z powodów było to, że ogół społeczeństwa naszego żył wtedy w dostatecznej izolacji, aby niewiele wiedzieć, jak jest w innych krajach. Nawet podróżowano mniej z braku dobrze sytuowanych krewnych i znajomych za granicą, którzy obecnie opłacają koszty podróży i pobytu polskich „turystów” na Zachodzie. Propaganda bolszewicka, oczywiście, wykorzystuje obecnie to błędne mniemanie, jako atut propagandowy. Dziwne jednak jest to, że po upływie z górą 20. lat od znalezienia się na uchodźstwie jest tak dużo wśród nas ludzi myślących tymi samymi kategoriami, jakimi myślano w przedwojennej Polsce. Świadczy o tym szczególnie nasza prasa emigracyjna z „Dziennikiem Polskim” na czele. W piśmie tym roi się, nawet obecnie, od artykułów i listów do redakcji na temat przedwojennych „rządów pułkowników” oraz ich rzekomej szkodliwości, a nawet niegodziwości, jak gdyby było to nieznane nigdzie na świecie i miało dziś jakiegokolwiek znaczenie. Z tego wynika, że nie wszystkich podróże, a nawet długi pobyt na obczyźnie, kształcą.

Jest rzeczą absolutnie normalną, że po każdej wojnie następuje demobilizacja i skutek tego zwolnionych z wojska zatrudnia się w zawodach cywilnych. Wśród zwolnionych z natury rzeczy są też pułkownicy a nawet generałowie, ci nie zawsze i nie koniecznie otrzymują lepsze stanowiska i posady cywilne niż młodszy oficerowie i szeregowi, którzy mają sprzed wojny zawody cywilne i praktykę w tych zawodach.

kie. To są osiągnięcia wspaniałe, świadczące chlubnie o geniuszu ludzkim. Pacjent nie zadowala się jednak troską o fizyczną stronę swego cierpienia, ale świadomie i podświadomie czeka na świadczenia, leżące już poza wszelkimi „Begreiflichkeiten”. I tych nie należy mu odmawiać.

Zdarza się też odwrotnie: niektórzy z wykształceniem i zawodem cywilnym, jako odznaczający się wybitnymi zdolnościami wojskowymi, są zatrzymywani w wojsku i poświęcają się karierze wojskowej. Słowem następuje przetasowanie zgodnie z powstałą na rynku pracy i zatrudnienia nową sytuacją powojenną oraz zmianami w psychice i upodobaniu byłych wojskowych, dość długo żyjących w nienormalnych warunkach wojennych.

Przykładem tego mogą być mieszkający w Londynie generałowie dr Żąbkowski i dr Odzierzyński. Podczas pierwszej wojny światowej obaj byli oficerami rezerwy, mając już ukończone studia prawnicze. Będąc w wojsku polubili ten zawód i okazali się niezwykle zdolnymi oficerami. W konsekwencji „cywilom” tym zaproponowano pozostanie w wojsku, na co chętnie się zgodzili. W związku z tym, niewątpliwie, zwolniono z wojska w równej liczbie zawodowych wojskowych. Można przytoczyć dużo więcej podobnych przykładów: gen. Haller był z zawodu nauczycielem, gen. Anders studentem politechniki, gen. Kopański inżynierem. Nie słyszało się jednak i nie słyszy się nigdy narzekania, że wojskiem dowodzili „cywile”.

WOJSKOWI W RZĄDACH INNYCH KRAJÓW

W najbliższej nam, W. Brytanii był premierem i najdłużej sprawował rządy zawodowy oficer w stopniu podpułkownika Winston Churchill. Eden, MacMillan, Attlee byli w wojsku majorami. Marszałek Alexander zajmował po ostatniej wojnie wysokie i reprezentacyjne stanowisko cywilne w Kanadzie.

Prezydent Truman był w wojsku kapitanem, Kennedy oficerem marynarki wojennej, a prezydent Eisenhower i sekretarz stanu (minister) Marshall byli zawodowymi wojskowymi w stopniu generałów. To samo było w innych krajach: np. w Płd. Afryce premierem był gen. Smuth.

Prócz tych dobrze wszystkim znanych wojskowych objęła po obu wojnach

we wszystkich krajach wysokie stanowiska w administracji ogólnej, samorządzie, przemyśle, bankowości itp. instytucjach cywilnych.

Mimo to nikt nigdzie na świecie nie twierdził i nie twierdzi, że w krajach tych były i są „rządy pułkowników”, a nawet jeżeli chodzi o Amerykę „generałów”, ze szkodą dla interesu publicznego. Zresztą jest nie do pomyślenia, aby ludzie, których nie potrzebuje wojsko mogli być skazani na śmierć głodową wskutek zakazu zatrudniania ich w zawodach cywilnych, zwłaszcza że niektórzy z nich są wysoce inteligentni, wykształceni i odznaczają się specjalnymi uzdolnieniami.

Fakt, że nigdzie nikt nie protestuje, przeciw „rządom pułkowników” mógłby świadczyć, iż inne narody lubią je. Ale w naszym wypadku nie lubimy takich rządów tylko, jeżeli chodzi o rządzenie Polską. Natomiast, gdy żyjemy pod takimi samymi rządami na obczyźnie lubimy i chwalamy je. Jest to objaw kompleksu niższości wyrażający się w mniemaniu, że „co wolno księciu, tego nie wolno prosięciu”.

KRYTYKA WŁASNEGO USTROJU

Nie mniejszy paradoks stanowi krytyka i potępienie przedwojennego ustroju państwowego, co nie ustało nawet obecnie, w ustnych wypowiedziach i prasie uchodźczej. Byli nawet tacy wśród nas, którzy zadali sobie trud dokonania prywatnie, tj. na własną rękę i bez żadnego tytułu do tego, zmian i poprawek konstytucji, co w swej istocie zakrawało na groteskę, lecz w konsekwencji wywołało trwający do dnia dzisiejszego rozłam w naszej społeczności uchodźczej.

Nawet podczas wojny zamiast wysiłków zmierzających do pozyskania względów i pomocy naszych sprzymierzeńców do przywrócenia nam wolności i niepodległości jako narodowi cywilizowanemu i o długiej przeszłości historycznej, wpajano w ich umysły przeświadczenie, że mieliśmy przed wojną rządy barbarzyńskie. Świadczy o tym chociażby

(Ciąg dalszy na str. 12)

broszura Strońskiego, wydana podczas wojny po angielsku, w której usiłuje on dowieść, że konstytucja kwietniowa wprowadziła w Polsce rządy autokratyczne, despotyczne, dyktatorskie i bodaj nawet faszystowskie, przez wyposażenie prezydenta w nieograniczoną władzę, będącą odpowiednikiem „samodzierżawia“ carów rosyjskich.

Ci ze współczesnych uchodźców polskich, którzy znają nasz przedwojenny ustrój państwowy i przebywają przez tyle lat w krajach anglosaskich wiedzą dobrze, iż w Polsce zakres władzy wykonawczej, a zwłaszcza prezydenta, był bardzo ograniczony w porównaniu z prerogatywami prezydenta Stanów Zjednoczonych i premiera brytyjskiego. Mimo to, powtarzane są banialuki Strońskiego ze szkodą dla naszego interesu narodowego.

Z drugiej strony ci sami surowi i bezkompromisowi krytycy konstytucji kwietniowej są z reguły bezkrytycznymi zwolennikami, a nawet entuzjastami, konstytucji i osoby de Gaulle'a, pomimo oczywistego faktu, że konstytucja ta jest wzorowana na naszej, z tą tylko różnicą, że zakres władzy francuskiego prezydenta jest o wiele większy niż był polskiego, chociaż jest mniejszy niż prezydenta amerykańskiego i premiera brytyjskiego. Nie przeszkadza im też to, że de Gaulle jest generałem sprawującym najwyższy urząd cywilny w państwie.

W przedwojennej Polsce nie stosowano kary cielesnej. W Anglii nawet obecnie różga i bat mają szerokie zastosowanie w szkołach i marynarce wojennej. W oczach jednak i sumieniu naszych malkontentów ten barbarzyński system utrzymania dyscypliny uważany jest za całkiem naturalny i nie wzbudza zastrzeżenia.

Fakty te wskazują na to, że istnieje prawdopodobnie podświadoma myśl przewodnia, która dyktuje tezę, że to co jest złe dla księcia, dobre jest dla prosięcia, czyli anarchia jest zła dla krajów zachodnich, a dobra dla Polski.

CZĘSTO CYWILE w MUNDURACH

Na tle powyższego widać, że stan faktyczny w tym względzie nie wiele różnił się w przedwojennej Polsce od sytuacji w większości krajów cywilizowanych na Zachodzie.

Istotnie mieliśmy, jak wszędzie, kilku ministrów, pewną ilość wojewodów, starostów itp., którzy przed tym byli wojskowymi. Nie mieliśmy jednak ani jednego oficera zawodowego sprawującego urząd prezydenta, co w historii Ameryki dość często się zdarzało.

Jeżeli chodzi o ministrów mieliśmy jednego w stopniu generała, dobrze znanego Sławoja Składkowskiego, który faktycznie nie był zawodowym wojskowym, lecz lekarzem.

Marszałek Piłsudski też nigdy z ducha i usposobienia nie był wojskowym, lecz stuprocentowym cywilem, chociaż był mistrzem, a może nawet geniuszem, w dziedzinie sztuki wojennej. Jego pochylona postać, wtedy nawet gdy był młody, i „szary strój“, w który przyodziewał się prawie do końca życia, sposób mówienia, myślenia i bycia zdradzały głęboko zakorzenionego w nim cywila. Prawie podczas całej swej kariery wojskowej nie miał stopnia wojskowego i ubierał się raczej jak leśnik. Dopiero po wojnie, gdy Francuzi wyrazili chęć nadania mu stopnia Marszałka Francji przywdział polski mundur marszałkowski po otrzymaniu na gorąco tego stopnia wojskowego, ale mundur ten, zwłaszcza jeżeli chodzi o kolor, absolutnie nie podpadał pod przepisy o umundurowaniu naszego wojska.

Może powodem tego był fakt, że jako samouk w dziedzinie wojskowości nie miał za sobą szkoły i drylu wojskowego, które urabiają specjalny typ człowieka na tle wrodzonych ku temu warunków. Zresztą Piłsudski z własnej woli nie objął najwyższego urzędu w państwie i zadowolił się stanowiskiem o wiele skromniejszym niż zajmował w Ameryce gen. Marshall. Ponadto Piłsudskiego urząd był ściśle związany z wojskiem, a Marshalla był par excellence cywilnym. „Chytry Litwin“ oczywiście trząsł całym państwem, ale z punktu widzenia formalnego i prawnego tego nie uczynił.

Jedyną kontrowersyjną postacią był i jest pułkownik Beck, który był typowym oficerem zawodowym i zajmował w hierarchii służby cywilnej miejsce równe gen. Marshallowi.

Nad tym co pisali i mówili o Becku nasi rodacy nie warto się rozwodzić, gdyż więcej jest w ich wywodach i twierdzeniach namiętności, uraz, ob-

sesji i nieuzasadnionych pretensji niż zdrowego rozsądku. Świadczy o tym chociażby nierealna, stronicza i tendencyjna ocena potencjału i położenia naszego kraju, jego politycznej sytuacji i naszych w związku z tym możliwości na gruncie międzynarodowym. Więcej miarodajna jest opinia wybitnych cudzoziemców.

Arbitralny, egoistyczny, despotyczny i mający na względzie wyłącznie interesy brytyjskie Churchill uważał Becka za „bête noire“ na terenie przedwojennych stosunków międzynarodowych. Jego zdaniem Anglia nie mogła się dogadać z Polską tak długo, jak długo Beck był ministrem spraw zagranicznych, chociaż w końcu dogadała się. Nie podobalo mu się widocznie to, że Polska utrzymywała 30 dywizji w interesie swego kraju a nie W. Brytanii. Ideałem Churchilla był gen. Sikorski, który podczas wojny nigdy mu się nie sprzeciwił, lecz spełniał jego wolę i wykonywał ściśle żądania bez względu na to, czy było to w naszym interesie narodowym.

Drugim, podobnym do Becka „bête noire“ był de Gaulle, który również dbał przede wszystkim o interesy Francji, a nie Anglii.

Eden pisze o Becku bardziej obiektywnie, tj. z większym zrozumieniem sytuacji i położenia Polski oraz trudnego zadania polskiego ministra spraw zagranicznych. Nie odmawia Beckowi dużej inteligencji, znacznego wykształcenia, zmysłu politycznego, a nawet sprytu przy rozgrywaniu sytuacji politycznych na niezmiernie skomplikowanej szachownicy przedwojennego układu europejskiego. Zdaniem Edena dzięki tylko inteligencji, sprytowi, „bluffowi“, a nawet w pewnej mierze intrygom Becka liczone się z głosem przedstawiciela średniej wielkości i niezmiernie ubożego kraju na arenie międzynarodowej, co dawało Polsce duże korzyści. Np. jego lawirowanie między potężnymi i wrogimi Polsce sąsiadami oraz szantażowanie Anglii i Francji ewentualną perspektywą sprzymierzenia się z jednym z nich przeciw Zachodowi — chociaż w gruncie rzeczy był on niezachwianie prozachodnio-europejski — było mistrzowskie. Nawet na pięć minut przed dwunastą w 1939 r. Anglia nie wiedziała, czy Beck poprowadzi Polskę przeciw Niemcom, czy może po uczynieniu ustępstw te-

rytorialnych na rzecz Hitlera i uzyskaniu kompensaty na Wschodzie, wystąpi w przymierzu z nim przeciw Zachodowi. Było to powodem szybkiego i prawie bez targów zawarcia skierowanego przeciw Niemcom przymierza polsko-brytyjskiego. Słowem Eden rozumiał, że minister spraw zagranicznych słabego i otoczonego wrogimi mocarstwami państwa musi być większym znawcą machiawellizmu niż dyplomata potężnego mocarstwa.

Przymierze to nie spełniło pokładanych w nim nadziei, ale mogłoby ono zapobiec wybuchowi wojny, gdyby Niemcami rządził nie obłąkany Hitler, lecz normalny człowiek. Ponadto chociaż przegraliśmy ostatnią wojnę, daje jednak nam moralną satysfakcję, a Anglików napębia poczuciem wstydu fakt, że nie dotrzymani, lub nie mogli dotrzymania obietnicy, danej najwierniejszemu sojusznikowi.

Churchill, oczywiście, wolał, aby zamiast Becka naszym ministrem spraw zagranicznych był ktoś podobny do gen. Sikorskiego, który ewentualnie zgodziłby się bez umowy i gwarancji brytyjskiej poświęcić bez nadziei zwycięstwa interes swego kraju w obronie cywilizacji europejskiej, przez stawianie czoła agresji niewspółmiernie potężniejszym wrogiem, aby Anglia wykorzystując zyskany na tym czas mogła przygotować się do wojny totalnej, prowadzić ją i zakończyć mając na uwadze z czystym sumieniem wyłącznie własne interesy.

Oburzamy się i narzekamy, że propaganda niemiecka przedstawiając nasz kraj jako barbarzyński wyraziła nam dużo szkody na gruncie międzynarodowym. Nie zastanawiamy się jednak nad tym, że sami wskutek zacietrzewienia politycznego, lub po prostu głupoty, czynimy więcej niż to samo, albowiem informacje ze źródeł polskich mają większą siłę przekonywającą jako nie nasuwające przypuszczenia, że mogłyby być zmyślane przez czynniki nam wrogie.

W konsekwencji cudzoziemcy skrupulatnie powtarzają paplaninę i bazgraninę naszych rodzimych malkontentów, przedstawiających nas i nasz kraj w ujemnym świetle, uważając ją za najbardziej miarodajne i wiarygodne źródło wiadomości o przedwojennej Polsce.

PRZED 50-LECIEM — DALSZA RESTALINIZACJA

W tym roku przypada pięćdziesiąta rocznica bolszewickiej rewolucji, zwanej w Sowietach „wielką, październikową“. Jest ona obchodzona w początkach listopada, ponieważ zmieniono w Rosji następnie w 1923 r. kalendarz z juliańskiego, obowiązującego w krajach prawosławnych, na gregoriański. Przygotowania do tej rocznicy rozpoczęły się na terenie ZSRR już od wczesnej wiosny i ujawniały się na łamach prasy przede wszystkim w deklaracjach stachanowskich osiągnięć: darmowej pracy ponad normę, uroczystych zobowiązań wykończenia rozmaitych budowli czy innych robót przed terminem, wykonania planów produkcyjnych, albo ich przekroczenia itd, itd., czyli w atmosferze przypominającej wiernie czasy stalinowskie.

Poza tym zewnętrznym parawanem rocznicowego „entuzjazmu“ mas władze dokonywały tego roku także rozmaitych posunięć, istotnej wagi, mających na celu dalsze usprawnienie rozluźnionego za Chruszczowa aparatu partyjno-państwowego. Pod koniec maja urządzono 4. kongres sowieckich pisarzy, na którym dano się trochę wygadać „liberalnej“ opozycji, ale zarazem przypomniano ogółowi partyjną dyscyplinę. Następne wyroki na pisarzy potwierdziły, że nie były to czcze słowa. Głównym mówcą, reprezentującym ostry partyjny kurs był autor „Cichego Donu“ Michał Szolochow. Również na wiosnę sowiecka Akademia Nauk powołała „radę dla zagranicznych prądów ideowych“, której zadaniem będzie przeciwstawienie się antykomunizmowi na terenie krajów wolnych, czyli będzie próbą zorganizowania kontrofensywy ideowej tam, gdzie Moskwa dotychczas posługiwała się prymitywną propagandą. Wreszcie 25 czerwca ogłoszono w „Prawdzie“ programowe tezy Komitetu Centralnego na 50-tą rocznicę.

POLICJA GÓRĄ

Równocześnie z publikacją tez rocznicowych, centralny organ partii podał inną niezmiernie charakterystyczną wiadomość, mianowicie o wprowadzeniu do Politbiura na członka-kandydata nowego szefa Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego (policji politycznej) I. W. Antropowa. Objął on to stanowisko w maju 1967 po usunięciu Semiczastnego, co miało bardzo duże znaczenie, znamienne dla polityki personalnej pary Breżniew-Kosygin. Semiczastny, podobnie jak Szeliepin byli ludźmi Chruszczowa i chociaż następnie przyczynili się usłużnie następcom po obaleniu swego protektora, nie zyskali ich zaufania. Szeliepin, jak wiadomo, został ostatnio

odsunięty na boczny tor centrali Związków Zawodowych, gdzie wszedł w miejsce Gryszina. Antropow jest niewiele starszy od swego poprzednika i w swoich 52 latach należy do tego samego pokolenia, co Szeliepin i Semiczastny, ale wywodzi się z innej klikki. Nie odgrywał czołowej roli w Komsomole, był dyplomata i „odznaczył się“ jako ambasador sowiecki w Budapeszcie podczas powstania z października 1956, czyli należy do ludzi odpowiedzialnych za zbrodnie stłumienia wolnościowego zrywu Węgrów. Po tej katowskiej „zasłudze“ Antropow przez 9 lat „koordynował“ z ramienia moskiewskiego Komitetu Centralnego stosunki z partiami satelickimi i używany był do rozmaitych delikatnych na tym polu misji. Na 23 kongresie, w kwietniu 1966, został wybrany do sekretariatu KC. Wobec takiej przeszłości obecnego szefa KBP jest jasne i słuszne, że nominacja jego uznana została jako wyraz zaostrenia kursu, rozluźnionego przez nominatów Chruszczowa.

ŻYD AMBASADOREM SOWIECKIM W KAIRZE

Rosja Sowiecka, jak wiemy opowiedziała się w ostatnim konflikcie na Śr. Wschodzie przeciw Izraelowi do którego Arabowie pałają fanatyczną, odwzajemnianą zresztą ze strony żydowskiej, nienawiścią. Na takim tle pikantną jest wiadomość, że pod koniec sierpnia, Moskwa mianowała swoim ambasadorem w Zjednoczonej Republice Arabskiej — dyplomata pochodzenia żydowskiego.

Został nim Sergiej Winogradow recte Weinberg, który ma za sobą stanowiska pierwszorzędnego dla Sowietów znaczenia i którego nominacja do Kairu świadczy, jak wielką wagę Kreml przywiązuje obecnie do tej placówki dyplomatycznej. Winogradow był podczas wojny ambasadorem sowieckim w Turcji i Michał Sokolnicki, ówczesny ambasador R.P. w tymże kraju wspomina o nim kilkakrotnie w swoim „Dzienniku ankarским“, wydanym niedawno przez Gryf Publication. Po wojnie i śmierci Stalina Winogradow został ambasadorem w Paryżu, umiał po dojściu do władzy de Gaulle'a nawiązać z nim poprawne stosunki i stąd przypisuje mu się ważną rolę w zbliżeniu, jakie między Paryżem a Moskwą w tym okresie nastąpiło.

Rosja, jak wiadomo, nie podziela arabskiego programu zniesienia państwa Izraela i możliwe, że żydowskie pochodzenie Winogradowa nie jest pozbawione związku z tą różnicą między skrajnymi dążeniami Arabów a stanowiskiem Kremla.

POCAŁUNEK

Kilmalkeder jest skromną wioską. Pola obfitują w kamień, a skąpią ziarna; do malowniczej zatoki mila z okładem; miejsce jakich setki napotkać można na całym zachodnim wybrzeżu. Ślady dawnej sławy ukryte są wśród zieleni i głazów. Niekiedy ukryte tak zrecznie, że nawet domyślić się ich nie jest łatwo. Dopiero gdy w ciszy przedwieczoru dotkną grzbietu grubo ciosanego kamienia powietrze wokół wibrować zaczyna opowieścią...

Kiedyś władca tych stron miał w swym królestwie bardzo wielu złodziei. Nazywano to „plagą“ albo „urodzajem“, w zależności od tego, jak tam kto na sprawę patrzył, jakie z niej wynosił korzyści, czy ponosił szkody. Plaga bowiem i urodzaj niczym się właściwie od siebie nie różnią, za wyjątkiem punktu widzenia, który, jako zjawisko subiektywne, nie powinien zaciemniać sądu rozumnych.

Niektórzy ze złodziei byli chudzi i ozdobieni wesołymi uśmiechami urwpołciów, ale inni grubi i ponurzy. Król lubił pierwszych, ale nie cierpiał drugich. Nie cierpiał dlatego, że byli tłuści; także za ich natrętny spryt, dzięki któremu potrafili wcisnąć się nawet w szeregi nadwornych dygnitarzy; ale przede wszystkim za brak uśmiechu. Wymyślił więc rzecz, która na zawsze zjednała mu przydomek Sprawiedliwego. Imię jego zaginęło — jeszcze przed brzaskiem dziejów — ale ocalał przydomek i niewyraźny cień czynów.

Król od dawna nosił się z zamiarem wzniesienia nowego skarbcza, a (mając sprawę złodziei na uwadze) kazał go przez siebie reguł: nie było tam krat, ani zamków, skobli i straży, a tylko wąskie korytka, skobli i straży, a tylko wąskie drzwi i okna, ledwie umożliwiające przedostanie poprzez ściany z brył kamienia. Chudzi złodzieje mogli się przecisnąć do środka i z powrotem, pod warunkiem, że nie obladowywali nazbyt zdobyczą kieszeni, ale brali tylko jakiś drobiazg, czy kilka monet na własne potrzeby, lub aby ucieszyć serdeczne im dziewczęta.

Król znał swych poddanych: wiedział, że nie nadużyją przywileju, jeśli nie z miłości do prawa i praworządności, to z wrodzonego im lenistwa.

Chudzieli uśmiechali się teraz jeszcze częściej niż poprzednio, chwalili króla i kochali go. Natomiast tłuści, a ponurzy wpadli we wściekłość i w rozpacz. A nie umiejąc inaczej zemścić się na chudych, poszli do władcy, uzbrojeni w cały arsenał oszczerstw.

— Panie nasz! — wołali — Odkąd wzniosłeś swój skarbiec, mnóstwo łotrzyków, którzy żyli poprzednio na koszt, by tak rzec, Waszej Królewskiej Mości, rzuciło się jak szarańcza na nasze dobra i skarby. Nie możemy się

ustrzec. Twoi rycerze, sami chudzi, trzymają ze złodziejaskami, Twoi poci pisują na ich chwałę pieśni i w ozdobne sonety ubierają wyuzdaną naogół ich dziewcząt. Panie nasz, ratuj!

Król uśmiechnął się i odrzekł, mierząc wzrokiem brzuchy ponurych złodziei:

— Bardzo słusznie, że przychodzicie do mnie po opiekę, która od władcy słusznie się wam należy. Wam i waszym dostatkom. Ponieważ — jak sami twierdzicie — skarbiec mój jest aż nazbyt bezpieczny, skarby wasze będą w nim — dla ich ochrony — natychmiast złożone. Oczywiście, gdy przyjdzie wam ochota, czy zajdzie potrzeba, możecie zawsze tam wchodzić i odbierać bez żadnego pokwitowania dowolną część depozytu...

Nurt wieków, wichur dziejów zniszczyły królewski skarbiec i nadwyreżyły u potomków jego poddanych obyczaje, którym mądry władca patronował. Żył jednak wśród ludzi pamięć lepszych czasów i tęsknota za nimi: Gdy w XII. wieku w Kilmalkedar budowano kościół, jedyne istniejące jeszcze wtedy okno skarbcza ze wciąż doń przeniesiono i umieszczono we wschodniej ścianie prezbiterium, światło padało przezeń na ołtarz i jego niepojęte tajemnice. Z kolei i kościół poszedł w ruinę szczerbiącą się wśród zaludnionego tylko chwastami i krzyżami cmentarza.

Ale Wschodnie Okno ocalało. Do dziś tubylcy oraz liczni przybysze, pielgrzymi i włóczędzy próbują się przez nie przecisnąć jak przez ewangeliczne ucho igielne, wróżąc z sukcesu lub niepowodzenia w tym przedsięwzięciu o swym charakterze.

W wiosce samej droga biegnie między dwoma głazami. Jeden z nich ciągle jeszcze zwie się „Kamieniem Złodzieja“. Wokół, na całym półwyspie Dingle, a i dalej, szerzej, w kamiennych ogrodzeniach pól, cmentarzy, opactw, przedhistorycznych fortów, furtkę zastępuje często wąska szpara, którą przedostawać się trzeba do upatrzonego wnętrza... I wracać. Z pustymi rękami. Ale z sercem opitym wzruszeniem. I z uśmiechem. Bezroskim uśmiechem chudego złodzieja.

* * *

Niedaleko od Ventry, parę mil na zachód, wylądował niegdyś Daire Donn, Pan Świata, ze swymi wojskami, by podbić Irlandię. Pokonał go jednak Fionn Mac Cumhaill. Do dziś oglądać można grób najeźdźcy-wielkoluda. W

ruinach zamku Rathain, w zawalonych lochach, mieszkają lisy. Z nor cuchnie ciepłym kręgiem ich życia. Dalej, ku przylądkowi Slea, stawia czoło Atlantytkowi przedhistoryczne kretowski forte Dunbeg. Mocem, które rzeźbiły w skale brzeg, pomagał na miarę swych sił człowiek: rył tunele, sypał wały i układał z płaskich kamieni mury i sklepienia. Zapewne był upojony dumą i podziwem dla własnych dzieł. Uśmiechamy się z czułą wyrozumiałością porównując rezultaty prac żywołów i ludzi.

— Człowiek. Zawsze taki sam: dziecinnie zarozumiały, niepohamowany w gniewie, nieokiełznany w pożądaniu, w tęsknocie, jakże często wydany na łup zawodom i rozczarowaniu...

— Cóż chcesz? Brat nasz i bardzo do nas podobny.

— Wiem, wiem. To dlatego, choć zdaję sobie sprawę z ogromu uroku skał, jednak tę kupę kamieni nagromadzonych z trudem, kocham bardziej.

Wracamy ku drodze. Musiała tu być kiedyś ludna okolica. Setki przedhistorycznych domostw centkują okoliczne wzgórza. Nielicznie tu teraz osiadli chłopcy do dziś wznoszą wiele zabudowań gospodarskich według zamierzonego wzoru.

Jeszcze kilka milowych kroków i docieramy do zachodniego kresu Europy. Ciemne sylwetki wysp Blasket tkwią w odmęcie jak zagraniczne kamienie. Piękne i smukłe — nagrobki odwiecznych tęsknot — kuszą, przywołują, onieśmiewają. Ocean ostrzega: niepohamowane fale przelewają się przez skały, pod osłoną których schody zbiegają jak po zgitym ramieniu w czeluści miniaturowej zatoki. W niej wystawia ku zmiennemu niebu czarne, smolne brzuchy niespełna tuzin currachów — tubylczych łodzi rybackich, którymi przepłynąć można na wyspy, lub dalej, w nieznanym odmet, po ryby, przygody i niepowrót.

BURREN

Z rana chodziliśmy po doskonale utrzymanych, czy raczej odrestaurowanych, salach zamku Bunratty. Nagromadzone tu przedmioty — meble, rzeźby, broń, tkaniny dobierane z gustem i znowostwem stwarzają obraz przekonujący: tak właśnie mogło wyglądać wnętrze rezydencji możnowładcy po stuleciach nieprzerwanego grabieża dobrobytu, zasobności. W Wielkim Hallu i w sypialni pana zamku zwisają z sufitu renesansowe kandelabry: syreny

KAMIENIA (Cz. II)

dźwigające herbowe tarcze. Wyrastają im jak skrzydła u boków, jelenie rogi. Ten południowo-niemiecki koncept (identycznego niemal dziwołaga oglądać można w salzburskim muzeum) zaskakuje i dziwi, gdy go napotkać parę mil na zachód od Limerik. Dziwi, ale nie razi. Jakie by nie były drogi, którymi morskie stwory przywędrowały tu, trafna intuicja podniosła je popod zamkowe sufity.

Od renesansowej, czy renesansowo wyposażonej i dekorowanej rezydencji droga prowadzi nas z rosnącym pośpiechem i gwałtownością poprzez młodzież naszej kultury — franciszkańskie klasztory w Quin czy Ennis, katedrę romańską w Kilfenaroku, ku jej brzaskowi znaczonemu jasno, twardo, z zadziwiająco doskonałością wyrazu przez monumentalne krzyże — często kilkumetrowej wysokości — zawsze bogato rzeźbione, czy to w zawiłą dekoracyjną wieć, czy w sceny zwykle o charakterze religijnym, ale niekiedy obrazujące życie owych czasów, jego trudy, zajęcia, radości. Krzyże pochodzą z wieków od VII do XII. Z wieków, o których wiemy mało i dlatego, aby zamaskować własną ignorancję, lubimy je nazywać „ciemnymi“.

Jakby pierwszym przeczuciem rzeźbionych kolosów jest krzyż dwuramienny z Killinaboy, w kształcie litery T, o ramionach zakończonych rzeźbionymi twarzami, nie umieszczonymi jednak na bokach, lecz na wierzchu poprzecznej belki wpatrzonymi w niebo. — Jak to w Irlandii we zwyczaju — nie ustalono dotąd, nawet w przybliżeniu, daty tej zagadkowej rzeźby, można w niej jednak widzieć jakby punkt graniczny, zwornik między Starym i Nowym, klucz w Łuku Dziejów.

Minąwszy ów próg wступujemy od razu w miejsce, gdzie czas stoi od zawsze, w onieśmielającą i pociągającą dziwną urodą krainę: w „Kamienną Okolicę“ — The Burren. Nazwa nie jest tu irlandzką przesadą. Wygląda jakby Przedwieczny Gospodarz zasiał tu kamień, jak gdzie indziej sięją ziarno. Plon jest obfity. Głazy szczelnie — jak niwa dojrzałej pszenicy, jak zagajnik, pokrywają wielomilowe, pagórkowate przestrzenie.

Nie wiedzieć kto, nie wiedzieć po co, dzieli pustynię kamiennymi płotami na osobne półka. Właśnie, jakby ktoś cały bezsens zachłanności chciał pokazać naocznie. Nawet cierpliwy osioł i skrzętna owca tracą tu nadzieję na krzytę

pokarmu i schodzą ku lekko zieleniejącym, nie częstym jarom.

A przecież w tym pozornym pustkowiu znalazły przytułek dziwne i rzadkie zioła, jak choćby odmiany jaskrawobarwnych i szafirowych skalnic, gen-cjan-goryczek. I człowiek żył tu kiedyś: świadczą ruiny i groby — choć nie od dziś wydaje się to nieprawdopodobne. Gdy wojska Cromwela doszły do tego miejsca, któryś z jego generałów miał powiedzieć z żalem i złością: „Nie ma tu i drzewa, by człowieka powiesić, ani dość wody by go utopić, ni ziemi by go pogrzebać“.

CONNEMARA

W tym zachodnim zakątku hrabstwa Galwey rzeczywistość fika koziołka i wszystko jest jakby w zawikłanej komedii, inaczej niż naprawdę i „żeby było trudniej zgadnąć“: Na morzu więcej wysp niż wód, na lądzie więcej jezior niż ziemi. Zatoki wnikają głęboko w krainę ziół i kamieni, półwyspy w ocean i jest człowiekowi właśnie, jakby żył w Drugim Dniu Stworzenia, gdy podział ziem i wód nie dokonał się jeszcze.

Na jasnych, cichych rozlewiskach stada łabędzi i czaple. Nie widać tylko ludzi-rybaków. Intratny proceder odstąpił ptakom niebieskim, kontentując się kontemplacją legend i słodkim lenistwem.

Na brzegu zatoki, o dobre pół mili od szosy, wznoszą się zabudowania fabryczne, a raczej ich szkielety. Najmniejsza nawet ścieżka nie prowadzi w tamtą stronę.

— Co też oni mogą tam fabrykować?

— Ależ ryby! — odpowiada Janusz. Ryby oczywiście. A potem wrzucają je do morza.

Spoglądam na mego przyjaciela z podziwem. Jego wyjaśnienie tak dokładnie pasuje do irlandzkiej rzeczywistości, a tymbardziej do tego tu miejsca, jakby to jemu właśnie poruczono powołać ten kraj z nicości do paradoksalnego, nielogicznego bytu. „Jakby upił się tym samym pięknem i urokiem, od którego wiruje w głowie krajobrazowi, drodze i niebu.“

Zatrzymujemy samochód i ruszamy ku kamienistym szczytom przydrożnych wzgórz, zarówno aby rozprostować nogi i swobodnie nalykać się życia, jak także, by z wysokości stwierdzić naocznie, co w tym świecie należy do wesołych bóstw pól i lasów, a co do królestwa Amfitryty.

W drodze powrotnej trafiamy na owce-matki. Jedna z nich właśnie urodziła jagnię. Całe mokre, nie może jeszcze ustać na poplątanych nóżkach, ale już rozgląda się ciekawie po nowym dłań, szerokim świecie. Matka rezolutnie broni doń dostępu. niecierpliwie zapobiegając nadmiarowi pieszczoł i czułości. O kilkaset kroków niżej spotykamy jej kuzynkę z bliźniakami nieco już starszymi, poruszającymi się swobodnie. Janusz, jak w koledzie, „dobywa głosu baraniego“: jedno z jagniąt słucha uważnie, waha się chwilę, potem odbiega od matki, ku domniemanemu krewniakowi. Dopiero węchem rozeznawszy swą pomyłkę rusza nieudolnym kłusem z powrotem.

— To się nazywa: „nie wierzyć własnym oczom“.

Spoglądamy na rozsnuty u naszych stóp krajobraz. Mój towarzysz kręci głową:

— I jak się tu dziwić jagnięciu?

Przy samochodzie dwa srebrne, kuddate osły czekają cierpliwie jakby na umówione spotkanie. Witamy je serdecznie, jak dawnych przyjaciół, a żegnamy bez żalu. Bo nie żegnamy wcale: należą przecież bez reszty do tej ziemi, do nurtu małych, radosnych niespodzianek, którymi karmi nas ona szczodroliwie.

TARA

Heraklit z Efezu powiedział, że „złymi świadkami są oczy i uszy ludziom, którzy mają dusze barbarzyńców“. Istoty o „duszach barbarzyńców“ zrobią więc lepiej, jeśli Tarę wykluczą z programu podróży: Nie znajdują tam wiele — a raczej nic zgoła — zadziwiającego lub budzącego ich pożądanie. Owe stworzenia — (handlarze żywym towarem nazywają je „turystami“) popełniają bowiem błąd na długo przed przybyciem na łagodny pagórek wśród zielonej, szerokiej równiny: oto „wybierają się tam z wycieczką“, „jadą by zwiedzić“. Rezultat jest z góry przesądzony: będzie nim zawód, rozczarowanie.

Dwa są sposoby poruszania się po świecie, udawania w wędrowkę, które sprzyjają dorastaniu uczuciowemu, osiągnięciu dojrzałości serca: albo można do miejsc z pozoru sobie nieznanych wracać, jak wracamy do własnego domu, albo udawać się do nich z pielgrzymką. Pielgrzymka zresztą [to także powrót do domu: domu-kolebki naszej kultury, czy wiary. Wracamy tam, skąd wyszło kiedyś wzruszenie, moc, dzięki którym staliśmy się czym jesteśmy. Tak ma się rzecz z Compostellą, Rzymem, Canterbury, z zamkiem Tomar, ale także z cmentarzem skorup — Bilbilis, a także z Tarą.

Wszystko to co realne, co uchwytnie zmysłami — jest tu złudzeniem. Rze-
(Dokończenie na str. 16)

czywistość przybiera kształt legend. Nie należy wierzyć trawie i kamieniom, ale wyłącznie temu, w czym tętni wzruszenie, czułość, czy kołaczce zawód, gorycz.

Trzeba więc na przykład ufać, że tu właśnie wznosił król Carnac pierwszy w Irlandii młyn wodny, a to by ulżyć doli frywolnej Ciarnait, dziewczyny od żarn, która pod osłoną nocy przynosiła swemu władcy radość, by wreszcie przynieść mu dziecko. Król był poetą. Wierzy więc również wypada, że miał powody do żalu, do cierpienia o kobietach sądu, gdy u schyłku swych lat powiedział, że są „niepomne w miłości, nie dotrzymujące sekretów, pełne wykrętów, głuche na pouczenia i wskazówki, nierozumnie zmuszające do czekania na siebie, wymowne w głupstwach i zrzeczne wyłącznie w poszukiwaniu rozkoszy...”

Tara była rezydencją królów od zamierzchłych czasów (a w Irlandii czas bywa o wiele bardziej zamierzchły, niż gdzie indziej) aż po pierwsze wieki chrześcijaństwa. Ociekała krwią, poezją i szczęściem. Dopiero gniewni święci V i VI wieku, następcy św. Patrycego, gorliwi w grutowaniu władzy Kościoła nad duszami i ciałami opornych neofitów, przynieśli stolicy zagładę. Ostateczne przekleństwo rzucił na nią św. Ruadhan rozjuszony długotrwałym postem, którego pochopnie się podjął, by w ten niecodzienny sposób narzucić swą wolę Diarmaidowi — ostatniemu jak się potem i aż dotąd okazało — królowi Tary.

Klątwa była skuteczna: budynki poszły w ruinę, wzgórze zarosła trawa. I do teraz tak je widzą roztrzępani turyści. Ale nawet święci irlandcy nie mają władzy bezwzględnej nad poezją i pięknem opowieści. Bowiem w rzeczach największej wagi decyzja należy wyłącznie do ostatecznej instancji. Dlatego dla tych, którym oczy i uszy są dobrymi świadkami, wzgórze jest gwarne i ludne. Dźwięczą harfy i rycerska pieśń odbija się o bogato zdobione tarcze, zawieszane nad głowami biesiadników. I szumi woda u młyńskiego koła ku uciesze frywolnej Ciarnait, czy jej nieodrodnym pracórek.

CASHEL

Kilkugodzinną jazdą potęgą i zniechęcą. Prawda: otrzeźwiło nieco ciche piękno pocysterskiego opactwa w Holycross, ale ostatnie mile znowu przysłoniły oczy szarością. I oto miękkie światło przedwieczoru rozrywa ciemny piorun: sylwetka skały Cashel. Rozdrażnienie i zniechęcenie opadają jak szmata z rzeźby w pracowni mistrza. Wzroku ani uwagi oderwać nie można od doskonałej całości: Skały i architektura wielu wieków zrosły się tu w jedno:

Wczesnogotycka katedra wciśnięta

jest skromnie między starsze budynki. Na grobowcach, na ogołoconych ze wszystkiego poza pięknem ścianach, rzeźby, których naiwność idzie o lepsze z mocą wyrazu: anioł z mieczem w prawicy waży dusze nie dbając o zakusy zachłannego diablęcia; w rzewnym Ukrzyżowaniu, Matka Boska i św. Jan, skrzepowani ciężarem sztywnych szat martwią się przeciw najszczerzej, najprościej; upierzony, czy łuską rybią pokryty słoń o swińskim ryju i uszach jamnika dźwiga cierpliwie wieżę, a na niej, jak na gnieździe, rozpartego gryfa. Wyżej, do ozdobnej niszy zawędrował skrzat o poczwarnym ciałku karła i szelmowskim uśmiechu.

Ale wszystko błędnie, płowieje wobec „Kaplicy Cormaca“. W istocie nie jest to kaplica, a spory romański kościół wzniesiony między 1127 a 1134 rokiem. Zwarty w koncepcji, artystycznie celowy w każdym szczególe, jest pomnikiem myśli i ukoronowaniem estetycznych marzeń pojedynczego człowieka, równocześnie zawierając w sobie wszystko, co w dziedzinie piękna przyniosła romańskiemu światu Irlandia. Budowla jest kwintesencją paradoksów: surowa, a równocześnie ozdobna, prosta w planie, a przecież pełna architektonicznych niespodzianek, budząca ufność solidnością, a jednak nad podziw strzelista. Kamienny dach ciężar swój równoważy strzelistością. Małe odrzwia północne ogromnieją wielokrotnością różnie zdobionych luków.

W innych kategoriach, dla innego stylu i czasu, jest przecież kaplica jakoś Sainte-Chapelle, tylko głębiej świadcząca mądrości, bo wyzbyta — pięknej zresztą w cacku św. Ludwika — ostentacji. Powstała o wiek wcześniej, ale jak tamta, w ciągu kilku lat zaledwie, wyraz myśli władcy, jest szczytowym osiągnięciem określonego stylu w swej ojczyźnie. Jak tamta także, po oczarowaniu parterem zaskakuje urokiem piętra.

Kaplica jest symbolem ufności, nadziei: młody król wznosił ją po powrocie z wygnania. Jest czułą pieczęcią utrwaloną w kamieniu. Wydaje się, że nie ma na ziemi zgryzoty na którą nie znalazłaby się tu pociecha, ani wzruszenia, któremu odmówiono by w niej przytułku. Na północnym tympanonie, nad uroczystym wejściem, to nie święci Pańscy trzymają straż: rozgościły się tam Centaur i Smok — uosobienie świeckiej, pogańskiej radości życia i jego pokus. Kościół romański to Kościół prawdziwie Powszechny. Wieczny niepokój cichnie tu, schyla rozczochraną głowę.

W Blarney całus złożony na wargach kamienia przynosić miał dar wymowy. Tu kamień obdarza łagodnym milczeniem... Nie, nie milczeniem: ciszą.

Mieczysław Paszkiewicz

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Anders Władysław

BEZ OSTATNIEGO

ROZDZIAŁU

35s

Sosnkowski Kazimierz

MATERIAŁY

HISTORYCZNE

63s

Rudnicki Jan

SŁOWA A CZYNY

65s

Narbut-Łuczyński J. A.

U KRESU

WĘDRÓWKI

52/6s.

Korboński Stefan

W IMIENIU

RZECZYPOSPOLITEJ

63s

Nowakowski Zygmunt

WIECZORY

POD DĘBEM

42s

Tomkiewicz Mina

BOMBY I MYSZY

35s

Grabowski Zbigniew

OJCZYŻNA EUROPA

50s

Kuniczak W. S.

THE THOUSAND

HOUR DAY

42s

Korboński Stefan

WARSAW IN EXILE

42s

Przesyłka każdej książki 4s.

Polacy w romantycznym Paryżu

„Si le bon roi Henri me donnait Paris, sa belle ville...“, „Gdyby dobry król Henryk dał mi Paryż, swe piękne miasto...“, cytuje zgryźliwy Alcest Moliera piosenkę pełną prostoty, aby autorowi dworskiego sztucznego madrygału pokazać jak należy pisać wiersze. Poeta nie przyjąłby Paryża, tego wspaniałego daru, gdyby mu w zamian za to kazano opuścić ukochaną: „O bon roi Henri, reprenez votre Paris, j'aime mieux m'amie“ — wolę moją najmilejszą“.

Wiemy, że sam ów król, Henryk IV, zapłacił za Paryż mszą, przyjmując katolicyzm, — i czekać musiał dziesięć lat zanim mógł wkroczyć do zdobytego za tak wysoką cenę miasta. I, że w tym ukochanym Paryżu spotkała go gwałtowna śmierć z ręki fanatyka i mistyka — Ravaillaca.

Paryż budził zatem miłość na długo przed epoką romantyczną.

Kochały go również, znacznie wcześniej, owe kilka tysięcy dzikusów zamieszkałych na wyspie o kształcie statku osiadłego na mieliźnie. Musieli go kochać skoro pod wodzą Vercingetorixa stawili czoło inwazji rzymskiej. Spalili swą osadę i mosty zbudowane z pali, potem okopali się na bagnach w dorzeczu Bièvre. Wojska cezara przeprawiły się jednak przez rzekę w pobliżu dzisiejszego Caillot. Na równinie Grenelle rozgorzała walka i wszyscy niemal obrońcy Lutecji, „miejsca wśród wód“, wyginęli w tej bitwie. Był to rok 52 przed Chrystusem. Po siedmiu latach niewoli pokonany wódz, zakuty w kajdany, uświetnił tryumfalny wjazd Cezara do Rzymu i został stracony w więzieniu Mamertyńskim.

Przez 400 lat milczy literatura o Paryżu. Milczenie przerwie dopiero Julian Apostata, który mieszkał w termach, na ulicy La Harpe. Kocha Paryż i chwali — o ironio losu! — surowe obyczaje jego mieszkańców.

Lutecja pięknieje, otrzymuje dwa mosty, święta Genowefa ratuje miasto od wojsk Attyli, ale jeszcze za Karola Wielkiego nazywa ktoś Paryż najmniejszym miastem Galii. Dopiero Hugo Capet uczyni go stolicą królestwa i miasto rozpocznie z tą chwilą swój pochód cywilizacyjny w dziejach ludzkości. Budzi on miłość nie tylko jako stolica kraju, wśród własnego narodu; już w w. XII. bowiem staje się miastem literatury. Powstaje tu uniwersytet i dziesięć tysięcy słuchaczy gnieździć się będzie na placu Maubert, w ciasnych izdebkach, aby później spieszyć na wzgórze św. Genowefy by słuchać Lombarda, Wilhelma de

Champeaux, a przede wszystkim Abelarda, nieszczęsnego, okaleczonego kochanka Heloizy.

Przyszły ciężkie czasy na Paryż. Bruki miasta spłynęły krwią, zaraza zdiesiątkowała ludność; Jan bez Trwogi został zamordowany, jego żona Izabella i syn wydali Paryż Anglikom. Do miasta wjechał tryumfalnie Henryk V. Książę Bedford rezydował w pałacu des Tournelles, tam, gdzie dzisiaj znajduje się Palais Royal. Żołnierze angielscy pełnili straż przy bramach przez 16 lat.

Daremnie usiłowała odbić miasto Dziewica Orleańska szturmując bramę Saint-Honoré. Kiedy zdobyła wał ochronny i lancą próbowała zbadać głębokość fosy, strzała wypuszczona z kuszy przeszła jej oba uda. Mimo jej protestów żołnierze unieśli ją z pola. Szturm został przerwany.

Dopiero w sześć lat później mieszkańcy, wyczerpani wojną, głodem i zarazą, sami zaprosili rojalistów. Wojska konta bla de Richemont wkroczyły przez bramę Saint-Jacques, witane z entuzjazmem przez ludność. Anglicy wyszli wówczas z Bastylii i krocząc w trzech szeregach poszli ku halom i do bram miasta. Pożegnano ich gradem kamieni. „Dzwony były, ludzie całowali się na ulicach“ — pisze współczesny kronikarz.

Jadwiga Dackiewicz, autorka książki „W romantycznym Paryżu“, musiała również rozmiłować się w tym mieście. W siedmiu szkicach, poświęconych wybitnym ludziom z epoki romantyzmu, a poprzedzonych krótkim wstępem „Trochę o Paryżu“, wskrzesza przeszłość i przywraca jej barwy życia. Opierając się na dokumentach i listach, wydobywa wiele nieznanych szczegółów, ożywia wszystko anegdotą i świetnie oddaje atmosferę romantycznego Paryża.

We wstępie cytuje jeszcze kilku poetów opiewających piękno miasta, ale i tych również, którzy uważają je za „siedzibę występku“.

A zatem — pierwszym prawdziwym poetą rozmiłowanym w Paryżu jest Eustachy Deschamps, który, choć urodzony w Vertus, pisze tak w „Pożegnaniu Paryża“:

„Zegnaj, moje kochanie, zegnaj moja miła,
Zegnaj, moście ogromny i łaźnio parowa,
Zegnaj mi, luba klaczko, dobrześ mi służyła,
Zegnaj łożu, gdzie dziewczka dla mnie wdzięki chowa,
Zegnaj, jadło obfite, żal mi cię nielada,
Zegnaj, Paryżu, zegnaj, dzisiaj hold ci składam...“

Clément Marot, poeta Odrodzenia, napisze śliczne rondo: „W Paryżu, mieście uroczym...“. Ronsard z Plejady zawoła:

„To ty, Paryżu, o miejsce kwitnące,
Żadne z miast innych nie tak czarujące,
Żadnemu przecie stroić się nie uda
W podobne twoim uroki i cuda.
O matko ludu, co możny i śmiały,
Ciebie dostatki, sztuki pokochały“.

Dla Agrippy d'Aubigné, dziada pani de Maintenon, żyjącego w czasach masakry hugonotów, Paryż jest Jeruzalem przeklętym, jak u Jeremiasza i Izajasza. Ze zgrozą opisuje pożary i masakrę na ulicach.

Roussau boi się Paryża. „Miasta są przepaścią dla rodzaju ludzkiego“. W „Emilu“ pisze: „Zegnaj więc, Paryżu, miasto sławy, miasto hałasu, dymu i błota, gdzie kobiety przestały wierzyć w godność, a mężczyźni w cnotę...“

W czasie rewolucji pojawia się motyw zagłady Paryża, któremu istotnie grozi poważne niebezpieczeństwo.

„I ujrzymy niedługo miasto naszych marzeń
Zamienione w stos wielki, rozległe cmentarze...“

Poezja łączy się teraz z retoryką polityczną. Danton woła w Konwencie 14.VI. 1793: „Paryż staje się ośrodkiem do którego wszystko zmierza. Paryż będzie ogniskiem, które skupi cały patriotyzm francuski. Spłoną w tym mieście wszyscy wrogowie!“ Robespierre, atakując Żyrodystów, wygłasza panegiryki na cześć Paryża: „Paryż jest kolebką wolności, Paryż będzie jej najmocniejszym bastionem“. Miasto jest dla niego symbolem całej ludkości: „Wszędzie, panowie, lud ma tę samą wartość i te same zasady. Paryż jest tylko czymś w rodzaju ogólnego scalenia tych zasad; to już nie miasto sześciuset tysięcy obywateli. To lud francuski, to rodzaj ludzki, to opinia publiczna, niezwykły symbol powszechnego rozumu“.

Napoleon, jeszcze u początków swej kariery, w przejeździe z Tulonu na Maltę, powiedział: „Gdybym został panem Francji, chciałbym uczynić z Paryża najpiękniejsze miasto z miast istniejących, najpiękniejsze z tych, które istniały kiedykolwiek, a także i najpiękniejsze z tych, które mogłyby istnieć“.

I uczynił wiele w tym względzie. Za jego panowania ukończony został plac Gwiazdy, wytyczono ulice rozchodzące

(Ciąg dalszy na str. 18)

Nie zakochał się. Za to mała Kora przechorowała ciężko swą pierwszą miłość. Czy umarła? Nie. Straciwszy nadzieję, wyszła za mąż za młodego pana Champfleury, ale do końca życia kładła potem bukietki fiołków na grobie Juliusza i obowiązek ten przekazała swym wnukom w testamencie.

„Wist w hotelu Lambert“. W tym szkicu ukazuje nam autorka „niekoronowanego króla Polski“ — Adama Czartoryskiego, jego żonę Annę z Sanguszków i Juliana Ursyna Niemcewicza jako partnera wista.

W r. 1834, kiedy Adam Czartoryski po trudach podróży wjechał w rogatki Paryża, stolica Francji była całym sercem oddana sprawie polskiej. Pamiętano słowa Napoleona na świętej Helenie: „Poświęciłem Polaków dla błahostek. Powiniem był odbudować Polskę; to klucz do gmachu Europy“. Mowa Lafayette'a odbiła się szerokim echem: „Cała Francja jest polska. Rząd francuski, śmiem wierzyć, polski jest również. Wszakże, w imię Boże, niechże to żywo okaże!“

Na obchodzie rocznicy powstania Lafayette odział swą potężną postać w mundur pierwszego regimentu grenadierów warszawskich.

Na Czartoryskiego spadł obowiązek reprezentowania tutaj Polski i czuwania nad jej przyszłymi losami.

Jednym z pierwszych gości w paryskim apartamencie pałacu na ulicy St. Philippe-du-Roule (Hotel Lambert kupił Czartoryski później, za poradą teściowej) był Fryderyk Chopin. Książę Adam i jego żona rozkochali się z miejsca w wesółym, eleganckim i genialnym muzyku.

Anna była nieładna. O 17 lat młodsza od księcia Adama, zakochała się jak pensjonarka w mężczyźnie, który miał już bogatą przeszłość miłosną. Bała się tej przeszłości, a muzyka Chopina budziła w nim pamięć dawnych, bolesnych przeżyć sercowych: wspomnienie Marysi Niezabitowskiej, wychowanki hetmanowej Ogińskiej. Małżeństwo nie doszło do skutku, sprzeciwiła mu się matka, energiczna Izabella z Flemingów Czartoryska. Potem pamięć wielkiej miłości (czy tylko pamięć?) do wielkiej księżnej Elżbiety, żony następcy tronu — Aleksandra. Była to obustronna, bolesna miłość. Car Paweł zarzucił nawet w oczy księciu, że jest ojcem jej dziecka — co było prawdą. Wysłano winowajcę jako posła do Sardynii. Spotkali się dopiero w 15 lat później na Kongresie Wiedeńskim. W pamiętniku swym zanotował wówczas: „Tu ją widzę zmienioną mocno, ale dla mnie zawsze tę samą ze strony jej i moich uczuciów. Utraciły swego żaru, dosyć jednak siły zachowały, aby było wielką męczarnią nie widzieć jej wcale...“

Cierpiał wówczas podwójnie: przez nieszczęśliwą miłość i klęskę politycznych swych planów, bo udało mu się wykołatać dla Polski tylko Królestwo Kongresowe.

Anna, niekochana Anna, dała dziedzicę rodowi. Urodziła mu troje dzieci i wychowała je po polsku. Była mu oddana bez granic, stworzyła Adamowi dom i salon, w którym starała się zgromadzić wszystko, co było w Paryżu godne uwagi. Roztoczyła opiekę nad dziećmi emigrantów, dbając o to, by się nie wynarodowiły. Była dzielnym, wiernym towarzyszem życia.

Książę zachodził czasem na posiedzenia Izby Parów. Na galerii dla widzów przysłuchiwał się przemówieniom. I tak pewnego razu usłyszał przemawiającego

króla poetów francuskich — **Wiktora Hugo**.

„Dwa narody... od czterech wieków odgrywają w cywilizacji europejskiej rolę szczególną. Te dwa narody, to Polska i Francja. Francja rozproszyła ciemności, Polska odepchnęła barbarzyństwo. Lud francuski stał się misjonarzem cywilizacji, Polska stała się jej rycerzem“.

Tenże sam Hugo jednak, kiedy odwiedził go zgrzybiały Niemcewicz, prosząc, aby napisał powieść o nieszczęściach Polaków i okrucieństwach carskich, wybąkał po namyśle: „Z przyjemnością zajmę się tym — kiedyś — Monsieur, teraz jednak jestem ogromnie zajęty. Wydaję akurat w tej chwili dwa tomy moich

(Dokończenie na str. 20)

SOS recepta z kraju...

Dr. Karol Kratowski
Poznań, Półwiejska 1

Imię i nazwisko chorego: A. Pomorski

Rp.

Librium @ 10 mg. 100 tabl. (ANGLIA)
Melleril @ 25 mg. 250 tabl. (ANGLIA)
Persantin 75 dragées (NIEMCY)
Flagyl @ 250 mg. 20 compr. (FRANCJA)
Trecator @ 250 mg. 40 compr. (FRANCJA)
Robaden 30 amp. (SZWAJCARIA)

Data: Poznań 2.1.1966
Dr. Med. K. Kratowski
Podpis i stempel lekarza

P.S. Doradzam załatwić przez TAZAB w Londynie, bo wykona matychunia!

22 ROLAND GARDENS, S.W.7 · FRE -3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100, EAST 10th ST., N. YORK 3. NY.
WE FRANCJI: TAZAB, 20, RUE LEGENDRE, PARIS 17., Tel. 429-00-45

KIEDY w pierwszych latach międzywojennego okresu teatry polskie zaczęły wystawiać pięknie przez Zofię Jachimecką przetłumaczone dramaty tego smętnego sycylijszycy, publiczność nasza przyjęła je bez wielkiego entuzjazmu, ale też bez gwałtownych protestów. Większość nie mogła po prostu zrozumieć, o co autorowi właściwie chodzi? Jakieś „rozdwojenie osobowości“, jakieś rozważania na temat własnego „ja“. „Czy jesteśmy tacy, za jakich siebie sami uważamy, czy też, jakimi widzą nas inni“? Któż by się nad tym zastanawiał...? Aktorzy grali doskonale, a to było najważniejsze. (Jakież bogactwo talentów scenicznych mieliśmy wówczas w Polsce!) Niektórzy spośród publiczności, wzruszali tylko ramionami, stukając się znacząco w czoło.

We Włoszech reakcja publiczności była bardziej temperamentowa. Po premierze sztuki „Sześć Postaci

(Dokończenie ze str. 19)

dawniejszych utworów. Poza tym pisze także sztukę teatralną i powieść!“

Niestawo mu nigdy czasu na napisanie takiej powieści.

„Koncert na Quai d'Orléans“ — to oczywiście Chopin: Chopin-nauczyciel, kazały uczniom swym szukać „błękitnego tonu“, ideału muzyki; Chopin chory, wracający do wspomnień lat młodzieńczych, Warszawy, Konstancji Gładkowskiej, Wiednia i wybuchu listopadowej rewolucji; Chopin umiejscowiony w mieszkaniu na Quai d'Orléans pod numerem 9-tym, w bliskim sąsiedztwie pani Sand, która mieszka w pawilonie pod nr. 5-ym, ale Chopin nie mieszczący się ani w Paryżu, ani nawet we Francji — Chopin wieczny, jak jego muzyka.

Przytoczone w książce cytaty są przekładem autorki. Jadwiga Dackiewicz jest znaną tłumaczką poezji i prozy francuskiej. Wydała przekład tak bardzo trudnych do przełożenia „Pieśni“ Marie de France. W r. 1962 wyszła jej książka o Mussecie pt. „Odmiany miłości“. Omawiana powyżej książka napisana jest nie tylko z erudycją, ale i z dużym talentem literackim. Wielką zasługą autorki jest zaznajamianie z kulturą francuską polskiego społeczeństwa, w dzisiejszych warunkach tak dotkliwie odciętego od źródeł, z których w ciągu wieków czerpać mogło bez ograniczeń.

Jadwiga Dackiewicz — „W romantycznym Paryżu“. Czytelnik, 1966. Obwolutę i okładkę projektował Jan Bokiewicz. Str. 264, 3 nlb.

HILDA JANKOWSKA

LUIGI PIRANDELLO W CIENIU

Scenicznym w Poszukiwaniu Autora“ Pirandello musiał bocznym wyjściem ratować się przed groźbą pięści. Wkrótce też stali bywalcy teatralni podzielili się na dwa wrogie sobie obozy: zapalonych „pirandelistów“ i równie gorących przeciwników jego twórczości, którzy w czasie przerw między aktami usiłovali przekrzywić się wzajemnie. Wówczas autor wysuwał się nieśmiało przed kurtynę i ledwie dosłyszalnym głosem próbował wytłumaczyć zasadniczą ideę swoich dramatów. Widząc, że nikt go nie słucha, rozkładał ręce rozpaczliwym ruchem, jakby chciał przeprosić wszystkich, że to właśnie on jest powodem tego zamieszania.

Dziś, słuchając tych z okazji studium wznowionych sztuk Pirandello, (radio londyńskie nadało ostatnio „Henryka IV“, „Jaką mnie chcesz mieć“ oraz „Zasady Gry“), trudno nam zrozumieć, dlaczego dokoła ich autora powstała niegdyś taka burza.

Luigi Pirandello urodził się w 1867 r., w Agrigento, jednym z najbardziej bogatych w antyczne wspomnienia miast Sycylii. Ojciec, jego, signor Stefano, właściciel kopalni siarki, był człowiekiem tak odważnym, że nawet osławionej Mafii potrafił stawić czoło. Matka przyszłego pisarza, drobna i zawsze zalekciona, donna Catarina, umiała tylko łzami protestować przeciw wciąż zmieniającym się amorom swego kochliwego męża. Luigi, który z wyglądu był do niej podobny, odziedziczył jednak po ojcu duży zapas silnej woli. Wybór kariery literackiej, którą rozpoczął mimo sprzeciwu „papy Stefana“, był właśnie jednym z takich rzadkich wybuchów energii. Pod pozornym spokojem musiał też ukrywać się wulkan temperamentu, jeśli będąc na drugim roku wydziału filozoficznego, zareagował tak gwałtownie przeciw krytyce jednego ze swoich profesorów, że musiał opuścić uniwersytet rzymski. Wtedy przeniósł się do sławnego uniwersytetu w Bonn, gdzie w 1891 roku uzyskał tytuł doktora.

Uniezależniony materialnie, dzięki hojności ojca, Luigi poświęcił się teraz niepodzielnie pracy twórczej.

Nie był on zresztą nowicjuszem w tej dziedzinie, gdyż już w roku 1889 wydał swój pierwszy tom poezji, które nie wywarły zbyt wielkiego wrażenia.

Mimo, że Sycylia była miejscem jego urodzenia, Luigi nie czuł jednak wielkiego przywiązania do tej „wyspy ognistej“ — jak ją niegdyś nazwał Dante. Czy zbyt boleśnie przypominał mu się tam pierwszy zawód miłosny, czy odstraszało go złe życie rodziców, dość że Rzym był zawsze jego duchową ojczyzną. W Rocca di Papa, malowniczej miejscowości, położonej zaledwie o kilkanaście kilometrów od włoskiej stolicy, zamieszkał Luigi w zacisznym hoteliku i zabrał się do pisania tych swoich nowel i powieści, które po pierwszej wojnie światowej zostały objęte 14-tomowym wydaniem.

To spokojne i systematycznie uregulowane życie, rozbił nagle grom ojcowskiego rozkazu „Wracaj natychmiast. Mam dla ciebie żonę“. Takie ułożone przez rodziców małżeństwo były — i zapewne są jeszcze — zwyczajem sycylijskim. Więc też Luigi zjawił się posłusznie w domu rodzicielskim, gdzie dowiedział się, że za kilka dni ma poślubić młodszą córkę ojcowego współnika, Antonietę Potulano..

W czerwcu 1894 r. młoda para zamieszkała w pięknie urządzonej mieszkanie przy Piazza Barberini, gdzie posag Antonietty i dochód z kopalni umożliwiły im bez troski życie. Może mogłoby ono być nawet zupełnie szczęśliwe, gdyby przyszły lauret Nobla nie był przesiąknięty takim beznadziejnym pesymizmem. Zresztą rok 1904, rozpoczynając długi szereg katastrof, usprawdliwił ponure przeczucia pisarza. Woda, zalewając kopalnię siarki, zalała równocześnie posag Antonietty oraz podstawy egzystencji rodziny Pirandello. Antonietta, zawsze wątpła i wrażliwa, czuła się wyjątkowo osłabiona po urodzeniu ostatniego z jej trojga dzieci, Fausta. Wiadomość o ruinie majątkowej spowodowała ciężką chorobę nerwową, która potęgując się z roku na rok, zakończyła się dopiero z jej śmiercią w 1918 roku. Mimo jednak, że te czternaście lat

WŁASNYCH TRAGEDII

przeżyte pod gradem niesłusznych oskarżeń były jedną, nieustającą męką, Pirandello, kierowany litością dla swej chorej żony, nie zastosował się do rady przyjaciół i zatrzymał ją w domu do końca.

Chcąc utrzymać rodzinę musiał teraz pisarz podjąć się szarej i żmudnej pracy nauczyciela literatury w żeńskim zakładzie naukowym. Po ukończeniu wykładów wracał wprost do domu, gdzie natychmiast siadał do pisania, żeby w świecie swej wyobraźni znaleźć zapomnienie rzeczywistości. Ale i tu doganiała go przewijająca się tak często przez jego utwory myśl: „A może ja istotnie jestem takim, jakim mnie widzi Antonietta?”

Wybuch wojny 1914 r. pogłębił jego wrodzony pesymizm. Pacyfista z przekonania, Pirandello nie mógł zrozumieć celu tej krwawej hekatombi. Troska o los synów nie dawała mu spokoju. Starszy z nich, Stefano, dostał się do niewoli austriackiej, a młodszy Fausto leżał ciężko chory w szpitalu polowym. Na domiar nieszczęść, jedyna i bardzo ukochana córka, Lisetta, nie mogąc dłużej patrzeć na szaleństwa matki, usiłowała popełnić samobójstwo. Rewolwer był stary i chybił celu. Skończyło się na lekkim zadrażnieniu i silnym wstrząsie nerwowym.

Wojna skończyła się, a umęczona dusza Antonietty odeszła w spokój wieczności. Wkrótce potem wrócili obaj synowie, a Lisetta znalazła szczęście w małżeństwie. Tylko smutna twarz Pirandella nie odnalazła dawno zagubinego uśmiechu. Choć miał już lat przeszło 50, kiedy zaczął pisać utwory sceniczne, one to właściwie stały się podstawą jego światowej sławy. Bardziej znane za granicą niż jego nowele i powieści, szybko zyskały w Polsce prawo bytu, a nawet niektóre z nich ukazały się na obcych scenach znacznie wcześniej niż w Italii. Frederico Nardelli, jego powiernik i pierwszy biograf, opowiada nam w swoich wspomnieniach, że Pirandello zabrał się z takim zapałem do tej nowej twórczości, iż w przeciagu pierwsze-

go roku napisał aż dziewięć dramatów.

W 1925 roku Pirandello był już tak ściśle związany ze sceną, że zebrawszy doborowy zespół, wynajął przerobiony na teatr pałac Odescalchi — jeden z najpiękniejszych gmachów w Rzymie — i rozpoczął tam przedstawienia. Na afiszu ukazały się takie nazwiska, jak genialna i brzydka Emma Grammatica, Roggero Ruggieri i rozpoczynająca swój meteoryczny wzlot, piękna Muza i odtwórczyni pirandellowskich bohaterów, Marta Abba.

Co by też powiedziała biedna, szaleństwem zazdrości szarpana Antonietta, gdyby była doczekała tych czasów, kiedy mąż jej wszystkie swoje wydane drukiem dramaty poświęcał tej uroczej aktorce? Czytając pełne zachwyty słowa, opisujące jej wygląd w sztuce „Diana e la Tuda” zastanawiamy się czy też podłożem ich było jedynie uwielbienie autora dla tego niezwykłego talentu...?

Zakończywszy sezon rzymski, Pirandello wybrał się ze swym zespołem w objazd stolic europejskich. Mimo wielkich tryumfów artystycznych, deficyt tej imprezy wyniósł kilkadziesiąt tysięcy lirów.

Po powrocie do Rzymu, Pirandello rozdzielił wszystko, co posiadał między troje swoich dzieci, a sam, gnany jakimś dziwnym niepokojem, przenoślił się z miejsca na miejsce, nie zatrzymując się nigdzie na czas

dłuższy. Odtąd wciąż zmieniające się pokoje hotelowe stały się jego domem, a maszyna do pisania i ręczna walizka całym bagażem podróży.

I tak wędrując po świecie, znalazł się pewnego dnia w Hollywood, gdzie nawiązał kontakt z wytwórniami filmowymi i zaczął pisać scenariusze. Nie będąc wówczas w Kraju, nie umiem powiedzieć, czy i które z jego filmów zostały wyświetlone w Polsce. W każdym razie ukoronowaniem jego twórczości ekranowej była przerobiona na film sztuka Pirandella „Jaką mnie chcesz mieć”, (Come tu mi vuoi“), w której Greta Garbo, jako „rozdwojona” Cia, świeciła zasłużone tryumfy.

Ani otrzymana w 1934 r. Nagroda Nobla, ani też francuska Legia Honorowa i cały szereg włoskich oraz zagranicznych odznaczeń, nie zmieniły charakteru wielkiego pisarza. Pozostał do końca człowiekiem skromnym i unikającym rozgłosu. Śmierć zaskoczyła Pirandella w Rzymie, w czasie pisania powieści „Adam i Ewa”, która jest jakby niedokończoną wizją zniszczenia całej ludzkości przez bombę atomową. Jedyna pozostała przy życiu para miała dać początek nowemu światu.

Umierał jak starożytny stoik. Ostatnim tchnieniem wyszeptał rozporządzenie pogrzebowe: „Karawan, koń i woźnica. Nic więcej.” („Un carro, un cavallo, un cocchiere e basta.“).

Zbyt późno uznany, zbyt późno zrozumiany — Luigi Pirandello zakończył życie 10 grudnia 1936 roku.

Hilda Jankowska

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

K O N I E C

Ten cytat z Heinego przedstawiciele Białych znaleźli na ścianie w domu kupca Ipatiewa, w którego piwnicach 17 lipca 1918 roku zamordowano ostatniego cara Rosji wraz z rodziną. „I nocy tej Baltazar zamordowany został przez swoje służki“. Kto słowa te napisał na ścianie i dlaczego? Czy jako przestrożę, szyfr?

W fascynującej książce Wiktora Alexandrowa*) („The End of the Romanovs“) oglądamy fotografie napisu, wraz z całym szeregiem innych zdjęć, które jako ilustracja do ostatnich dni cara i jego rodziny wraz z historyczną fabułą książki niezwykle rzetelną i poważną — stanowią lekturę niemal że sensacyjną.

O dramacie Mikołaja II. napisano zapewne równie wiele, jak o dramacie w Mayerlingu, tylko, że Mayerling pozostaje nadal tematem do domysłów dla historyków i nie-historyków, podczas gdy los ostatniego cara, jego żony i dzieci jest dramatem bez tajemnicy. Wydawałoby się więc, że książka Alexandrowa nie wniesie nic nowego do ustalonych od dawna faktów i przyczyn tej zbrodni, że w wielokrotnie opisywanych wypadkach poprzedzających 17 lipca 1918 roku i później, nie znajdzie się już miejsca na żadne niedomówienia, domysły, „romansowanie“ czy „ubajecznianie“ znanego historycznego wydarzenia. A jednak...

Książkę Alexandrowa czyta się z zapartym tchem od pierwszej do ostatniej kartki, jak awanturniczą opowieść najwyższej klasy, i chociaż z góry wiemy jakie będzie jej zakończenie — uwaga nasza napięta jest do końca.

W swojej bardzo poważnej, beznamiętnej pracy Alexandrow przedstawi nam cały szereg elementów mało znanych dla nie-historyka. Przez kartki jego książki przewijają się tajemniczy wysłannicy, wierni służdy, damy dworu, przedstawiciele obcych rządów, których determinacja w ratowaniu cara i jego najbliższych przypomina nam często postać, która była ukochaniem młodości

niejednego z nas — bohatera książki Baronowej Orczy „The scarlet Pimpernel“, (który, o ile pamiętam był w języku polskim tłumaczony na „Czerwony goździk“, czyli tłumaczony niedokładnie, gdyż „pimpernel“ to zioło, kurzyśląd polny).

W książce Aleksandrowa fakty mówią same za siebie. Cytuje on rozkazy, szyfry, pisma i telegramy ze wszystkich dzisiaj dostępnych historycznych źródeł. A przecież w tej tajemnicy-nietajemnicy nie wszystkie jeszcze źródła zostały historykom udostępnione. Wspomina o tym sam Aleksandrow twierdząc, że gdy w przyszłości Kreml udostępni badaczom swe dotychczas nieosiągalne źródła co do rzeczywistej działalności np. takiego Rasputina — postać złowrogiego mnicha ujawni się nam kiedyś w nieco innym świetle niż widzieliśmy ją dotychczas. To, że Rasputin miał powiązania z Niemcami, że był prawdopodobnie na niemieckim żołdzie i należał do organizacji „Zielonego Kręgu“ — nie ulega dziś wątpliwości. Ale — jak pisze Aleksandrow — prawda nie została ujawniona ani w jednej dziesiątej.

Sumienna praca Aleksandrowa tylko ubocznie prześlizguje się nad faktami, które w swej straszliwej konsekwencji historycznej — odwetu sług nad Baltazarem — doprowadziły do masakry carskiej rodziny. Książka jego traktuje niemal wyłącznie o ostatnich dniach Cara Wszechrosji i jego rodziny. Między fakty historyczne, poprzez ich suchość i nieodwracalność Aleksandrow wplata inne fakty i fakty te chociaż zasługują dziś na miano historii — mają ponadto jeszcze wydźwięk czysto ludzki: nieszczęścia i zmagania, nadziei i rozpacz, upokorzenia i uśmiechu, wiary, lojalności i nienawiści. Na marginesie suchych słów, które biegną po śladach tych faktów nie koloryzując niczego i niczego nie wybielając, Aleksandrow, prawdopodobnie niezamierzenie — pokazuje nam przerażone i słabe — oblicze zwykłej rodziny.

Dzięki Aleksandrowowi dowiadujemy się szczegółów, które w jakimś sposób przywracają do życia tę rodzinę, która dla większości z nas

jest tylko i wyłącznie suchą historią, wspomnieniem o sprawiedliwości wymierzonej przez uciśnionych.

Szczegóły są drobne, na pewno nieważne. Dowiadujemy się na przykład, jak carska rodzina była karmiona w niewoli, poznajemy bliżej — przeważnie ze zdjęć robionych przez ojca — małego carewicza, tego tragicznego, chorego chłopca, który — cytując naocznego świadka za Aleksandrowem — „podczas gdy siostry jego były pełne życiowego rozmachu i radości życia, nie należał już chyba do tego świata“... Anonimowy świadek, monarchista w przebraniu żołnierza czerwonej armii, tak dalej opisuje carewicza: „Jego woskowa twarzyczka była zupełnie przeźroczysta, a oczy miały wyraz ściganego zwierzęcia...“ Patrząc na zdjęcie małego następcy straszliwego tronu przychodzi mimowolnie na myśl inne dziecko, inny królewicz, którego bezwzględna matka-historia pożarła w huraganie dziejów. Historia małego Delfina Francji była może jeszcze okrutniejsza od losów ostatniego carewicza, który, chcemy wierzyć — nie męczył się długo w piwnicy domu Ipatiewa, przeszyty żołdecką kulą. Syn Ludwika XVI. oddany do szewca Simona przeżył brutalności i upokorzenia, których mały carewicz miał tylko przedsmak.

Do poznania rodziny carskiej pomagają nam chyba najbardziej fotografie, w które obfituje książka Aleksandrowa. Są to niemal wyłącznie zdjęcia robione przez Mikołaja, który w fotografowaniu rodziny tak jak w pilowaniu drzewa znajdował lekarstwo na przymusową bezczynność. Niektóre z tych zdjęć dają do myślenia i do tego tematu jeszcze powrócę.

Wszystkie zdjęcia pochodzą ze zbioru niejakiego Mikołaja Sokołowa, który z ramienia admirała Kołczaka przeprowadził śledztwo w sprawie zamordowania rodziny carskiej. W jego posiadaniu znalazły się ostatecznie wszystkie dokumenty, fotografie, pamiątki i listy pozostawione w Ekaterynburgu. Historia misji Sokołowa ma także wszelkie cechy awanturniczego romansu. Aby przeprowadzić swą misję śled-

*) The End of Romanovs by Victor Alexandrov, Hutchinson.

ROMANOWYCH

czą musiał ukrywać się, przedzierać przez niezmierzone pola ziemi rosyjskiej w przebraniu muzyka, niosąc ze sobą bezcenny skarb dowodów rzeczowych w dwóch drewnianych skrzyneczkach, w których podobno także, jako relikwia dla pozostałej przy życiu rodziny cara — miał się znajdować odciepy po śmierci palec carycy Aleksandry. Przygody Sokołowa warte są pióra jakiegoś współczesnego Sienkiewicza i chociaż Aleksandrow przemyka się po nich jakby od niechcienia, przecież to głównie dzięki dowodom dostarczonym przez Sokołowa — mógł on napisać tak doskonale udokumentowaną książkę, a cała wyprawa sędziego Sokołowa jest jeszcze jednym fascynującym torem tej makabrycznej przygody.

Sokołow zmarł w roku 1924 w Paryżu, a jego dwie drewniane skrzyneczki zawierające tyle tajemnic — zaginęły bez śladu na szereg lat. Autor odnalazł je przypadkiem na strychu pewnego paryskiego domu i jedynie dzięki temu zbiegowi okoliczności powstała pasjonująca całość książki.

Kim był tajemniczy Jakowlew, którego być może kochała najpiękniejsza z córek cara — Maria, a której wielką piękność możemy ocenić naprawdę dopiero ze zdjęć ekaterynburskich? Czy car rzeczywiście był truty w pewnym okresie wygnania? I przez kogo? Czy wiedziała o tym carowa — czy może powolne zatrucie go odbywało się za rozkazem „Świętego Starca“, rozkazem, którym pośmiertnie jeszcze miał Rasputin władzę nad carową Aleksandrą?

W „Końcu Romanowych“, po za miłośnikami rzetelnego dzieła historycznego, znajdziemy też niepokojące rewelacje dla tych ludzi, którzy sądzą, jakże nieraz niesłusznie, że życie jest dziwniejsze od najdziwniejszego zmyślenia artysty. Czytelnik taki znajdzie w książce Aleksandrowa wiele spraw niewytłumaczalnych, jak choćby doprawdy jasnovidzące przepowiednie Rasputina, kierowane do „papy“, jak nazywał cara Mikołaja. W przepowiedniach tych nawet dzisiaj straszliwie brzmi przestroga,

aby rodzina carska wystrzegła się cyfry siedem. Cyfra ta rzeczywiście zawisła nad całą rodziną i aż do daty śmierci — siedemnastego dnia siódmego miesiąca, a dzień w kalendarzu znaczony tą cyfrą był zawsze dniem złowieszczym.

„Uważaj „papo“ — pisał Rasputin 12 grudnia 1916 roku — na siódmym dzień...“ Rasputin został zabity przez księcia Jussupowa 17 grudnia owego roku.

Aleksandrow wyraża się z politowaniem o wszystkich uzurpatorach, maniakach i wykolejeńcach, których ponoć było bardzo wielu, szczególnie w Ameryce, tuż po pierwszej wojnie, którzy podszywali się pod osobowość małego np. carewicza. Przy tych okazjach wspomina oczywiście i wielką księżniczkę Anastazję — czyli panią Franciszkę Czajkowską-Anderson, o której do dzisiaj jeszcze raz po raz wspomina prasa świata. Anastazja Czajkowska-Anderson jeszcze w roku 1965 starała się po raz niewiadomo który udowodnić, że rzeczywiście jest najmłodszą córką Mikołaja, uratowaną z masakry. Aleksandrow pisze, że na podstawie dokumentacji sędziego Sokołowa — uratowanie się Anastazji nie było możliwe. I tutaj muszę powtórzyć swe początkowe: a jednak...

Prawdziwa Anastazja, jak dowiadujemy się z „Końca Romanowych“ przeżyła w ekaterynburskiej niewoli coś w rodzaju romansu z pewnym żołnierzem łotewskim, romansu, o którym nigdy nie wspomniała swej matce. To Anastazja była przyczyną paniki, jaka powstała między pilnującymi więźniów czerwonymi patriotami, gdy „z siedziby byłego cara ktoś na piętrze dawał tajemnicze znaki czerwonym światłem...“, a to tylko była Anastazja poruszająca (?) głową...“ I wreszcie szczególnie potworny, ale niezmiernie ważny: gdy główny oprawca rodziny carskiej, Jurowskij (to on oddał pierwszy strzał w piwnicy) przeszukiwał stos porąbanych ciał, przeznaczonych na spalenie w lesie Koptiaki, grzebał — wedle słów Wojkowa (zamordowanego później w Warszawie przez monarchistę Kowerdę) — w

„makabrycznym stosie resztek ludzkich, między głowami, korpusami, rękami i nogami przez pełne piętnaście minut, poczym powiedział: „wydaje mi się, że jest tu coś nie w porządku...“. Okazało się, że nie doszukał się głowy Anastazji.

Coup de grace bagnetem w twarz zadał podobno ruszającej się jeszcze Anastazji jakiś Łotysz. Przejrzawszy wycinki z prasy światowej dowiadujemy się, że pani Czajkowska-Anderson ma na głowie wyraźne ślady, jakie ów coup de grace mógł zadać — nie przecinając życia.

I wreszcie wróćmy do fotografii. Dlaczego car fotografował tak często i chętnie wszystkie swoje córki — z wyjątkiem Anastazji? Dlaczego mamy jedynie jej dwa zdjęcia, oba tak niewyraźne, że to nie Anastazja mogła być fotografowana, ale na przykład carowa, lub nawet jakaś panna służąca, czy guwernantka, które towarzyszyły rodzinie na wygnaniu. Może ktoś już wówczas wiedział, że Anastazji uda się zbiedz? Może ktoś, z samej komórki „czerwonych patriotów“ starał się o jej uprzednie wywiezienie i nie chciał, by zbyt dobrze pamiętano jej rysy? Może „łotewski żołnierz“, który często obejmował szesnastoletnią księżniczkę, a ona nigdy rodzicom o tym nie wspomniała — uratował ją w ostatniej chwili spod napisu „Mane, Tekel, Fares“, który w postaci dwuwiersza Heinego, ktoś tajemniczy i wtajemniczony zanotował na tapecie salonu Ipatiewa?

Po przeczytaniu wycinków z prasy światowej i książki Aleksandrowa, w której tak stanowczo twierdzi, że nikt z rodziny carskiej uratować się nie mógł, powtarzam swoje: a jednak... i „Koniec Romanowych“ polecam wszystkim domorosłym detektywom. Może z kartek tej lektury wyłowią to, czego nikt dotychczas nie zauważył? Smutna i chyba bezprzedmiotowa byłaby to dziś zabawa, ale na pewno fascynująca.

Klara Evans



SYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

„SIOSTRY“

JESLI sprawdzianem nagrody literackiej jest talent autora, to słusznie i sprawiedliwie Barbara Toporska otrzymała tegoroczną nagrodę „Wiadomości“, ufundowaną przez rodzinę ks. Czartoryskich za powieść „Siostry“.*) Treść tej opowieści drga życiem, odczuwa się w niej prawdę, bogatą we wiele spostrzeżeń i doskonałych określeń, przy czym trzyma ona w napięciu ciekawość co do losu postaci, które je tworzą.

Należy jednak zwrócić uwagę na wypowiedzenie Toporskiej w jednym z rozdziałów tej książki o różnicy między życiem i powieścią: „Życie nie jest powieściopisarzem. Dystansuje wprawdzie każdy talent literacki mnogością realiów, dokładnością i mistrzostwem opisów, często także fantazją w stwarzaniu sytuacji, a chyba zawsze wielowymiarowością każdej sytuacji. Życie jednak nie może się uporać z jednym brakiem, brakiem powieściowego bohatera“. Otóż w zastosowaniu powyższej prawdy estetycznej do siebie samej, Toporska postarała się aż o dwie bohaterki, dwie siostry, które są nicią wiążącą poszczególne obrazki życia, o szerokim wachlarzu nastrojów obyczajowych i zagadnień społecznych.

Ale wierna raczej życiu, niż powieści Toporska dała się unieść mnogości realiów, jeśli nie w stwarzaniu, to w opisywaniu sytuacji, których wielość i różnorodność utrudnia czytelnikowi obcowanie z obu bohaterkami, jak też rozeznanie, co za ich pośrednictwem autorka chce powiedzieć. I powieść Toporskiej „Siostry“ rozpada się jakby na kilka nowelek o osobnych tytułach, jak np. „Aktor“, „Cyrk“, „Krzyś“, „Czarny kot“, „Szkielko“, „Via della Croce“, które, każda z osobna są znakomitymi epizodami, dowodzącymi jej wnikliwej obserwacji oraz wrażliwej reakcji na wielostronne zjawiska życia, lecz ze sobą i z akcją powieści, łączą się luźno.

A jeśli mowa o akcji powieści to Toporska pisze manierą kinową, każąc jej graniczyć z antypowieścią, przeplatając każdy jej nowy krok sytuacją dawniejszą i wyjaśniając jej sens dopiero w ostatnim rozdziale, razem z ostateczną charakterystyką obu bohaterek. Nie odejmuje to zainteresowania całości powieści, ale zmniejsza jej ciągłość i napięcie, które winny się zmagać z jej historycznym tłem, zamiast czynić z fałszywej szereg skoków wprzód i wstecz,

gmatwających ogólne wrażenie czytelnika. Wydaje mi się, że zasada twórczości, którą głosił Diderot w XVII w.: „Il faut commencer par le commencement“ — „Zaczynać trzeba od początku“ mieści w sobie łatwiejsze dojście do końca...

* * *

W powieści Toporskiej są dwie siostry, Pola i Anisia, urodzone i wychowane w Warszawie, które matka, b. aktorka, usiłuje jak najrychlej wypchnąć z domu, wskutek ich ciężkich warunków materialnych. W toku opowiadania dowiadujemy się, że są one siostrami przyrodnimi: starsza jest córką płk. Lilienthala-Lityńskiego, żydowskiego pochodzenia, dla którego matka porzuciła urodzonego w Rosji inż. Bielskiego, lecz powróciwszy doń, miała z nim drugą córkę, Anisję nazywaną, dlatego „rosjanką“.

Szczerliwie, obie córki wyszły zamąż — Pola — za warszawskiego lekarza, żyda, Jakuba Mayera, któremu jako asystentka pomagała w wyrobieniu stanowiska i klienteli — Anisia za Jerzego, zamożnego właściciela fabryki płyt pilśniowych pod Wilnem. Rzecz chyba przypadkowa, że obie siostry poznały swych mężów, jako kochanków ich byłej koleżanki z pensji, Rebeki, z którą nie zerwały stosunków, choć oficjalnie pozsała na drogę lekkich obyczajów...

Ten bieg rzeczy zdruzgotał bomby drugiej wojny światowej. Od tej chwili powieść Toporskiej przemienia się jakby w nieustające suplikacje: „...od powietrza, głodu, ognia i wojny — zachowaj nas Panie!“

Jerzy zaciągnął się do polskiej armii, Anisia schroniła się w Krakowie, skąd złączywszy się z Marcinem odbyła tragiczną kalwarię przez Wiedeń do Włoch, po czym wróciła do siebie na wieś pod Wilno. Pola z mężem znalazła się w getcie, ale udało im się uratować i znaleźć przytułek przy pomocy Anisi, pod przybranym nazwiskiem Majewskich, we wiejskiej farmie na Litwie, z której właściciel, b. sędzia, wobec powrotu Niemców, ich usunął. Anisia rozdzielona z mężem postanowiła wyjść za Marcina, biznesmana w Australii. Jerzy załamany uczuciowo i jako wojskowy po rozbrojeniu popełnił samobójstwo.

Prześladowanie Żydów psuje nawet stosunek Poli z mężem. Jakub Mayer dążył do asymilacji Żydów, był polskim działaczem społecznym, pragnął wyrównania pozycji towarzyskiej, Pola zaś cierpiała przy każdym podkreśleniu ich pochodzenia. I oburzała się na męża za jego rezygnację, gdy mówił: „Ty i ja

jesteśmy dziś tylko biedni, sponiewierani Żydzi (...) Człowiek, którego zepchnięto w rynsztok, leżał w rynsztoku, niezależnie od tego, czy z niego później wylazł czy nie. Zostaliśmy określeni“. Tym bardziej Pola przeżyła usunięcie ich przez właściciela farmy i jego żądanie zwrotu zysków mimo ich współpracy. Pola mówi: „Wychodząc z założenia, żeśmy powinni byli pójść do pieca, to cena wykupu była przystępna, ale jeśli przyjąć punkt widzenia, że Żydzi nie powinni być mordowani, wówczas za ratowanie Żydów nie powinno się brać zapłaty. Ani wygórowanej, ani niskiej.“ I Pola żyje „w nienawiści do wszystkiego, co polskie i żydowskie“, głosząc, że: „największe krzywdy spotkały ją od Polaków. Myśmy się nie bali Gestapo, myśmy się bali donosu do Gestapo“.

W wypowiedziach Poli czuje się podskórny cierń Toporskiej cierpiącej z powodu polskiego antysemityzmu, który ona uogólnia i jaskrawi, oskarżając zań cały naród, nie chcąc pamiętać o wielu przykładach ratowania Żydów przez Polaków z narażeniem osobistego bezpieczeństwa.

Zresztą, w książce Toporskiej jest wiele sentymentu do zwierząt i głębokie odczucie przyrody, lecz mało miłości ludzkiej. Owszem — siostry kochają się. Na wiadomość, że Pola ciężo chorą na raka leży w szpitalu, Anisia przyjeżdża do niej aż z Australii, by przy tej sposobności przeprowadzić rozwód ze swym drugim mężem i wyjść za trzeciego.

Ostatni rozdział „Siostr“, pod wymownym tytułem „Przeznaczenie“, to przeważnie wspomnienia ich dzieciństwa, skoro znowu są razem, Anisia doglądając w szpitalu niemieckim (?) umierającej po operacji Poli, dla której jej mąż już obojętnie, świadomy jako lekarz jej beznadziejnego stanu, zajęty raczej swą nową sekretarką.

Rozdział ten, stanowiący połowę całej książki jest kluczem do zrozumienia psychologii obu siostr i jednocześnie realistycznym odtworzeniem — jakby z autopsji — szpitalnego porządku, scen badających lekarzy, reakcji chorych, uciążliwej pieczołowitości siostr miłośniczek, radości z widoku drzew i kwiatów za oknem i muzyki ptaków, opisanych przez Toporską z rzadką znajomością i umiłowaniem ornitologii...

I jeszcze jeden szczegół, który Toporska podkreśla. Pola, leżąc wśród Niemców, chętnie z nimi rozmawia po niemiecku i przyznaje się Anisi: „...bardzo rzadko mi przychodzi do głowy, że rozmawiam z Niemkami. Rozmawiam z chłopką, z ekspedientką, z żoną szofera. A rozmawiając z tobą, z moją przyrodnią siostrą, rozmawiam... z Polką!“ Albowiem rozmowy ich dwóch toczą się

(Dokończenie obok)

*) Barbara Toporska „Siostry“, Instytut Literacki. Paryż. 1966. str. 208.

TRÓJWYMIAROWY PICASSO

WYSTAWY zbiorowe mają jeden nieoceniony walor, pozwalają zobaczyć dużą ilość prac danego artysty i stworzyć sobie własną opinię o danym twórcy. Znając tylko poszczególne dzieła i opinie innych, często krzywdzimy artystę. Groźna dla właściwej oceny Picassa jest jego olbrzymia popularność, równa popularności polityków czy czolowych generatów.

Co ciekawe, że po dzień dzisiejszy jedni uważają go za postać świetlaną inni za Lucyfera, nie chcąc zgodzić się na określenie, które jest najbliższe prawdy: eksperymentator, poszukiwacz, olbrzymia praca, duży intelekt, spore osiągnięcia, ale nie większe jak wielu innych czolowych malarzy europejskich. Dodajmy do tego naiwność polityczną, zmysł handlowy, długowieczność, która zawsze dobrze robi, jeśli chodzi o rozgłos artystyczny i świetne miejsce postoju (wedle określenia wojskowego): Paryż, a nie rodzinna, ale na uboczu Hiszpania.

Gdybyśmy zadali komukolwiek z naszych czytelników pytanie, jak określić Picassa jednym słowem, odpowiedzieli by nam: malarz. Gdybyśmy zapytali o to samo jego kolegów, odpowiedzieli by: malarz. A tymczasem artysta ten nie zamyka się w tym określeniu, bo to i pisarz i rzeźbiarz, ba, redaktor, organizator imprez artystycznych, przyjaciel poetów itd.

poprzez wspomnienia rodzinne, różnice poglądów, problemy narodowe — przy świadomości Poli, że: „...dla ciebie, dla Jakuba ja jestem niewątpliwie zła, bo myjąc zęby codziennie nie marzę, żeby iść z bębmem w pochodzie 3—Maja“. Reakcja na polski antysemityzm wywołała u Poli, zrozumiała u Toporskiej, polski antypatriotyzm.

* * *

Pola umarła w szpitalu. Po pogrzebie Jakub odprowadził na lotnisko Anisję, wyjeżdżającą do Anglii. Samolot odleciał pomimo nagłej burzy i ulewnej deszczu, lecz wkrótce po wystartowaniu zderzył się z innym i roztrzaskał...

Jakub zarządził, by szczątki Anisi zebrane w urnę złożono obok Poli pod dwoma brzoźami, Ponieważ panięskie nazwiska Poli i Anisi były odmiennie, Jakub połączył je napisem: SIOSTRY.

Ale dlaczego jednoczesna śmierć Poli i Anisi była ich przeznaczeniem, jak chce tytuł rozdziału? Toporska nie daje na to odpowiedzi, chyba, że jest nią, rzucona kiedyś, uwaga Poli: „...niezwykle zbiegi okoliczności dopasowane są w swym charakterze do osób, którym się przytrafiają“. Czy dlatego, że mimo różnicy losu Pola i Anisia były jednak siostrami?

Władysław Günther

Już jako 20letni człowiek redagował czasopismo artystyczne w Paryżu, ma opublikowane prace literackie, licznym swym przyjaciółom, nie tylko malarzom, ale pisarzom, muzykom itp. pomagał, ilustrował ich książki, udzielał się towarzysko i organizacyjnie.

Wystawa w londyńskiej „Tate Gallery“ zapoznaje nas z jego rzeźbą. Przede wszystkim wystawa jest technicznie znakomicie urządzona. Wystawy w tej Galerii należą do najlepiej urządzonych na świecie, i chyba tylko wystawy w „Muzeum Sztuki Nowoczesnej“ w Paryżu są urządzone z równym smakiem i rozmachem.

Życie każdego artysty pełne jest „tajemnic“ dla odbiorców jego dzieł, i chętnie czytane są prace krytyków omawiające różne aspekty pracy mistrzów, jak i fakty z życia, które przy takiej okazji wychodzą na jaw. Picasso ma prac omawiających jego twórczość oraz życie osobiste, jeśli tylko o same książki idzie, chyba setki. Jako mąż kilku kolejnych żon, z których jedna napisała całą książkę o nim, nie rezygnując ze szczegółów intymnych (Picasso robił wszystko, łącznie ze zwróceniem się do sądu, by książka nie ujrzała światła dziennego), wzbudza nie tylko sensacje natury artystycznej.

Seks zresztą jest mocno podkreślany w sztuce Picassa, i może jest jednym z elementów jego światowego powodzenia. Odwaga artysty sięgania po tematy i różne sposoby ich podania, odwaga, której brak wielu artystom, dała mu tę pozycję, jaką ma. Jak wyżej powiedzieliśmy, Picasso to malarz, który nie zamyka się w swej specjalności, ale atakuje i inne dziedziny. Rzeźby, które na obecnej wystawie oglądamy z sympatią, ale nie wszystkie z zachwytem, to drugi nurt twórczości słynnego artysty. Rzeźbił on zawsze, od czasów swych studiów w akademii sztuk pięknych w Hiszpanii. Są one tak samo, jak obrazy z okresu początkowego poprawne, niczym nie znamionujące późniejszego okresu „burzy i naporu“. Później, w związku z olbrzymim powodzeniem swego malarstwa skupił się na nim, rzeźbę uprawiając od czasu do czasu, „atakowany“ przez różne jej kierunki, które ujawniały się z wielką siłą, i wobec których, jako artysta poszukujący, nie mógł być obojętny.

W pewnym okresie odbył nawet dodatkowe studia rzeźbiarskie, pod okiem

innego artysty, a swego przyjaciela. Chodziło mu głównie o stronę techniczną spajania części metalowych, której dostatecznie nie znał. Rzeźby metalowe, jakie widzimy na wystawie w Tate Gallery, należą do najlepszych ze wszystkich jakie pokazał.

Rzeźby, z których, pewną część przy najmniej, trudno tak nazwać, okreśmy je jako konstrukcje, wykazują pewne cechy stałe u Picassa. Tak, jak w jego malarstwie, tak i tu nie ma abstrakcji. To sztuka opowiadająca, przedmiotowa. Widzimy jej ściśle, choć odległe analogie w naturze.

Poza tym karykatura, deformacja w stronę satyry, pewna egzotyczność, jakaś średnia między umysłem literata, może nawet filozofa, a rozkoszowanie się sensualne kształtem, powierzchnią. I jakby świadoma czy podświadoma myśl o tych, którzy to będą oglądali. To artysta nie wyobcowany ze społeczeństwa jak, np. Brancusi czy Giacometti. Picasso tworzy dla ludzi, chce by radowali się wraz z nim. Do swej wieży z kości słoniowej chodzi po natchnienie, ale szybko wraca. Chce „bawić się“ z nami. Jest czułym przyjacielem nas wszystkich, jak czułym był kochankiem dla swych kobiet.

Jest na wystawie żywo komentowane przez zwiedzające mini-spódniczki, jego rzeźba małpy z części samochodowej; jest kobieta w ciąży, są lalki dla jego dzieci, słynne jego wyroby garncarskie, które są jednym z wybitnych etapów jego twórczości, są trójwymiarowe powtórzenia jego niektórych obrazów okresu kubistycznego, rzeźby z kawałów blachy, na których namalował twarze kobiet, rysunki na kawałach pobitych rur itp.

Są tu podobieństwa do innych rzeźbiarzy, są typowe własne pomysły Picassa, znane nam dobrze z jego obrazów i rysunków. Co ciekawe, że biorąc pod uwagę rzeźbę ostatnich lat na przestąpieniu jej stanu na całym świecie Picasso wydaje się jakiś nieco prowincjonalny, nie rewelacyjny (to, co było kiedyś w nim nowością, stało się powszechną własnością miłośników sztuki), przestrzały. Poza tym wykonanie nieomal wszystkich jego rzeźb jest niedbałe, technicznie słabe, jakby amatorskie. Widać wydaje się, że i on potrafiłby zbić kilka desek i rzeźba jego nie byłaby gorszą od picassowskiej.

Ale to wszystko nie przesłania prawdziwej wielkości starego mistrza. Jego rzeźby są tej samej klasy, co jego obrazy, a twórczość to spontaniczna i dająca nam przeżycie artystyczne.

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ!**

Młoda Polka wywieziona wiosną 1940 roku do Rosji postanawia uciec z tzw. wolnej zsyłki. W poprzednich dwu odcinkach autorka opisywała drogę do Rosji, sześciomiesięczny pobyt w Kazachstanie, przygotowania do ucieczki oraz pierwsze chwile podróży na zachód. Trzeci kolejny odcinek zawiera dzieje dalszych ośmiu dni drogi powrotnej.

Jeżyk zrobił się cichutki i nie ruszał się z moich kolan. Poszukałam jego bućki. Pozwolił go włożyć i zasznurować.

Auto zwolniło, a po chwili stanęło. Szofer z dołu wołał coś do nas. Mimo, że już parokrotnie mieliśmy z nim uciekać — nie miałam pojęcia jak wygląda — zobaczyłam go teraz po raz pierwszy: ubrany był w kozuch i miał czapkę z nausznikami. Wyglądał przyjemnie i młodo. Pokazał ładne zęby w uśmiechu i zapytał, która z nas jest z dzieckiem — niech zejdzie do niego do szoferki, bo tam jest ciepłej.

Gdy znalazłam się w kabinie — to pogadywaliśmy sobie o tym i owym. Powiedział, że wieczorem będziemy na miejscu, to znaczy w jego domu, gdzie też możemy przenocować, bo pociąg odjedzie dopiero rano.

To było wspaniałe. Teraz wszystko wydawało mi się łatwe. — przejeżdżamy migiem całą Rosję, a za tydzień najpóźniej — będziemy już u siebie w domu — rozmyślałam optymistycznie. — Samopoczucie moje poprawiło się bardzo. Gdyby nie zimno — to byłoby nawet przyjemnie — jechać tak wśród tej śnieżnej równiny — jakby do nikąd — bez końca.

Otuliłam dziecko we wszystko — co miałam ze sobą ciepłego i posadziłam je między sobą i szoferem. Miał rączki ciepłutkie — więc nie było mu zimno. Był jak oczarowany tą jazdą. — Nie oglądał widoków przez okno, tylko interesował się tym co się w wozie dzieje. Szczególnie upodobał sobie kierownicę i żeby mieć udział w prowadzeniu auta — trzymał szofera za rękaw od kozucha...

Zrobiliśmy przystanek w jakiejś osadzie po drodze. Stanęliśmy przy gospodzie i szofer wziął nas ze sobą na herbatę. Można tam było też dostać zupę i pierożki z kapustą. Tylko mleka dla dziecka nie było. Zagrzaliśmy się i pojechaliliśmy dalej.

Skończył się dzień, skończył się wieczór i zaczęła się noc. Srebrzący się śniegiem step, który wybiegał nam naprzeciw — pociemniał. Znikł otaczający nas świat. Została tylko ta oświetlona kabina. W niej dziecko i ja i ta obca postać w kozuchu.

Myśli błądzą po kabinie i objijają się o metalowe ściany. Spoglądam z lękiem na profil szofera i usiłuję odgadnąć — czy naprawdę wiezie nas do

MARIA WILCZEWSKA

Z KAZACHSTANU

swojego domu, lub do jakiegoś domu w ogóle? Tam, gdzie się pali w piecu i jest ciepło, gdzie bawią się dzieci, a kobiety krzątają się przy kolacji. —

A może nas po prostu zostawi gdzieś po drodze? Droga jest zupełnie pusta. Nie mijamy nikogo. Nie ma żadnych osad po drodze ani aut. Przypuszczam, że nasze auto jechało na końcu szeregu aut ze zbożem i szofer odłączył się — gdy podjechał po nas.

Popatrzyłam na dziecko śpiące mi na kolanach. Owinięte było w kołderkę i widać mu było tylko różowy nosek. — Pora jest chyba odmówić wieczorny pacierz — pomyślałam.

No i przyjechaliliśmy. I rzeczywiście był dom. Wesoło oświetlony. Wyszły dwie młode kobiety i zabrały nas do środka. Szofer z tą pszenicą odjechał. My dostałyśmy gorącego mleka. W małym pokoiku bez okien były sienniki i ciepłutkie kołdry z sierści wielbłądziej. Spało się bardzo dobrze.

DZIEŃ DRUGI

Zamiast rano — odjechałyśmy wieczorem; obie młode kobiety, żona i siostra szofera zajęły się nami. Postanowiły, że jedna z nich kupi bilety, a druga odprowadzi nas na stację. Miasteczko było małe i stacyjka też i one sądziły, że bezpieczniej będzie nie pokazywać się z nami w dzień.

Dałyśmy pieniądze na bilety i była to właśnie okazja do rozdania podarunków. Mój szlafrok teraz się przydał: żonie szofera było w nim bardzo ładnie.

Obie kobiety były młode, ładne i wesołe. W domu było kilkoro drobnych dzieci. Mężczyzn nie widziałyśmy i naszego szofera też nie oglądałyśmy więcej.

Mój mały włączył się od razu w dzieciarnię i przez cały ten dzień prowadził swoje zwyczajne dziecińskie życie: bawił się z dziećmi, biegał po całym domu, jadł kiedy one jadły i mało go przez ten czas widziałam.

Parę razy tylko przybiegł — sprawdzić czy jestem.

My obie przesiadziałyśmy ten dzień za zasłoną. Półmrok i brak ruchu przestawił nas na senny — pół-udział w życiu tego domu. Błogo było tak siedzieć beczynnie w tym kątku i obserwować jak toczy się obok — zwykłe domowe życie. Przychodziły i odchodziły sąsiadki. Zmieniały się głosy i zmieniały się też zapachy. Gdy odchodziły — długo w powietrzu unosiła się woń ich perfum.

Zadziwiająca ilość i różnorodność! —

Widocznie bardzo lubiły perfumy.

Poza tym wiedziałyśmy co będzie na obiad. Mleko też często tu grzano. Miły jest zapach mleka. Przypomina mi własne dzieciństwo. Za tą zasłoną — było cicho. Nie rozmawiałyśmy ze sobą i obie myślałyśmy — jak to miło żyć tylko rzeczywistością. I nie niepokoiłyśmy się i myślałyśmy o jutrze.

Na martwienie się miałyśmy czas — właśnie jutro. Potem dostałyśmy obiad i herbatę i chyba w końcu zdrzemnęłyśmy w tym mroku.

Dzieciarnia wcześniej poszła do łóżek. Jeżyk też był śpiący i chciał — do łóżeczka. Zamiast tego zaczęłam go ubierać do dalszej podróży.

Ciemno było, gdy wyszłyśmy z domu. Ja ze śpiącym synkiem na rękę, a żona szofera niosła mój pakunek. Doszłyśmy do stacji, przeszłyśmy przez tory. Tam stała już siostra szofera. Wręczyła nam bilety. Pocałowała nas i wsiadłyśmy do pociągu.

Miejscówki były numerowane. Szybko znalazłyśmy swoją ławkę i wyjrzałyśmy przez okno: dwie przyjazne, młode twarze uśmiechały się do nas.

Pociąg ruszył i zaczęło się nowe, niepewne i nieznanne życie.

DZIEŃ TRZECI

Siedzimy sobie na tej swojej górnej ławce i staramy się trochę zagospodarować. Rozłożyłyśmy tobołki, wyjęłyśmy jedzenie z koszyka i przegryzamy. Staramy się wyglądać i zachowywać jak inni w tym wagonie. Nie mówimy tylko nic do siebie — bo moja towarzyszka słabko mówi po rosyjsku.

Do wagonu na pierwszej stacji — weszło trzech wojskowych i rozsiedli się na ławce naprzeciw nas — ale poniżej. Ania była wyraźnie zaniepokojona i zaczęła szeptać, że to po nas.

Oni ze sobą rozmawiają i rzeczywistość od czasu do czasu rozglądają się po wagonie i również czasem patrzą w naszą stronę. Mnie się wydaje to całkiem naturalne i przypuszczam, że są to tacy sami pasażerowie — jak inni. Pociąg jedzie i jedzie. Mój mały śpi, ja położyłam się obok i zdrzemnęłam się. Budzi mnie Ania i głośnym szepciem: „Znowu dwóch żołnierzy wsiadło do wagonu. oni teraz nas otoczą i zaaresztują“.

Przyglądam się senna jeszcze — ale nie widzę nic groźnego: siedli sobie na bocznej ławce, nami się nie interesują, tylko patrzą w okno. Mówię jej to. A ona: że w sypialni właśnie widzą nasze poruszenia. Staram się ją uspokoić i mówię, że jeśli mieliby ten zamiar —

D O D O M U

to dawno by zrobili. I do zaarrestowania nas i dostarczenia do właściwego miejsca — wystarczyłby jeden taki z karabinem, a nie potrzeba aż pięciu.

Na szczęście tych trzech wysiada i moja towarzyszka uspokaja się nieco. Ale inna rzecz — że to szeptanie ciągle — w miejscu — gdzie wszyscy głośno i swobodnie rozmawiają — może zwrócić na nas uwagę. Małżeństwo — obok nas przestało rozmawiać ze sobą i przyglądają się nam ciekawie.

Możliwe, że zaciekawiło ich — jakim językiem my ze sobą rozmawiamy.

Wreszcie wszyscy pasażerowie zasnęli. Czasem ktoś wysiadł na stacji, lub ktoś nowy doszedł. Było sennie i bardzo ciepło. Nie chciało się myśleć o niczym — tylko spać.

W nocy znowu mnie budzi i szeptem: „Już po nas — ubierajmy się w te nasze ciepłe rzeczy“. Rozglądam się po wagonie: i rzeczywiście obok nas — zamiast tego małżeństwa — siedzi taki jeden z karabinem. Ale nie patrzy na nas — z nikim też nie rozmawia i pali papierosa.

Odechciało mi się spać, ale dalej leże i czekać albo będzie. I było: zgasił niedopałek, zdjął buty, położył się na swojej ławce, czapkę nasunął na oczy — i zasnął. — Ja też. Rano — jak się obudziłam — już go nie było. Wysiadł — gdzieś po drodze.

Rano dojeżdżamy do Semipałatyńska. Razem ze wszystkimi pasażerami wysiadamy i idziemy do wyjścia. Jest bardzo zimno i biało od śniegu. Obie mamy dreszcze i czujemy się niewyraźnie.

Część pasażerów poszła do miasta, a część zawróciła w kierunku stacji kolejowej. My z nimi. Podeszliśmy od razu do okienka i stanęliśmy obie w kolejce. Nagle wyłonił się „znikąd“ milicjant i wprost do mnie: czy nie wiem, że mogę podejść od razu do kasy i nie czekać — bo z dzieckiem. Ucieszyłam się oczywiście, bo przyjemnie jest spotykać uprzejmych ludzi. Ale wołałabym, by nie podchodził. Uśmiechnęłam się nieśmiało do niego — w odpowiedzi i możliwie najszybciej postarałam się zniknąć z pola jego widzenia.

Przed kasą kolejową — od razu zrobiono mi miejsce i bez najmniejszych trudności kupiłam dla nas bilety wprost do Kijowa.

Drogę Semipałatyńsk-Nowosybirsk — przejechaliśmy bez większych emocji. Nikt się nami nie interesował. Żadnych wojskowych pasażerów w wagonie nie było. Było natomiast dużo dzieci i jacyś Cyganie też. Moja towarzyszka odsypia-

ła sobie swoje poprzednie zdenerwowanie i bezsenność. Ja — przeciwnie, nie spałam. Jeżyk był ruchliwy, ciągle zląził z ławki i chciał się bawić z małymi Cyganiatkami. One siedziały przytulone na podłodze wagonu, śmiały się i coś tam rozmawiały ze sobą, a gdy mój synek stawał koło nich — milkły i przyglądały mu się ciekawie. Jeżyk stawał przy nich na chwilę i znowu wracał do mnie i w ogóle był raczej niespokojny i musiałam bardzo na niego uważać. Miało to swoje dobre strony — bo nie dawał mi czasu — na dalsze rozmyślanie — lub martwienia się „na zapas“.

Na stacji w Semipałatyńsku kupiłam „siemiaczki“ i pojadam je jak inni. To działa bardzo uspokajająco — coś jakby papierosy — których nie palę. Przy słuchując się rozmowom w pociągu: Cyganie mówią swoim narzeczem, są i Tatarzy tutaj i Rosjanie też. Z ich rozmów wynika, że pod wieczór będziemy w Nowosybirsku.

Przed Nowosybirskiem Ania się budzi i rozmawiamy chwilę, bo w tym gwaronym wagonie nikt na nikogo nie zwraca uwagi. Mówi, że nie czuje się dobrze, a poza tym ma jak najgorsze przecucia: że daleko nie zajedziemy i że nas w końcu złapią. I czy nie lepiej by było — teraz zaraz — na najbliższej stacji — zgłosić się samym na policję i niech nas dostarczą z powrotem do miejsca naszego zesłania? —

Mówię, że nie jestem pewna, czy nas tak od razu grzecznie odwieżą na to samo miejsce. I, że nie po to wyjechałam, żeby z powrotem wracać. Ale teraz już wiem na pewno — że dla mnie i dla dziecka lepiej i mniej straszno i mniej niebezpiecznie byłoby, gdybym uciekała samotnie — z dzieckiem tylko. Ale trudno, tego się teraz nie zmienią. Na pociechę — otwieram koszyk z jedzeniem: bo jak się je — to się nie martwi, a ponadto z pełnym żołądkiem ma się większe zaufanie do swego losu — że nie nawali. Czestuję też Anię.

No i dojechaliśmy. Stacja olbrzymia. Dużo kas kolejowych i żadnych kolejek. Wmieszałyśmy się w tłum zapelniający stację i staramy się dowiedzieć — jak z dalszą jazdą. Okazuje się, że trzeba czekać. Dużo pasażerów. Mało pociągów. Wszyscy czekają. — A jak długo się czeka? Różnie — jedni siedzą tutaj już tydzień, inni 10 dni. Dziś ogłaszano, że ci, którzy mają bilety datowane 24 października — mogą wsiadać do pociągu odchodzącego do Moskwy.

Nasze bilety mają datę 4. listopada.

Wygląda z tego — że nie wyruszymy z Nowosybirsk przed połową listopada.

Jest już późny wieczór. Dziecko śpi na rękę. Nie pozostaje nam nic innego — jak znaleźć jakieś zaciszne miejsce na kamiennej posadzce — odpowiednie do czekania. Siadamy na podłodze i martwimy się. A potem przytulamy się do siebie i zasypiamy.

DZIEŃ CZWARTY I CZTERY NASTĘPNE

O trzeciej nad ranem budzi nas ostre światło i nawoływania. To sprzątaczk przyszły z kubłami i szczotkami. Kazano nam wynosić się stąd. Część osób zmieściła się w następnej sali. A reszta czekała przed dworcem. Gdy sprzątanie skończyło się — wróciłyśmy na swoje miejsca i usiadłyśmy znowu na podłodze — tym razem — wilgotnej.

Rano przyglądałyśmy się chwilę — olbrzymiej masie ludzi poruszającej się po tej stacji. Do —toalety — wielkie kolejki. Ja chodziłam z dzieckiem i dostawałam się szybko, ale towarzyszka moja czuła się bardzo nieszczęśliwa — czekając w kolejce nieraz parę godzin. A do tego miała kłopoty z nerkami — co nie przyczyniało się do poprawy jej samopoczucia.

W restauracji dworcowej można było dostać dowoli herbaty i różnych ciasteczek. Niestety, herbata była bez mleka. Mleka nie sprzedawano. Chleba też. Natomiast była gorąca zupa i drugie danie też, ale fantastycznie drogie. Przynosiłyśmy sobie herbatę do naszego kącika i jadałyśmy posiłki z naszych zapasów. Było ich niedużo, więc starałyśmy się jeść niewiele. Byłyśmy przeważnie stale głodne. Któregoś dnia Ania została przy naszych rzeczach, a ja wyszłam rozejrzeć się, czy dałoby się w mieście kupić trochę chleba i mleka dla dziecka. Chodziłam po różnych ulicach w pobliżu dworca, ale żadnego sklepu spożywczego ani piekarni nie zauważyłam. Było bardzo zimno i śnieg na chodnikach. Zmarzłam i z ulgą wróciłam do ogrzanej poczekalni.

Któregoś dnia małżeństwo z dzieckiem — zwolniło sąsiednią ławkę, a nim odeszli — ona podeszła do nas — i cicho powiedziała, żebyśmy zaraz zajęły to miejsce — bo oni już odjeżdżają. Usiadłyśmy więc na drewnianej ławce i zaraz poczułyśmy się lepiej.

Następnego dnia rozstałyśmy się z moją towarzyszką podróży: Ania czuła się już bardzo nieszczęśliwie fizycznie i psychicznie. Wykończyła ją, zdaje się, wczorajsza kontrola paszportów: weszło wielu milicjantów na naszą salę, zamknięto wszystkie drzwi, ustawiono nas w kolejce i kolejno pokazywaliśmy paszporty. Po kontroli przechodziło się na drugą salę obok stojącego w drzwiach

(Dokończenie na str. 28)

DRZEWIEJ...

Zamieszczamy drugi z kolei odcinek szkicu poświęconego przeszłości ziemi i człowieka.

NOWI LUDZIE

TYP człowieka, który teraz zaludnił Europę, a więc i ziemie polskie, był już formą ludzką nowszego typu, zwanego w nauce HOMO SAPIENS. W pewnym stopniu, wszystkie rasy europejskie, a więc i Słowianie, wywodzą się z tego typu.

Rasę ludzką, która opanowała Europę po „Neandertalczyku“ nazywamy w nauce człowiekiem „CRÔ-MAGNON“, od miejscowości we Francji, skąd pochodzi najbardziej charakterystyczne dla tej rasy znalezisko archeologiczne. Kultura tej rasy odznacza się dosyć staranną obróbką narzędzi kamiennych. Człowiek „Crô-Magnon“ używa też rogu i kości do wyrobu niektórych narzędzi i broni.

W następnym okresie, zwanym solutrejskim, od znalezisk w m. Solutré, we Francji, gdzie najwięcej znaleziono szczątków z tej epoki, zaznacza się pewien postęp w obróbce narzędzi kamiennych. W tej też epoce ludzie znali już rodzaj początków „krawiectwa“ — w znaleziskach trafiają się bowiem często rogowe igły i szydła. Pod koniec tej epoki człowiek ówczesny zna już łuk i strzały i umie się już nim dobrze posługiwać.

W następnym okresie zwanym „Magdaleńskim“ (od znalezisk w m. LA MADELAINE, we Francji), zaczyna pojawiać się w życiu ludzkim element sztuki, już w prawie pełnym znaczeniu tego słowa. Rysunki, malowidła i płaskorzeźby z tego czasu odkryto w wielu miejscach w Europie. Najbardziej znane są z grot LASCAUX we Francji, z grot ALTAMIRA w Hiszpanii oraz wielu innych miejsc w Europie.

W sztuce owych czasów wyróżniają się dwa ośrodki, o dwu różnych rodzajach ekspresji; — południowy zachód Europy ze sztuką typu naturalistycznego (figury ludzkie i zwierzęta), i tereny dzisiejszej Ukrainy ze sztuką o przewadze motywów geometrycznych i figur stylizowanych.

ZYCIE DUCHOWE

Sztuka człowieka epoki kamiennej wiązała się dosyć ściśle z rozwojem magii łowieckiej i rozwojem magii kultu płodności w Naturze. Z tą ostatnią są związane prawdopodobnie figurki kobiece tzw. „WENUS“, znajdujące w wielu znaleziskach archeologicznych. Są one, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wyrazem roli i znaczenia kobiet w ówczesnych społeczeństwach myśliczkich. Są dane, że grupy myśliwców owych czasów były zorganizowane w rody macierzyste, a przynależność rodową czy plemienną określało się linią matki.

Muzyka była też już znana ludzkości tej epoki; w Mołodowie, na Ukrainie, znaleziono piszczałki rogowe z tych czasów.

Jest teraz już okres końca Pleistocenu; świat nasz zaczyna wchodzić w epokę Holocenu, epokę naszych czasów.

W tym czasie lodowce cofają się jeszcze bardziej na północ, i odsłaniają w Europie coraz większe obszary nadające się pod osadnictwo ludzkie.

HOLOCEN, z punktu widzenia klimatu dzielimy na następujące podokresy:

1) Podokres Pre-Borealny (8.000-7.500 lat przed Chrystusem). Europę Środkową pokrywa las szpilkowy. Rosną też, brzoza, olsza i wierzba.

2) Podokres Borealny 7.500-6.200 lat przed Chr., dalsze ocieplenie się klimatu, więcej drzew liściastych.

3) Podokres Atlantycki (6.200-3.500 lat przed Chr.), klimat cieplejszy, las mieszany w Europie Środkowej.

4) Podokres Sub-Borealny (3.500-500 lat przed Chr.), klimat staje się coraz suchszy, buk zaczyna znikać z terenów Skandynawii.

5) Podokres Sub-Atlantycki (500 lat przed Chr. do czasów obecnych), nieznaczne ochłodzenie i zwilgotnienie klimatu. Wielki wpływ gospodarki ludzkiej na szatę roślinną Europy.

Aż do podokresu Atlantyckiego grupy ludzkie, reprezentowane przez wiele kultur europejskich, żyły tra-

milicjanta. My nie mogłyśmy naszych kazachstańskich paszportów pokazać. Stałyśmy z Anią trzymając się za ręce — bardzo niespokojne — jak wybrnąć z tego. Przed nami Cyganie, duża grupa, wychodzili już z sali. Tymczasem Jeżyk zobaczywszy znajome dzieci, pobiegł za nimi, my obydwie za nim. Milicjant przepuścił nas do następnej sali i wszystko zakończyło się szczęśliwie. Gdy pootwierano drzwi i milicjanci odeszli — my wróciłyśmy do naszych rzeczy. Ania była blada i rozstrojona. — „Taka rzecz udaje się tylko raz“ — powiedziała. „Ja nie chcę być złapana i przesiedzieć 10 lat w więzieniu. — Jak sama się zgłoszę — to mnie tylko odesłają to samo miejsce z powrotem“. — Nie mogłam jej przekonywać i namawiać do wytrwania: było to delikatne i wrażliwe stworzenie. Od początku naszej podróży źle sypiała i jadła. Ciągły lęk rozstroił ją zupełnie.

Lubiłam ją i Jeżyk też i bardzo mi było smutno. Jakoś przeszła ta noc i ranek. W południe pokazał się na sali milicjant. Kręcił się tu i tam — możliwe, że kogoś szukał. Ona wstała, podeszła do niego i coś mu mówiła. On miał raczej zdziwioną minę. Potem podeszli razem do naszej ławki. Ania wzięła swój tobołek z rzeczami i popatrzyła się na mnie. Policjant za jej plecami też patrzył się na nas. Obok stał koszyczek ze wspólnym jedzeniem. Wyciągnęła rękę i zawahała się. Potem odeszła. Policjant za nią.

Z tego zmartwienia przed rozstaniem — zapomnieliśmy wyjąć z koszyczka i rozdzielić żywność dla niej. Teraz biedactwo odeszła bez kawałka chleba. Miała do wyboru: zabrać całą żywność naszą, lub nie brać nic. I nie wzięła.

Długo nie mogłam się pocieszyć po jej odejściu. Cała energia moja była złamana. Czułam, że jak posiedzę tutaj jeszcze drugie pięć dni, to zrobię to samo, co ona. Wtém uświadomiłam sobie że milicja, mimo jej oświadczenia, że uciekła sama, zadzwoni na pewno do naszego kazachstańskiego miasteczka i od razu będzie wiedziała i o mnie.

Muszę natychmiast — za każdą cenę — wiać stąd. Przypomniłam sobie, że widziałam kiedyś bagażowego, gdy wynosił z poczekalni I-szej klasy walizki i zaczęłam go szukać. Znalazłam — i zapytałam czy może mi pomóc wsiąść do pociągu jadącego do Moskwy. — „Do zwykłego — nie“ — powiedział — „tam się czeka swojej kolejki. Ale dziś wieczór zatrzymuje się tutaj ekspres Władywostok-Moskwa“ — tu popatrzył na mnie z powątpiewaniem. Zapytałam — ile?. Powiedział. Dałam mu pieniądze i powróciłam na swoją ławkę. Do wieczora jeszcze daleko. Siedzę smutnie i myślę że w tym czasie wiele może się z nami przydarzyć. (c. d. n.)

dycjami czasów poprzednich, dla których myśliwstwo było zasadniczą podstawą życia. Zmienił się tylko nieco typ polowań i myśliwego. Gdy las pokrył większość terenów dawnego stepu, łowy na zwierzęta żyjące stadami musiały ustąpić miejsca polowaniu na zwierzęta pojedyncze lub żyjące w małych grupach. Łuk zaczął odgrywać, obok oszczepu i czekanu, bardzo dużą, jeśli nie główną rolę. Życie leśne sprzyjało też rozwojowi zbieractwa. Oprócz tego i rybołówstwo jeszcze bardziej się rozpowszechniło. Życie leśne wymagało posługiwania się siekierą, stąd jej spopularyzowanie jako narzędzia i jako broni.

Tymczasem na Bliskim Wschodzie w latach 8.000-7.000 przed Chr. zaszły duże przemiany w sposobach zdobywania pokarmu i sposobach życia. Miejsce myślistwa i zbieractwa zaczyna zajmować rolnictwo. Prawie równoległe do rolnictwa rozwija się hodowla zwierząt domowych. Od tej chwili zmienia się całkowicie sposób życia ludzkiego; na nowych podstawach zaczynają się rozwijać nowe kultury i cywilizacje, aż do naszej włącznie.

Ze swej kolebki mało-azjatyckiej rolnictwo i hodowla rozprzestrzeniają się na inne części świata.

Pod koniec pod-okresu Borealnego i w czasie pod-okresu Atlantyckiego docierają do ziem polskich nowe fale ludzkie, pół-koczowniczy i pół-rolnicy z południowego zachodu Europy. Są to plemiona z grupy plemion zwanych Ligurami, pierwotni mieszkańcy Europy, bodajże wywodzący się z rodzaju ludzkiego powstałego i wykrystalizowanego z pierwotnych ras ludzkich europejskich od człowieka Heidelbergskiego, poprzez człowieka neandertalskiego i rasę Crô-Magnon aż do Indo-Europejczyków. Mieszają się ci przybysze z poprzednimi mieszkańcami puszczy nadwiślańskiej. Powstaje nowy element etniczny. Nie była to inwazja typu wojennego, była to raczej penetracja grup ludzkich zajmujących tereny dotychczas nie zamieszkałe; zmieszania takie zawsze mają dodatni wpływ na rozwój nowych form kulturalnych.

Jak poprzednio wspominałem, rolnictwo miało swoje początki w Azji Mniejszej. Stąd emigrujące grupy wniosły znajomość uprawy roli i ho-

downi zwierząt do dalszych krajów, na Zachód, dokąd szli w poszukiwaniu nowych terenów osadniczych. Wiedli ci rolnicy-koczownicy, podobnie jak ich liguryjscy poprzednicy, bydło, świnie, owce i psy. Pies był bowiem pierwszym przez człowieka oswojonym zwierzęciem. Był on już towarzyszem człowieka-myśliwca z czasów wczesnego Mezolitu. Już dużo później, bo pod koniec Mezolitu zostały stopniowo oswojone kozy i owce, początkowo dla mięsa i skór, później dla mleka i jego przetworów, a później jeszcze dla wełny. Następnie nastąpiło oswojenie bydła rogatego i świń. Jeszcze później został oswojony osioł (w Egipcie), onager (w Mezopotamii), a wreszcie koń (na stepach południowo-syberyjskich, nad-kaspijskich i nad-czarnomorskich).

Nowy sposób zdobywania pożywienia i nowy tryb życia, pociągnęły za sobą wytworzenie się w życiu ludzkim nowych form społecznych. Gdy grupy myśliwych i zbieraczy składały się z małej ilości jednostek, zdecydowanie sobie równych (jednostki słabsze, chorowite i anormalne likwidowano we własnym zakresie, rodziny lub plemienia), w grupach pół-osiadłych, a później osiadłych rolników, występować zaczęło zróżnicowanie społeczne. Równoczesny rozwój religii również przyczynił się do wytworzenia się klas społecznych. W ten sposób grupy pierwotnie „egalitarne“ zanikają, a w ich miejsce zjawiają się „klasy“ społeczne. Powstają kasty kapłanów, klasy wojowników, z których później wyprowadzą się rody rządzące (książąt, królów etc.), powstają klasy czy zgrupowania rzemieślników i różnego rodzaju specjalistów.

Początki tego zróżniczkowania „klasowego“ miały miejsce w trzech środowiskach najstarszych kultur świata — Indiach (kultura Mohendjodaro-Harappa), Mezopotamii (Ur-Niniwa-Babylon) i w Egipcie, skąd rozeszły się po Azji Mniejszej. Stąd plemiona rolnicze szły dalej na Zachód, na Bałkany. Pod ich naporem plemiona bałkańskie, przejąwszy od przybyszów ich kulturę rolniczą, a często też zmieszane z nimi etnicznie, ruszały na Północ w poszukiwaniu nowych terenów osadniczych i ziem pod uprawę. Szły te fale ludzkie dolinami rzek, jak Wardar czy

Morawa (bałkańska), w dół ich biegu, do Dunaju, skąd niektóre grupy ciągnęły aż do wybrzeży Morza Czarnego, inne zaś szły w górę tej rzeki. Był to jednak mimo wszystko raczej pochod kultury niż przesuwanie się grup etnicznych. Plemiona małoazjatyckie, które niosły początkowo tę kulturę, pozostały w swej większości na Bałkanach, miejscowe zaś ludy, przesiąknięte nabytą kulturą, niosły ją dalej i przekazywały ją innym ludom, które z kolei, niosły ją jeszcze dalej i tak kultura znajomości rolnictwa i hodowli dotarła wreszcie aż do dolnego Renu. Musimy jednak zdać sobie sprawę, że cały ten proces trwał kilka tysiącleci; początki rolnictwa miały miejsce w Azji Mniejszej 8.500 lat temu, na Morawach i w Polsce południowej ta kultura rolnicza znalazła się około 4.000 lat temu, a nad Renem około 3.200 lat temu.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jan Pększyce

Księgarnia S.P.K.

20, QUEENS GATE TERRACE,
LONDON, S.W. 7.

Wylączne przedstawicielstwo
Instytutu Literackiego i
„Kultury“ na Wielką Brytanię

Czapski Józef

NA NIELUDZKIEJ
ZIEMI

22s

Herling-Grudziński G.

INNY ŚWIAT

20s

Singer Bernard

OD WITOSA
DO SŁAWKA

27s

Witos Wincenty

MOJE WSPOMNIENIA
3 tomy

130s

Zaremba Paweł

HISTORIA POLSKI
tom I

30s

Przesyłka każdej książki 3s.

KRONIKA WOJSKOWA

NIEMCY ZACHODNIE. Choć upłyne-
ły już dwa miesiące od uchwalenia przez
rząd, po 30-godzinnych obradach, reduk-
cji budżetu „Bundeswehr“ z 19,6 do
18,2 miliardów marek, praktyczne kon-
sekwencje tego obciążenia wciąż jeszcze
nie są znane. Nie są znane, bo jeszcze
nie wiadomo, czy parlament w pełni tę
przez Straussa przeforsowaną redukcję
zatwierdzi i które z czterech rozwiązań,
zaproponowanych alternatywnie przez
ministerstwo obrony, zostanie ostatecz-
nie przyjęte. Decyzję utrudniają i od-
wlekają zarówno różnice poglądów w
łonie rządu, obu rządowych partii i na-
wet „Hardt Höhe“, tzn. ministerstwa
obrony, jak i naciski zaniepokojonego
Waszyngtonu, nie mówiąc już o anta-
gonizmie między Schroederem a Straus-
sem i Kiesingerem oraz o nagłym i po-
ważnym zachorzeniu Schroedera, który
jest w czasie pokoju zwierzchnikiem
sił zbrojnych. Spór toczy się zresztą nie
tylko o wysokość i sposób wykorzysta-
nia nowego budżetu rocznego, ale także
o plan pięcioletni, który został już
zmniejszony o 1/5. Brak wyraźnej kon-
cepcji strategicznej i politycznej, łącznie
z wycofaniem się Francji, komplikuje
jeszcze sytuację. Zwłaszcza że
bądź ilość, bądź jakość sił zbrojnych
musi na redukcji ucierpieć, gdy po
drugiej stronie żelaznej kurtyny jakość
stała się podnosi, a ogromna przewaga
ilościowa nie zmniejsza, wreszcie że
poważniejsza redukcja „Bundeswehr“
może nie tyle ułatwiłaby kiesingerow-
sko-brandtowską „Ostpolitik“, ile utru-
dniłaby balansowanie między Waszyng-
tonem a Paryżem.

Toteż najprawdopodobniej przyjęty
zostanie kompromisowy wariant, prze-
widujący zredukowanie głównie pracow-
ników „Bundeswehr“. Jeśli zaś idzie o
plan 5-letni, to jego ramy mogą znów
być poszerzone, gdy koniunktura gospo-
darcza NRF się poprawi. Tak czy ina-
czej, nie ma narazie mowy o dalszym
powiększaniu stanów liczebnych „Bun-
deswehry“ ani o tak szybkim moderni-
zowaniu jej uzbrojenia i sprzętu, jak jej
kierownictwo planowało. Zwłaszcza że
przewidziane nowe typy czołgów, samo-
lotów, helikopterów, raket, czy wozów
strzeleckich są zawrotnie drogie. Tym
znamienniejszy jest fakt, że nawet kie-
rownictwo partii socjal-demokratycznej
wypowiada się „na razie“ za zachowa-
niem jednostek i pocisków, które mogły-
by — w razie konfliktu zbrojnego —
otrzymać amerykańskie głowice atomo-
we. Takimi jednostkami są (poza eska-
drami myśliwców bombowych) 2 pułki
czy baony raket „Pershing“ i 4 baony
raket o mniejszym zasięgu, a mają
być pułki czołgów uzbrojone w atomowe
rakiety „Shillelagh“.

Rzecz jasna, że okrojenie kredytów
odbije się także na tempie modernizacji
floty wojennej, na budowie różnych
urządzeń oraz na rozbudowie armii te-
rytorialnej („Heimatschutz“) i cywilnej
obrony przeciwlotniczej i przeciwatomo-
wej. Nie znaczy to, że „Bundeswehr“
stanie się poślednim instrumentem bojo-
wym, zwłaszcza, że niemiecki przemysł
pokrywa już 3/4 jej zapotrzebowania
sprzętowego, że napływ do podchorążów-
wek zwiększył się w I. półroczu br. o
76% i że zachodnio-niemiecka „góra“
wojskowa szybko się odmładza. Tak np.
z dniem 30. września przeszło w stan
spoczynku m.in. 10 generałów i 2 admi-
rałów w wieku od 56 do 60 lat. Wśród
nich dotychczasowy inspektor sił mors-
kich, wiceadmirał Zenker, zastąpiony
przez mającego zaledwie 54 lata wice-
admirała Jeschonek. Nie wolno też za-
pominać o tym, że B.W. ma aż 13 bry-
gad pancernych i ponad milion wyszko-
lonych rezerw.

NATO. Wyższe dowództwa, przenie-
sione przed końcem marca do Belgii i
Holandii, zainstalowały się już na do-
bre w nowych m.p., ale z pewnością
tęsknią za Paryżem, a jeszcze dotkli-
wiej odczuwają wyjęcie spod ich władzy
sił i urządzeń francuskich. Od pewnego
czasu krążą pogłoski, że gen. Lemnitzer,
który ma już 68 lat i od blisko 6. lat
jest naczelnym dowódcą sił atlantyckich
w Europie, ma być niebawem zastąpio-
ny przez gen. Wheelera, obecnego szefa
połączonych sztabów amerykańskich,
którego ma podobno złuzować gen. West-
moorland, dowódca sił amerykańskich
w Wietnamie.

UKŁAD WARSZAWSKI. Na stano-
wisku naczelnego dowódcy sił zbrojnych
tego „układu“ zmiana już nastąpiła.
Oczywiście, z woli Kremla, a nie, jak
eufemicznie się wyraża prasa krajowa,
„po konsultacji“ z rządami państw na-
leżących z musu do tego „układu“. Po
marszałku Greczko, powołanym na sta-
nowisko ministra obrony ZSSR, funkcję
tę objął marszałek Iwan Jakubowski,
mający zaledwie 55 lat, a więc o 9 lat
młodszy. Obaj mają mocne, twarde ry-
sy, obaj są olbrzymami i obaj byli do-
wódcami zarówno sił sowieckich w Niem-
czech Wschodnich, jak i ważnego okrę-
gu wojennego Kijów, zanim objęli nad-
zór nad satelickimi siłami zbrojnymi.
Zbieg okoliczności czy obowiązujący
obecnie staż dla ministra obrony ZSSR?
Rzecz jasna, że Jakubowski, jako znacz-
nie młodszy, wspinał się po tej drabinie
zawsze za b. ulubieńcem Chruszczowa
i także Ukraincem — Greczko, który już
w 1919 roku wstąpił do armii czerwonej
i podczas ostatniej wojny dowodził ko-

lejno trzema armiami sowieckimi. Ja-
kubowski rozpoczął swoją karierę woj-
skową dopiero w 1932 roku, dowodził
podczas ostatniej wojny tylko baonem,
pułkiem i pod koniec dywizją, a wojsko-
wą akademię ukończył zaledwie w 1948
roku. Po wojnie został równocześnie
I. zastępcą ministra obrony. Jako taki
występował ostatnio w syberyjskim
Chabarowsku, gdy jako dowódca sił
układu warszawskiego przyglądał się
niedo późniejszym bułgarsko-rumuńsko-
sowieckim manewrom „Rodopy“. Na
wspólne manewry polsko-niemiecko-so-
wieckie wysłał swego szefa sztabu, gen.
Kozakowa.

Kage

BILETY

**KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE**

•

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

**273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5**

Tel. FRE 1186

•

**MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.**

Tel. Moss Side 4683

•

**BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street**

Tel. MID 1526

OGŁOSZENIE ZAMIESZ-
CZONE W „ORLE BIAŁYM“
CZYTAJĄ POLACY
W 25 KRAJACH ŚWIATA

A CO DALEJ AFRYKO?

B.D.A.C.

„Po Kongu — Nigeria... Jeżeli chce się uniknąć całkowitej anarchii w tropikalnej Afryce, muszą wielkie mocarstwa pozwolić, aby ludy Afryki same przeprowadziły proces całkowitego rozbięcia dawnych terytoriów kolonialnych“. — mówi słusznie Douglas Brown w artykule pt. „Wara od Afryki“ („Hands off Africa“), zamieszczonym w *SUNDAY TELEGRAPH* z 20.8. br.

Wielu Polaków przypisywało niegdyś Anglikom wielką mądrość polityczną. Opinia ta nie wytrzymała próby drugiej wojny światowej i mętnych posunięć politycznych lat powojennych. Artykuł, o którym chcę mówić tutaj, świadczy, że istnieją w Anglii umysły patrzące na zagadnienia światowe nieco szerzej, niż przez ciasne ramy Brytyjskiej Wspólnoty.

Jeżeli jednak chodzi o środki zaradcze na istniejący chaos, okazuje się, że Douglas Brown znajduje wyjście, które nie może stać się ratunkiem dla pokolonialnej Afryki, bo nie jest możliwe do zrealizowania.

„Uzyskawszy niepodległość polityczną“ — pisze autor — „padła Afryka ofiarą najokrutniejszego oszustwa w historii“. Należało, jego zdaniem, pozwolić jej dorosnąć, jak małemu dziecku, do specjalnego rodzaju dojrzałości wymaganej przez „Jeden świat“ technologii XX stulecia. Zamiast tego jednak — „rociągnięto ją i ukrzyżowano na ramach politycznych granic, zakreślonych niegdyś przez europejskie mocarstwa kolonialne, bez względu na potrzeby, możliwości, a nawet warunki etnograficzne ludności. W wyniku tego, między Saharą a Zambezi istnieje 20 flag i hymnów narodowych, nie ma jednak ani jednego narodu w pełnym tego słowa znaczeniu“. Bo wyzwolone kolonie afrykańskie nie wyrastają automatycznie na narody. Łączyło je, w czasach kolonialnych, dążenie do niepodległości, a po swych odchodzących władcach otrzymali trochę elementarnych zasad samorządu. „Wolność jednak“ — jak mówi słusznie Brown — „paraliżuje ten podwójny spadek“. Bo nowe państwo nie odpowiada wąskim granicom plemienia, ani też szerokiemu pojęciu Pan-Afryki.

Dlatego też samostanowienie, jak to rozumieli twórcy Traktatu Wersalskiego, nie jest możliwe w Afryce, bo nie ma w niej historycznych narodów, które mogłyby objąć sukcesję. Całością, która jedyne może budzić poczucie zbiorowej lojalności, jest sam kontynent afrykań-

ski, „wielka matka“ czarnej rasy, bezwładna jednak i nie posiadająca unerwienia“. Chciał ją ożywić Nkrumah, ale dowodem jego klęski jest Organizacja Zjednoczenia Afrykańskiego (Organisation of African Unity).

Gdyby państwa kolonialne wycofały się równocześnie, zostawiając całkowitą próżnię, mogłaby Czarna Afryka — zdaniem autora — wejść do nowoczesnego świata jako całość. Stopniowe jednak odchodzenie Europejczyków utrzymało przy życiu dawne podziały, zostawiając powyżej wymienioną Organizację, najgorszy spadek po imperializmie, uważany przez Narody Zjednoczone za nietykalną świętość.

Czombe, korzystając ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, że w bogactwach mineralnych Katangi zainteresowane były finansowo państwa europejskie i że ludność tego kraju stanowiła pewną jedność plemienną, zdołał zamienić część Konga w państwo zdolne do samodzielnego istnienia. Niestety, wmsiały się niepotrzebnie Narody Zjednoczone stosując przemoc i zwiększając w Kongu chaos.

Była to jedyna międzynarodowa próba zachowania sztucznych ram — i spaliła na panewce. Obecnie gen. Gowon w Biafrze nie potrzebuje się obawiać nowej europejskiej krucjaty.

Skoro secesje stały się w ten sposób dopuszczalną herezją, jakąż gwarancję dać mogą granice, dzielące tak jaskrawo jednych członków plemienia od drugich? Jak dotychczas — brak stałości w pokolonialnej Afryce objawił się w morderstwach, zbiorowych masakrach, zamachach stanu i rewolucjach wewnątrz istniejących granic.

„Co może uczynić zewnętrzny świat aby zatrzymał ten tragiczny nurt? — pyta autor. „Wszelkie próby spowodowały jeszcze większe zamieszanie. Wielkoduszna interwencja UNO i egoistyczne machinacje Rosji, Chin i Ameryki oparte były na fałszywych przesłankach“.

Bo obecna Afryka nie stanowi zespołu suwerennych narodów. Istnieją pozory: jest cały aparat, ambasady rozrzucone po całym świecie, wędrujący politycy, gadatliwi delegaci, stanowiący większość na Zgromadzeniu Narodów Zjednoczonych. W rzeczywistości jednak panuje chaos — jak w Indiach w owym czasie, kiedy europejskie kompanie handlowe zakładały wokół ich wybrzeży zyskowe stacje. Ale tutaj zaczynają się różnice: East India Company miała dość

siły aby zawiązać tam również polityką i narzucić Pax Britannica. Dziś nikt nie ma tej siły, ani też chęci aby kolonizować powtórnie Afrykę.

Jakie jest wyjście z tej tragicznej sytuacji?

„Zastosować politykę odwrotną“ — radzi Douglas Brown. „Stworzyć coś w rodzaju „cordon sanitaire“ wokół niestabilizowanej części kontynentu afrykańskiego i czekać, aby sami mieszkańcy uporządkowali chaos wywołany przez państwa kolonialne. Nie dawać dyplomatycznego poparcia żadnemu ze współzawodniczących rządów, niezależnie od tego czy jest „legalny“, czy też nie. Nie przywiązywać wagi do żadnych zmian w granicach. A przede wszystkim — wydać zakaz dostaw uzbrojenia, aby ewentualne walki toczyły się tam na poziomie (bardzo niskim), narzuconym przez rodzaj broni, którą mieszkańcy Afryki sami mogą wyprodukować.“

Natomiast najważniejszym problemem Afryki jest jej rozwój ekonomiczny i kulturalny — w tym to właśnie kierunku powinna iść pomoc świata. „Chaos jest do pewnego stopnia nie do uniknięcia w obecnej sytuacji“ — mówi autor — „ale najlepszą receptą na powstanie nowego porządku są kontakty handlowe z istniejącymi władzami afrykańskimi, gdziekolwiek one istnieją“.

Na podstawie wydarzeń w Kongu, świat nauczył się patrzeć na Afrykę jako na teren „zimnej wojny“. W rzeczywistości jednak — Rosja, Chiny i Ameryka poparły sobie palce, nie w zamian nie osiagając. Zdrowy rozsądek uczy, aby zawrzeć zawieszenie broni. Fikcję, że świat składa się z suwerennych państw i że mapa polityczna globu powinna być wytyczona po wieczne czasy, należy wyrzucić za burtę.

„W zamian za iluzoryczny zbiór suwerennych państw i jeszcze bardziej iluzoryczne bezpieczeństwo, ludność Afryki“ — mówi autor — „otrzymałaby bezcenną możliwość uniknięcia klęski nacjonalizmów, które bezustannie pustoszyły Europę“. „Plemienna tabula rasa“ afrykańska mogłaby przyjąć w miarę postępu ekonomicznego najwyższe osiągnięcia Zachodu — i to na skalę całego kontynentu, bo to właśnie jest Afryce potrzebne. Po integracji ekonomicznej nastąpiłaby polityczna integracja — i tak wyłoniłaby się w końcu zjednoczona Afryka, na tyle silna, aby osiągnąć trwałą pokój“.

Możliwość takiego rozwiązania jest wszakże złudzeniem.

Po pierwsze — jeżeli chodzi o wkład brytyjski do tego dzieła — Anglia jest dzisiaj bezradną wdową po zgasłym powolną śmiercią Imperium brytyjskim.

(Dokończenie na str. 32)

(Dokończenie ze str. 31)

Jest w dodatku wdową obciążoną dużym podatkiem spadkowym. Jest wystraszona i bezsilna. Obelgi, na które dumny Albion zareagowałby niegdyś natychmiast karną ekspedycją, przyjmują obecnie Anglia pokornie, nie na tym nie zyskując, prócz coraz większej utraty dawnego prestiżu, nie tylko wśród białych, ale i wśród ludów kolorowych, którymi dawniej rządziła. Jest biedna, a praca nad ekonomicznym i kulturalnym podniesieniem Afryki wymaga pieniędzy, długotrwałych kredytów, które w obecnym chaosie nie tylko nie dałyby zysków (tak bardzo potrzebnych zubożałemu krajowi), ale doprowadziłyby do utraty włożonych kapitałów.

Po drugie — nie jest możliwe zawieszenie broni z Rosją i Chinami, ani wspólna z tymi państwami praca nad stworzeniem zdrowej politycznie i ekonomicznie Afryki. Dzieje się to z tej prostej przyczyny, że państwowemu komunistycznemu wcale nie zależy na powstaniu silnej i samodzielnej Afryki, a jedynie na ciągnięciu zysków z jej naturalnych bogactw i materiału ludzkiego. Chcą z niej zrobić taran, którym można by było rozbić imperialistyczny, kapitalistyczny świat zachodni. Prace przygotowawcze spełnia już przecież, jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone, „czarny dynamit“ — Murzyni, obywatele amerykańscy.

Jest to więc sprawa znacznie trudniejsza do rozwiązania niż się to wydaje angielskiemu dziennikarzowi. Afryka weszła w okres chaosu podobnego do tego, który przeżywały wyspy brytyjskie na początku V. wieku, kiedy ostatnie legiony rzymskie opuściły kraj, aby bronić metropolii.

Są różnice — i te działają na niekorzyść Afryki: zromanizowani Brytowie stali na wyższym poziomie kulturalnym niż wiele dzisiejszych szczepów afrykańskich. Prócz tego przestrzeń, na której zapanował wówczas chaos, była znacznie mniejsza niż olbrzymi, zróżniczkowany geograficznie i etnograficznie kontynent afrykański. W dodatku zaś, w zmaganiach między Brytami, Piktami i Saksonami, żadna z tych drużyn wojennych nie była zaopatrzona w nowoczesne środki masowego niszczenia, jakie sprzedają obecnie walczącym plemionom wielkie mocarstwa, aby w ten sposób uzyskać wpływ na Czarnym Lądzie.

Dlatego też droga do zjednoczonej, kwitnącej gospodarczo i kulturalnie Afryki wydaje mi się bardzo daleka.

K.B.

Serdecznie dziękujemy czytelnikom i przyjaciołom „Orla“, którzy nadsyłają nam interesujące wycinki z innych pism.

REDAKCJA

Z ŻYCIA POLSKIEGO

Rok milenijny był bardzo uroczysto obchodzony przez emigrację polską w Sao Paulo. Główne uroczystości odbyły się w sierpniu 1966 r., a przeciągnęły się aż do kwietnia r.b. W dniu 23.8.66, w kościele N.S. Auxiliadora, w którym znajduje się kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej z witrażami i polichromią na tematy historyczne polskie, odbył się koncert organowy słynnego organisty prof. Angelo Camin, z udziałem połączonych chórów OO. Salezjanów i polskiego „Naszego Chóru“. W dniu 28.8. w katedrze metropolitalnej Kardynała Arcybiskupa S. Paulo Don Agnelo Rossi celebrował uroczystą Mszę św. z okazji Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej. Udział wzięły władze stanowe, miejskie, duchowne i wojskowe, bardzo licznie przybyli Polacy oraz przedstawiciele narodów zza żelaznej kurtyny w strojach narodowych i ze sztandarami, wśród których byli nawet wolni Chińczycy i tłumy ludności miejscowej. W czasie Mszy św. śpiewały chóry polski i litewski w strojach narodowych.

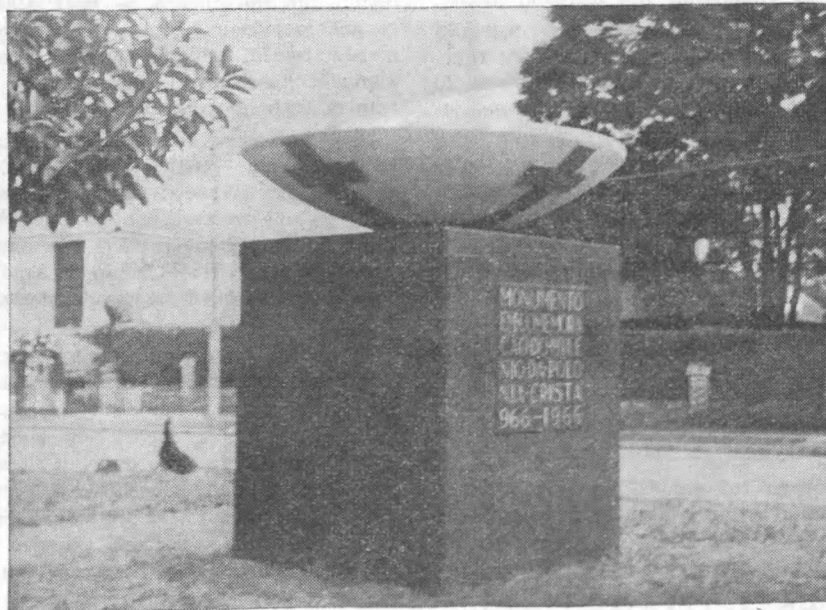
Dnia 4.XII. w gimnazjum sportowym wielkiego stadionu miejskiego, a w dniu następnym w Teatrze Miejskim, odbyły się występy zespołu polskiego „Juvencus“ z Kurytyby, cieszącego się wielkim powodzeniem w Brazylii. Zespół ten, podobny w charakterze do „Mazowsza“, pozostaje pod kierownictwem muzycznym ks. Józefa Zajęca, tanecznym prof. Marcinkowskiej, a artystycznym

prof. Tadeusza Morozewicza, przy dekoracjach art. malarza Lewandowskiego, oczarował publiczność swymi barwnymi strojami ludowymi, doskonale wykonanymi tańcami, piosenkami i scenkami regionalnymi. Młodzież tego zespołu, ucząca się w szkołach i na uniwersytetach, czy pracująca zarobkowo, oddaje bezinteresownie swój wolny czas na próby i występy.

W marcu br. poczta brazylijska, w porozumieniu z Towarzystwem Filatelistycznym, wypuściła polski znaczek milenijny, projektu art. mal. Kubiczka, przedstawiający obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, Krzyż Komitetów Milenijnych i Orła polskiego.

Na zakończenie roku milenijnego odbyło się w S. Paulo, w dniu 16.4. br., odsłonięcie pomnika Tysiąclecia, według projektu inżynierów-architektów: Wiktora Reifa, Mieczysława Grabowskiego i Mirosława Szabuniewicza. Główna zasługa wzniesienia pomnika spada na inż. Stefana Neudinga, który uzyskał pozwolenie władz miejskich i załatwił wszystkie formalności i zdobył część materiału. Cenny granit na pomnik ofiarował płk. dypl. Stanisław Koszutski, d-ca 2 Pułku Pancernego w 1. Dyw. Pancernej, w czasie ostatniej wojny. Wykonawcą robót nad pomnikiem był inż. M. Szabuniewicz.

Główna zasługa zorganizowania tak bogatych obchodów Roku Milenijnego spada na przybyłego niedawno z Mozambiku ks. Stanisława Łobaza, proboszcza parafii kościoła N.S. Auxiliadora, który w krótkim czasie zdobył sobie serca tutejszych Polaków, nawet innych wyznań.



Pomnik Tysiąclecia Polski w Sao Paulo

KONFERENCJA EUROPEJSKICH SPK

10 i 11 czerwca br. odbyła się w Paryżu konferencja europejskich ogniw Stowarzyszenia Polskich Kombatantów z udziałem przedstawicieli z Anglii, Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Niemiec, Szwecji i Włoch.

Tematem konferencji były następujące sprawy: 1. Działalność rozkładowa wśród emigracji polskiej. 2. Polski Kongres Europejski. 3. Sprawozdania z odziedziczenia działalności społecznej.

W czasie obrad podkreślono zgodną i owocną współpracę naszego duchowieństwa oraz przedstawicielstwa politycznego z organizacjami społecznymi w poszczególnych krajach.

Konferencja, która była normalnym okresowym spotkaniem działaczy kombatanckich z jakiegoś powodu wzbudziła zainteresowanie niemieckiego pisma ziomkowskiego Volksbote, które w opisie jej przebiegu podało szereg całkowicie wyssanych z palca wiadomości obliczonych na sianie zamętu wśród emigracji.

Zarząd Federacji SPK przesłał do redaktora wspomnianego pisma odpowiedniej treści sprostowanie.

UŁAŃSKIE ŚWIĘTO W SZKOCJI

Minęło już 47 lat od słynnej bitwy kawaleryjskiej pod Komarowem, w której polskie pułki ułańskie rozgromiły jazdę Budiennego, a która od tej bitwy przestała już być groźną.

Bitwa ta rozegrała się 31 sierpnia 1920 roku. Wstawił się w niej 9. Pułk Ułanów Małopolskich, który siedem razy w tej bitwie szedł do szarży. Do ostatniej z nich Małopolscy Ułani ruszyli stępą, bo koni nie stać już było na większy wysiłek.

Dzień 31 sierpnia stał się świętem pułkowym „dziewiątaków“. Obchody święta pułkowego organizowane są rok rocznie przez Koło tego pułku w Londynie i przez jego Sekcję „Szkocja“ w Edynburgu. I w tym roku na obchód święta pułkowego „dziewiątacy“ zjechali się do Edynburga z całej Szkocji. Dołączyli do nich Ułani Jazłowieccy (bo i ich pułk w tej bitwie brał udział), by wspólnie uczcić święto obu pułków.

W niedzielę, 3 września br. w kościele polskim w Edynburgu zostało odprawione nabożeństwo za poległych na polach bitew i zmarłych ułanów 9. Pułku Ułanów Małopolskich i 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich, Ułańskie lance z proporzycami „dziewiątaków“ i „jazłowiaków“, ustawione przed ołtarzem, akcentowały niecodzienny charakter nabożeństwa. Dość licznie, bo w liczbie około 60 osób, zgromadzili się ułani w Domu Kombatanta na tradycyjny żołnierski obiad. Honory gospodarza

pełnił major Zdzisław Sas-Biliński, prezes Sekcji „Szkocja“ 9. Pułku Ułanów Małopolskich, który ciepło i serdecznie powitał zaproszonych gości i ułańską brać. Podczas obiadu okolicznościowe przemówienia wygłosili: rtm. W. Minor i rtm. A. Smolka, jako przedstawiciele 14. Pułku Ułanów Jazłowieckich oraz kapitan Stanisław Radziwiłł w imieniu 2. Baonu Grenadierów, zwanych „Kratkowanymi Lwiątkami“. Przy stołach panowała „ułańska atmosfera“, na ścianach pełno było ułańskich lanc i proporzyców, a na stołach kwiatów o barwach obu pułków.

Bezpośrednio po obiedzie odbyło się walne zebranie Sekcji „Szkocja“ 9. Pułku Ułanów Małopolskich, na którym poza sprawami organizacyjnymi Sekcji, rozpatrzono projekt powołania do życia ogólnego koła kawaleryjskiego, które by objęło wszystkich kawalerzystów i dakowców zamieszkałych w Szkocji. Zebranie projekt jednomyślnie zatwierdziło i upoważniło mjr. Sas-Bilińskiego do podjęcia koniecznych kroków w tym kierunku. Jeżeli nie wyłonią się jakieś nieprzewidziane trudności, to może już w roku przyszłym kawalerzyści i dakowcy w Szkocji obchodzić będą wspólnie kawaleryjskie święto w ustalonym dniu.

Zebranie z uznaniem przyjęło do wiadomości udział Sekcji w organizowaniu wystawy pamiątek Marszałka Józefa Piłsudskiego, organizowanej dla uczczenia 100-ej rocznicy Jego urodzin. Wystawa zostanie otwarta przez córkę Marszałka, dr Wandę Piłsudską, 9. listopada br. w Domu Kombatanta.

St. Bł.

S.P.K. W BRAZYLII

Obchód Święta Żołnierza w Rio de Janeiro odbył się w dniu 13. VIII., zorganizowany przez Zarząd Koła miejscowego SPK. Po Mszy św. odprawionej przez ks. Benedykta w kościele polskim, na której byli liczni reprezentanci władz wojskowych i kombatanckich brazylijskich, jak również delegacje kombatantów belgijskich, francuskich i brytyjskich oraz liczni goście. Odbyło się złożenie wieńca pod pomnikiem poległych w II. wojnie światowej. Uroczystości asystowały poczty sztandarowe. Wieczorem w salonach domu Koła Polek odbyła się cocktail party, w której wzięli udział wszyscy uczestnicy uroczystości porannych. Prasa miejscowa opisała uroczystości Święta Żołnierza Polskiego.

W dniu, 1 lipca br. Zarząd SPK zorganizował wieczór „Spotkanie Kombatanckie“, w czasie którego wręczono Koledze Edwardowi Żydowiczowi, Prezesowi „Gromady Kombatanckiej“ w Kurytybie, Złotą Honorową Odznakę SPK. Odznakę wręczył i okolicznościowe przemówienie wygłosił Prezes Koła

SPK Rio de Janeiro, kol. Janusz Pawelkiewicz, odpowiedział dekorowany kol. Żydowicz, dziękując za serdeczne przyjęcie. Obecni byli prawie wszyscy koledzy wraz z rodzinami.

Z TEATRU

B.D.J.C

„WAITING ROOM“ WIKTORA BUDZYŃSKIEGO

Teatr ZASP. otworzył swój sezon 1967/68 nową sztuką pt. „Waiting Room“ Wiktora Budzyńskiego, jednego z najpłodniejszych komediopisarzy na emigracji. Idąc za przykładem wkładki do programu, nie ma co przypominać czy wspominać mu wszystkich poprzednich sztuk. Wystarczy wskazać, że obecna jest pomyślana, jako dorobione w 20 lat później, nowe skrzydło do tryptyku, z których dwa poprzednie stanowiły: „Spotkanie“ z 1947 roku i „Displaced Person“ z 1948 r. Z polskiego pensjonatu w pierwszej sztuce, a potem hostelu w drugiej, autor przeniósł teraz widzów do londyńskiego dworca lotniczego, jako do znakomitego miejsca spotkań displaced persons z całego świata. Konfrontują się ze sobą różne kategorie Polaków, tych stąd, stamtąd i zewsząd i autor dokonuje tej ryzykownej operacji, tym samym ostro naciętym piórem i nieumniejszonym temperamentem. Niezawodną umiejętność podpatrywania śmiesznośtek polskich łączy tu fenomenalnym wyczuciem aktualności. Dowod tego można było znaleźć w fakcie, że właśnie na premierze w Ognisku, które stało się mimowolnym przedłużeniem poczekalni lotniskowej, spotkali się ze sobą Józefostwo Wittlinowie z Nowego Jorku z Nowakowskimi z Jamajki i Wierzyńskimi z Rzymu, a poza nimi nie brakło gości z Kraju.

Z zespołów z dawnych sztuk pozostali na scenie tylko Barbara Reńska w doskonałej postawionej roli Barbary Kotula, Roman Ratschka, który teraz oddał z prostym realizmem postać dra Rączego, karierowicza bez skrupułów oraz M. Arczyńska ze „Spotkania“. Starsze pokolenie emigracyjne reprezentuje tu Stanisław Zięciakiewicz, jako płk. Józef Kowalski, romantyk starej daty, i jego dawna (ale znacznie od niego młodsza) flama, wciąż urodziwa i sentymentalna Julia Górską, uosobioną przez Marię Arczyńską. Młode pokolenie z Kraju — to siostrzenica czy bratanica pułkownika, Bożenka (Joanna Rewkowska) znajdująca narzeczonego w osobie trochę już skosmopolitowanego inżyniera Pelca, którego gra Witold Schejbal, oraz najmocniej zarysowana przez Budzyńskiego postać bitnika polskiego Witolda Jędrycha, udanie przedstawionego przez Krzysztofa Jakubowicza, który nabiera

(Ciąg dalszy na str. 34)

PRZEWAŻNIE DLA PAŃ

ODBRĄZOWIENIE KOSMETYCZNEJ MAGII?

Anglia wydaje miliony rocznie na kosmetyki — piszę rozmyślnie Anglia, gdyż obecnie i mężczyźni z nastaniem długowłosych fryzur — coraz częściej i coraz śmielej zerkają w stronę kremów odżywczych dla cery, perfumowanych mydeł i talków, wód kolońskich, czy nawet, o zgrozo — farb na włosy. Zresztą, obojętne, kto wydaje, powiedzmy, że kobiety na pewno jeszcze przodują w tej dziedzinie. Ważna jest ogólna cyfra — zimna statystyczna cyfra wydatków na artykuły upiększające. Otóż, ta cyfra jest zawrotna i sięga milionów funtów. Sądząc po tych astronomicznych sumach wszystkie kobiety powinny być piękne, wszystkie mieć gładkie cery, różane policzki i rzęsy na kilometr, jednym słowem, każda z nas powinna wyglądać jak Afrodyta, a nie — jak to często bywa — abstrakt namalowany ręką niewidomego.

I naraz na łamach prasy brytyjskiej przyszło pewne odbrązowienie kosmetycznej magii. Szereg kobiet zamożnych, panie z arystokracji, aktorki i

(Dokończenie ze str. 33)

coraz więcej szlifowania scenicznego. Naturalną kreację modelowej stewardessy stworzyła Danuta Philip (D. Czyska) z uśmiechem na twarzy trzymając w ryzach swych pasażerów. Perspektywa poczekalni na lotnisku pomysłu Tadeusza Orłowicza była przyjęta burzą oklasków po podniesieniu kurtyny. Nowy cud pomnożenia przestrzeni. Trafnie wyreżyserował całość Leopold Kielanowski, realizator całego tryptyku Budzyńskiego. Tym razem jednak zadanie reżysera, jak i autora było szczególnie trudne, bo sztuka ma tzw. „formę nowoczesną“, (czyli brak jej właściwej formy dramatycznej), będąc jakby reportażem scenicznym z przypadkowego zdarzenia. To też cały zaczął do kontrowersji politycznej, czy też do dramatu obyczajowego, dzięki brakowi zwartej konstrukcji i przy pobłażliwym uśmiechu aktora kończy się właściwie na niczym nowym, na patriotycznym „Kochajmy się“, które rozładowuje w żarcie i płytkim sentymencie wszelkie głębsze nurty utworu. Można by więc dopatrzeć się w tej sztuce i bardzo odległej polskiej transpozycji „Waiting for Godot“ innego Pana B. (Becketa). W sumie uzyskano interesujące, dobrze zagrane, zabawne i bezpretensjonalne widowisko.

J.O.N.

modelki — wypowiedziały się przed pewną dziennikarką ze swoich kosmetycznych tajemnic. Jakże to były tajemnice? Nim je wyjawimy, powiedzmy od razu, że spowiadające się panie były wszystkie bardzo zadbane, bardzo dobrze „zrobione“ i bardzo młodo wyglądające.

I tak jedna z najbardziej arystokratycznych dam Zjednoczonego Królestwa wyznała, że... zamiast tuszu do rzęs używa starego przepisu własnej matki, która przyciemniała rzęsy jedynie i wyłącznie — pastą do butów. Arystokratyczna dama uważa, że pasta do butów nadaje rzęsom znakomity połysk i że dzięki, zawartemu w niej tłuszczowi rosną wprost znakomicie.

Pewna aktorka komediowa dla odmiany — nie uznaje wogóle żadnych kremów odżywczych, czy nawadniających, żadnej emulsji, mleczek czy tzw. „kremów znikających“ — vanishing creams. Sekretem jej jasnej i świeżej cery, chociaż przekroczyła ona na pewno już pięćdziesiątkę jest... olejek dla niemowląt, ten sam olejek, którym naciera się niższe rejony niemowlęcego ciała przy zmianie pieluszki. Inna natomiast aktorka, osoba zupełnie leciwa, niemal, że pierwsza dama teatru brytyjskiego — Hermione Gingold twierdzi, że gładkość swej cery zawdzięcza faktowi, iż nigdy, ale to nigdy w życiu nie myła twarzy mydłem, tylko letnią wodą. Inne kobiety stojące na świeczniku zarówno mody, jak i społecznym podają, doprawdy, zgola niespodziewane przepisy upiększające: więc jedna radzi myć twarz wyłącznie wodą Evien, którą można otrzymać w butelkach w większych aptekach, a jeszcze inna powraca do starego przepisu znanego nam także z polskiej wsi: żółtko, surowe żółtko, położone na twarz aż do zaschnięcia w kruchą skorupkę, a potem zmyte śmietanką, odmładza natychmiastowo. Skąd więc, drogie panie i po co — wydajemy takie miliony funtów na odżywcze kremy?

MASZYNA DO SKAKANIA DLA MILUSIŃSKICH

Ale dość o kosmetykach. I tak każka z nas ma jakiś swój „murowany“ przepis, w który wierzy i który dlatego pewnie naprawdę jej pomaga. Zajmijmy się teraz na chwilę naszymi pociechami.

Przemysł brytyjski nie zapomniał o wygodzie swych najmłodszych obywateli. Ostatnio ukazał się w wielu dużych magazynach londyńskich, a zapewne także i na prowincji, wspaniały

przyrząd ku uciesze milusińskich, i to tych najmłodszych, bo zaledwie paromiesięcznych. Przyrząd ten jest bardzo prosty w pomyśle i dając dziecku radość, odciąża jednocześnie w dużym stopniu matkę. Nazywa się ten wynalazek „Baby Bouncer“, co na język polski najbliżej dałoby się chyba przetłumaczyć jako „niemowlęca maszyna do skakania“. Wygląda to tak: Na linkach z gumy, grubości serdecznego palca zawieszono jest coś w rodzaju siodełka z bardzo mocnego plastyku. Siodełko to ma wycięte otworki na nóżki małego pasażera i ogólnym wyglądem przypomina nieco huśtawkę. Cały przyrząd posiada mocny uchwyt, dostosowany do szerokości angielskiej ramy od drzwi, na której to ramie zawieszona jest huśtawka. Wprawiona lekkim pchnięciem w ruch huśtawka — maszyna do skakania — zaczyna lekko i regularnie podskakiwać z rozanielonym pasażerem w środku. Załączona broszurka mówi, że przyrząd ten nadaje się do użytku dla dzieci od trzeciego miesiąca życia i jest zdrowotnie wskazany, gdyż wyrabia doskonale mięśnie krzyża. Sama widziałam w maszynie do skakania trzymiesięczne niemowlę — było na prawdę roześmiane i szczęśliwe, a przede wszystkim — bezpieczne. Sądzę, że jest to jeden z najlepszych wynalazków do pokoju dziecięcego, od wielu lat.

ZEGFIELD FOLLIES

A teraz wiadomość dla starszego pokolenia — zarówno dla pań jak i dla tych panów, którzy w swej niedawnej, a bujnej młodości jakieś 50 lat temu potrafili zakochać się w tajemniczym uśmiechu, rzuconym zza białego boa ze strusich piór, lub którzy się o ten uśmiech nieraz pojedynkowali w parku o świcie i uwielbiali gwiazdy swej epoki z oddalenia — poprzez światła rampy music-hallu. Wiadomość bowiem dotyczy słynnych „Ziegfield Follies“, które obchodziły niedawno 60-lecie swego istnienia. Tak, istnienia, gdyż przepiękne dziewczęta tego zespołu zrzeszyły się w bardzo szacowną i poważaną instytucję.

Wspaniały amerykański „showman“ Ziegfield zaczął rekrutować do swego tanecznego zespołu na Broadwayu w Nowym Yorku pierwsze tak zwane „girlaski“ czyli tancerki w szereg — już w roku 1907-ym. Od tego to roku aż do 1931 zespół jego był najpiękniejszym i najslawniejszym zespołem dziewcząt na świecie. Był także i zespołem najdroższym, gdyż kostiumy do występów ociekające lamą, cekinami, futrem, piórami ze strusi i pawiów — kosztowały „Starego Ziegfielda“ jak

Dokończenie na str. 37)

Od wielu lat panuje pogląd, że jedną z głównych przyczyn zawału serca jest nadmierne spożycie tłuszczu. Jednakże prawie już 12-letnie badania przez tysiące badaczy na całym świecie nie dostarczyły dotąd ani jednego niezbitego dowodu, że tak jest w istocie; w wypadkach poprawy stanu pacjenta, ograni-

nazywano tego najsłynniejszego impresario amerykańskiego — aż sześć milionów dolarów. Troska o swój wspomniały zespół była w Zegfieldzie tak silna, że gdy w roku 1932 pożegnał się ze światem zostawił zamiast sporego majątku, jakiego się po nim spodziewano, olbrzymi dług 500 tysięcy dolarów.

Sława dziewcząt występujących pod mianem „Zegfield Follies“ skończyła się z dniem wielkiego krachu na nowojorskiej Wall Street, w roku 1931. Od chwili tej gigantycznej katastrofy finansowej najpiękniejsze dziewczęta świata zeszyły w cień.

Od czasu do czasu jednak Zegfield Follies dają o sobie znać, najczęściej wspomnieniami o dniach świetności na łamach poczytnych magazynów. Czytając te wspomnienia starsze pokolenie wzrusza się młodzieńczo, wzywając pospołu z takimi sławami tamtych czasów, jak Nita Naldi, z którą występował Rudolf Valentino, lub z Marion Davis, która była jedną z największych aktorek niemego filmu — jak to było w t e d y, gdy były czarujące Ziegfield Girls i stały w zdyscyplinowanym w szeregu naprzeciw teatralnej rampy.

Niedobitki „Zegfield Follies“, — a niektóre z nich zostały żonami milionerów, — z sentymentu żywnego do dawnych, dobrych czasów zrzeszyły się w klub, obrawszy za prezeskę 73-letnią babkę wielu wnucząt, niejaką p. Wright.

Niedawno w wywiadzie udzielonym prasie córka wielkiego Zegfielda powiedziała: „Patrząc na członkinie zrzeszenia trudno jest uwierzyć, że były to najładniejsze dziewczęta świata. A jednak były. Ojciec mój dobierał je wszystkie dla jakiegoś specjalnego czaru, wdzięku, godności i szyku, którym różniły się tak zasadniczo od innych gwiazd i gwiazdek. Każda dziewczyna z „Zegfield Follies“ miała niezwykłą osobowość, która emanowała nawet ze sceny, nawet z szeregu dobrze wytrenowanych „girlasek“. I to się widzi nawet jeszcze i dzisiaj, gdy już z piękności czy wspaniałej figury nie zostało ani śladu. Jakis nieprzemijający wykwił, jakaś smuga odmienności i czaru przetrwała w tych kobietach. I pozostanie na zawsze, bo z tym niepowtarzalnym czarem i urokiem każda z tych dziewcząt przysła na świat i zatrzyma go już aż do śmierci.

K. E.

czenie ilości tłuszczu połączone było także z innymi zmianami w diecie, np. z ograniczeniem ilości spożywanego cukru. Zagadnienie to omawiał niedawno J. Yudkin, profesor środków spożywczych na Uniwersytecie Londyńskim (New Scientist, Nr. 536). Zawał serca można określić jako chorobę dobrobytu, bo w nowoczesnym wygodnym sposobie życia jest wiele czynników, które jej sprzyjają: mało ruchliwy tryb życia (samochód, telewizja), palenie tytoniu, wyrafinowane „smaczne“ chociaż niekoniecznie „zdrowe“ potrawy, słodczyce, komfitury i kompoty, zamiast świeżych owoców, itd. Wpływ tych czynników jest kumulatywny, zawał rozwija się powoli i zwykle objawia się dopiero po 20 latach „przyjemnego“ życia. Profesor przytacza szereg danych statystycznych wskazujących na zależność między częstotliwością tej choroby, a ilością zjedanego cukru. A więc, wśród emigrantów niedawno przybyłych z Jemenu do Izraela zawał prawie nie ma, podczas gdy u Jemeńczyków żyjących tam w dobrobycie od przeszło 20 lat zawał jest częsty; jedną z zasadniczych zmian w ich życiu jest większe spożycie cukru w Izraelu. Wśród wschodnio-afrykańskich szczepów Sambura i Massaya zawał jest prawie nieznan, mimo że spożywają dużo tłustego mięsa i mleka; tłumaczono to bardzo ruchliwym trybem ich życia. Ale ludność wyspy św. Heleny prowadzi podobnie ruchliwy tryb życia, je mało tłuszczu, a mimo to zawał jest tam bardzo częsty; wyspiarze spożywają znacznie więcej cukru niż Samburowie czy Massayowie. Z obserwacji profesora okazuje się, pacjenci cierpiący na zawał pili i piją więcej „cups of tea“ i używają więcej, po kilka łyżeczek cukru do każdej. Podobnie amerykańskie studia dietetyczne wykazują, że Amerykanie chorzy na zawał piją więcej i to dobrze osłodzonej kawy. W Anglii roczne spożycie cukru na głowę stale wzrasta (5 funtów w 1760 r., 125 funtów w 1960); także wzrasta — i to coraz szybciej — ilość przypadków zawału. Wobec tego, że mimo wieloletnich intensywnych i kosztownych badań niema dotąd konkretnych dowodów na zdecydowanie szkodliwy wpływ tłuszczu w diecie, należałoby — konkluduje profesor — zwrócić baczniejszą uwagę na bardzo podejrzaną rolę cukru; choćby dlatego, że istnieje możliwość ocalenia ofiar tej choroby, których liczba w sa-

mej W. Brytanii wynosi obecnie ponad 100 tysięcy osób rocznie.

B.D.I.C

RELIGIJNOŚĆ

WŚRÓD MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Niedawno ogłoszono wyniki ankiety przeprowadzonej w 19 szkołach średnich (grammarschools) w Anglii, dotyczącej religijności wśród młodzieży szkolnej (Brit. J. Social. & Clinical Psychology, 6 (1):23). Ankieta objęła 2.276 młodzieży obu płci w wieku 16 lat; podobne kwestionariusze rozestano również do rodziców tych dzieci. Okazuje się, że wśród dziewcząt 74% wierzy w istnienie Boga, podczas gdy wśród chłopców mniej niż połowa, bo tylko 48% jest pewna, względnie prawie pewna, że Bóg istnieje. Interesującym jest fakt, że wśród rodziców tych dzieci procent wierzących jest wyższy, — 88,7% matek i 67,5 ojców wierzy w Boga. W pojęciu większości wierzących dziewcząt Bóg jest pocieszycielem, kochającym, miłosiernym, przebaczącym. Chłopcy natomiast uważają Boga raczej za twórcę, planującego i kontrolującego świat, odpowiedzialnego za życie, ewolucję, itd. Często jednak zdecydowanie odrzucają możliwość, by Bóg mógł mieć bezpośredni wpływ na sprawy fizyczne świata. Dość różnorodne i interesujące są odpowiedzi dotyczące wiary w Chrystusa, życie pozagrobowe, praktyk religijnych (chodzenie do kościoła i modlitwy prywatnej) itd.; wiele dzieci chodzi do kościoła z powodów niereligijnych (tradycja domowa, wpływ rodziców, chóry kościelne). W szkołach koedukacyjnych zarówno dziewczęta jak i chłopcy są mniej religijni. U chłopców w tych szkołach dużą rolę odgrywa wybór przedmiotu, i ci którzy wybrali nauki matematyczno-przyrodnicze są mniej religijni niż ich koledzy studiujący nauki humanistyczne, a w ogóle znacznie mniej niż wszyscy chłopcy w szkołach niekoedukacyjnych. Według autorów (dr Wright i dr Cox) wybór przedmiotów matematyczno-przyrodniczych, których przeważnie uczą nauczyciele mężczyźni, przedstawia eo ipso „masculine connotation“, z czym związany jest brak religijności, uważany również za atrybut męski. U dziewcząt w szkołach koedukacyjnych wybór przedmiotu nie ma znaczenia; mniejszą religijność u nich tłumaczą autorzy artykułu wpływem krytycznym, bardziej wnikliwych i inkwizytywnych chłopców. Takie tłumaczenie obniżenia się religijności w szkołach koedukacyjnych już spotkało się z krytyką; bo może to być — sug-

Czytaj książkę polską

(Dokończenie na str. 36)

STARY I NOWY STYL: Najnowsza inicjatywa odmłodzonego zespołu Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego w zakresie spraw naukowo-kulturalnych wydaje się doskonałym przykładem „nowego stylu“, jaki zarysowuje się w zakresie spraw nie-politycznych. Po udanym zjeździe milenijnym nauki polskiej w Nowym Jorku, postanowiono urządzić

rują krytycy — po prostu wynikiem obecności drugiej płci, kompleks „ojciec — Bóg — religia“, zostaje zastąpiony przez kompleks „psychoseksualny“, wynikię stąd poczucie winy, i w rezultacie odrzucenie religii.

* * *

GRZYBY,

„RETINA“, „PROMINA“ i RAK.

Tradycyjna medycyna ludowa wielu krajów uważa grzyby za skuteczny środek przeciwrakowy. Jak w wielu wypadkach praktyk czy wierzeń ludowych i ten pogląd wydaje się mieć pewne uzasadnienie. W ostatnich kilku latach znany biochemik amerykański węgierskiego pochodzenia, laureat Nobla, A. Szent Györgyi, w swym laboratorium w Woods Hole Massachusetts wykrył, że wszystkie tkanki, zarówno roślinne jak i zwierzęce zawierają dwie substancje regulujące wzrost: jedną pobudzającą — „prominę“, i drugą opóźniającą — „retinę“. W normalnych tkankach jest zawsze więcej retiny, podczas gdy w tkankach schorzałych na raka dominuje promina. W doświadczeniach laboratoryjnych z myszami zastrzyki retiny uzyskanej czy to z wyciągów tkanek zwierzęcych, czy roślinnych, powodowały zanik nowotworów rakowych; zastrzyki prominy powodowały gwałtowny ich rozrost. Co więcej, wspólnie z dr. G. Fodor z Quebec (Kanada) udało się ustalić niezwykle trudną do wykrycia strukturę chemiczną tych substancji. Jest więc nadzieja, że niedługo będzie można produkować retinę syntetycznie, co — być może — doprowadzi do odkrycia skutecznego i nieszkodliwego dla organizmu lekarstwa przeciwrakowego. Pozostaje to jednak w dalszym ciągu sprawą przyszłości — może niedalekiej? Analizy wykazały, że małże (do których należą ostrygi), a zwłaszcza grzyby zawierają stosunkowo duże ilości retiny, a bardzo niewiele prominy. W 1 mm³ soku wyciśniętego z pieczarki (*Agaricus campestris*) znaleziono aż 3 „jednostki fizjologiczne“ retiny. W każdym razie, w nadchodzącym sezonie możemy bez obawy rozkoszować się smaczными grzybami: nie spowodują raka, i nie zaszkodzą — ale ostrożnie z trującymi! Życzymy Czytelnikom dobrego „grzybobrania“.

J. OSTR.

Notatnik kulturalny

niejako powszechny zjazd, na który złożyłyby się zjazdy we wszystkich ważniejszych środowiskach polskiej emigracji na różnych kontynentach. Stworzy to doskonałą okazję do przewarstwienia i zgromadzenia wszystkich czynnych sił polskich w celu zarejestrowania ich potencjału twórczego. Szczegóły techniczny realizacji tego projektu należą do powołanych czynników społecznych, kierowniczych i fachowych, idea sama jest dobrem ogólnym i wymaga uznania i poparcia.

Tytułem przykładu uczonych reprezentujących „nowy styl“, zanotować należy ostatnią wizytę w Europie prof. dr. Władysława J. Stankiewicza, z uniwersytetu Brytyjskiej Kolumbii w Vancouver (Kanada). Zdołał on w czasie tej wizyty wygłosić wykłady z dziedziny nauk politycznych na zaproszenie uniwersytetów w Liverpoolu, St. Andrews, Yorku, Hull, Reading, Londynie, Bolonii (Oddział John Hopkins University pod nazwą School of Advanced International Studies) i w Istambule, czyli Konstantynopolu. Zaproszenie do Uniwersytetu w Atenach nie mogło być wykorzystane z powodu ówczesnych wypadków politycznych w Grecji. Podobnego rodzaju ruchliwość spotyka się i wśród zasiedziały londyńczyków, jak u prof. dr. A. Laskiewicza, odbywającego w tym roku podróż na kontynent amerykański na międzynarodowy zjazd naukowy, lub u prof. T. Sulimirskiego, dziekana P.U.N.O., który niejednokrotnie już objeżdżał w sprawach badawczych Europę po obu stronach „żelaznej kurtyny“. Po wyspach Brytyjskich podróżuje prof. dr. Zofia Hołub-Pacewiczowa, która ostatnio na zaproszenie Uniwersytetu w Edynburgu wygłosiła gościnnie (jako „Visiting Professor“) na wydziale geografii cały cykl wykładów i była serdecznie podejmowana przez dziekana wydziału. Ukazanie się drugiej wielkiej książki angielskiej dr. A. Jordana pt. „The Evolution of Dialectical Materialism“ w wydawnictwie Macmillana daje sposobność do przypomnienia podróży jej autora z wykładami o filozofii polskiej na Uniwersytecie Harwardzkim w Cambridge (Mass.) pod Bostonem. Książka ta jest m.in. owocem tej podróży, po powrocie z której prof. Jordan objął wykłady na Uniwersytecie w Reading niedaleko Londynu. Z wakacyjnych wreszcie spotkań nadlemańskich wspomnieć należy kultuwującego ten nowy styl w swej pracy wieloletniego rektora Uniwersytetu Fryburskiego O. prof. I. M. Bocheńskiego, O.P., który w tym roku wybrał się po

raz 18-ty do Ameryki z wykładami. Wracając do osoby prof. Stankiewicza, to należy pamiętać, że jest on m.in. redaktorem pracy zbiorowej o „Kryzysie w rządzie brytyjskim i potrzebie jego reformy“. Polscy architekci mogli przed 20-u laty doradzać i projektować przebudowę Londynu, polscy uczeni wraz z obcymi mogą doradzać i projektować przebudowę rządu J.K.M. Kto wie, czy nie mogliby pomóc w rozbudowie organizacji nauki polskiej na emigracji, byleby zechcieli się do tego należycie zabrać!

DYSHARMONIA W MUZYCE: Polska muzyka współczesna przeżywa swój okres rozkwitu i rozgłosu. Nie za sprawą muzyków emigracyjnych, których jest tak mało i stosunkowo tak mało „zgranych“ organizacyjnie, i nie za sprawą samego Kraju, choć wydaje on raz po raz wspaniałe talenty kompozytorów. Po prostu nastał powiew zrozumienia dla polskiej muzyki potrochu na całym świecie. Wydobywa się z niepamięci i coraz bardziej docenia twórczość Karola Szymanowskiego. Uderza fakt, że do grania jego utworów radio brytyjskie ucieka się do pomocy... skrzypków czeskich i czeskich zespołów. Jakby nie było na miejscu tak świetnego odtwórcy, jak skrzypek Wacław Niemczyk.

Ale po to, aby swoje talenty popierać wśród swoich i obcych, polski świat muzyczny na emigracji musiałby być bardziej zwarty. Istnieje co prawda Zjednoczenie Polskich Artystów Muzyków, jednakże swoimi pociągnięciami organizacyjnymi nie zdołało ono zjednoczyć w swoim gronie najtęższych talentów. Zastug swoich Zjednoczenie może więc szukać w skupieniu w swoich szeregach ofiarnych melomanów, nie raz z wyższych sfer towarzyskich, jak również w krzewieniu polskiej muzyki wśród młodzieży muzycznej, odciągając ją w ten sposób od bardziej popularnych form muzyki. Wskrzęsa przy tym tradycje salonów artystyczno-literackich, które były już nieraz ostoją emigracji.

„Pasja św. Łukasza“ Pendereckiego jest utworem powstałym na zamówienie spoza Kraju, który z miejsca podbił sobie serca na szerokim świecie. Dostał się nie tylko do największych sal koncertowych, ale dzięki płytom długogrającym zawędrował pod „strzechy“ domów emigranckich. Podnosi on wszystkich na ducha i świadczy, że fala

(Dokończenie obok)

TAJEMNICA PAWŁA

BYŁ niepozorny i mały. Nosił zawsze szare ubranie i dlatego trudno było wyluskać go z tej szarości, nawet w pogodny dzień. Chodził ulicami niezauważony, jakby kryła go czapka-niewidka.

Na imię miał Paweł i był przyjacielem szkolnym mego brata Janusza. Siedzieli na jednej ławce i razem snuli plany na przyszłość. Właściwie plany robił Janusz, bo Paweł tylko kiwał głową, odzywając się rzadko i brat często żartował, że Paweł słowa cedzi i waży, jak złoto.

Przez kilka lat mieszkał u wujostwa, którzy przywieźli go z Rosji jako jedenastoletniego chłopca, ponieważ rodziców stracił podczas rewolucji, a po śmierci tych krewnych, utrzymywał się sam, dając lekcje bogatym nieukom i radził sobie zupełnie znośnie.

Po maturze — Janusz poszedł do wojska, a Paweł wyjechał na uniwersytet do Wilna, skąd po kilku miesiącach wrócił. Zaczął pracować w zakładzie fotograficznym, a studia odkładał z roku na rok. Koledzy doszli do przekonania, że prawdopodobnie zrezygnował, co Paweł potwierdzał dodając, że zamienił się w pospolitego zjadacza chleba, któremu wystarczy książka i jakaś — od czasu do czasu — rozrywka.

Lubił towarzystwo. Od kobiet jednak stronił, może dlatego, że nie był ani atrakcyjny, ani ciekawy i wręcz zaskoczył nas wszystkich, zaręczając się z Weroniką, moją nauczycielką muzyki.

Oboje należeli do tego typu ludzi, którzy w towarzystwie nie zwracali na siebie niczyjej uwagi i unikali ostentacji. W moim pojęciu tryb ich życia podobny był do zegara. Każdy dzień zaplanowany, każda godzina przeznaczona na takie, czy inne za-

twórczości natchnionej duchem religijnym wzbiera w Kraju, wbrew wszelkim reżymowym wysiłkom, i wylewa się szeroko na świat. Muzyka polska poza Krajem ma swe wielkie talenty kompozytorskie i odtwórcze, jak Palester czy Panufnik, Rubinstein, Małcużyński i inni, chyba jeden dr Halski by ich wszystkich wyciszył.

jęcia. Wydawało mi się, że żyją według narzuconego im regulaminu i dlatego zrodziło się we mnie podejrzenie, że coś ukrywają. Ale co?

Kiedy przyjeżdżał Janusz, zadreślałam go swoimi spostrzeżeniami, a on śmiejąc się mówił, że to są skutki niezdrowej lektury, albo mojej wybujałej fantazji. Uważał ich życie za całkiem naturalne.

— Paweł jest pedant, lubi spokój i „nie wadzi nikomu“ — kończył rozmowę.

Często sztydził i pytał, czy znalazłam wydawcę na swoją szpiegowską powieść. Potem wyjeżdżał, a mnie w dalszym ciągu trawiła niepokromiona ciekawość.

Spotykaliśmy się czasami u naszych wspólnych znajomych na brydżu. Siedząc na przeciwko Pawła — miałam pole do obserwacji. Gdy zdawało mu się, że nikt na niego nie patrzy — „modelował“ twarz, która zastygała, jak maska z gipsu. Kiedy wracała do życia — ruszał nosem, wykrzywił usta, dostawał nerwowego tiku w jednym oku, albo w drugim. Nawet wyraz oczu zmieniał na zawołanie. W jednej chwili z poważnych i zamyślonych, stawały się jasne i wesołe, przy czym twarz pozostawiał bez uśmiechu.

Nie mogłam zdecydować — komik czy artysta. Miałam ochotę powiedzieć Januszowi o tym, odkrytym u Pawła talencie aktorskim, ale bałam się kpin i dręczyłam się sama — nie wiadomo po co.

Na wieczorach naszego Kółka Literackiego, gdzie czytaliśmy swoje wiersze i artykuły, czy dyskutowaliśmy ostatnie nowości wydawnicze, Paweł najchętniej recytował. Sam nie pisał, ale chlubił się tym, że zna całe rozdziały z książek — i rzeczywiście — powtarzał je bez błędu. Chwilę popatrzył i całą stronę zapamiętał. Jak aparat fotograficzny — robił odbitek — w pamięci.

I tak żyliśmy w naszym uroczym mieście wesoło i prawie beztrudnie. Zimą urządzaliśmy kulig, śmigaliśmy na łyżwach po zamarzniętych wodach, chodziliśmy na bale i zabawy. Latem — kiedy wracała ze szkół młodzież i pensjonaty zapewniały się letnikami — gwar i ruch na jezio-

rach się wzmagał i zagajniki rozbrzmiewały śmiechami do późnej nocy. A po ostatnich pożegnaniach zapadaliśmy w ciszę przyczajonej jesieni, aż do śniegu. Potem oczekiwaliśmy karnawału i następnego lata.

Nagle wiosną, a był to rok 1939-ty, mieliśmy sensację, która tylko dlatego szybko poszła w zapomnienie, że niepokojące wieści przychodziły ze świata. Sensację, bo głównym aktorem był cichy, spokojny, niewchodzący nikomu w drogę — Paweł.

Gazety nadały niebywałą rozgłos tej awanturze. Nie tyle awanturze, co skandalu, który wybuchł w małej knajpce. Paweł wraz z kilkoma podejrzanyimi typami upił się i śpiewał „...eto budiet poslednij i resztytelnyj boj“... Właściciel wezwał policję, a oni zachowywali się bardzo wyzywająco i obelżywie wyrażali o Polsce. Poza tym wykrzykiwali pogroźki pod adresem polskiego rządu i wszczęli bójkę z policją. Aresztowano i oskarżono ich o przynależność do partii komunistycznej, a ponieważ stwierdzono, że Paweł obywatelem polskim nie był — został skazany na deportację tam — skąd przybył.

Potępiono go publicznie i wykreślono z listy przyjaciół i znajomych za to, że okazał się zmiąją, wyhodowaną na piersi i zdrajcą Tej, co przygarnęła go jak syna. Jednocześnie znikła bez śladu Weronika.

A nad Polską zbierały się chmury. Coraz częstsze prowokacje ze strony Niemców, zdarzały się na granicy Polski. Hitler domagał się „korytarza“ i Gdańska. Spodziewano się teraz ataku na Polskę — oczekiwano mobilizacji. Rozprawiano gorączkowo i odgrażano — niech przyjdzie i przekona się, że jesteśmy „silni, zvarci, gotowi“. Dziś to wytarty banał, ale wówczas był hasłem i wiarą we własne siły.

Nawet sezon wakacyjny nieabrał zwykłego rozpędu tego roku. Wszyscy czekali na burzę. Pod koniec sierpnia Janusz dostał kartę mobilizacyjną i w bardzo bujczącym nastroju, wpadł do domu. Obiecywał prezenty z Berlina i tym ra-

(Dokończenie na str. 38)

złem już nie kpił ze mnie, a radził zapisywać wszystko dokładnie. Płaczącą mamę pocieszał, że za miesiąc, po skończonej wojnie, wróci.

Potem wypadki potoczyły się tak szybko, że nie było czasu na zapiski. Ewakuowano mnie z urzędem pod Baranowicze, gdzie dobiła nas wiadomość o przekroczeniu wschodniej granicy przez czerwoną armię.

I właśnie tam, ostatniego dnia przed powrotem do domu, zobaczyłam Weronikę. Może przesłabym obok niej bez słowa, ale odezwała się pierwsza, że ma dla Janusza polecenie od Pawła.

Zaskoczona niespodziewaną wiadomością oświadczyłam, że Janusz jest na wojnie i nie wiem, kiedy go zobaczę. Powierzyła mi wtedy tajemnicę Pawła, którą miałam przekazać bratu. Tajemnicę życia — po jego śmierci.

— Paweł nie był zdrajcą — mówiła Weronika.

Przez trzy lata nauczył się wielu rzeczy, które miały mu przydać się w życiu, po tamtej stronie. Umiał zmieniać nie tylko swoją powierzchowność, ale charakter także. Miał mnóstwo zawodów, doskonałą znajomość chemii fotograficznej, znał wszystkie możliwe sposoby nawiązania łączności, a pamięć tak wyćwiczoną, że nigdy nie potrzebował nic zapisywać. Przy tym wiedział, że gdy zniknie za zakrętem pociąg, który przywiezie go do granicy, i gdy po tamtej stronie nie uwierzą, że jest komunistą i dlatego został wysiedlony — czeka go zapewne więzienie, albo i śmierć...

Weronika przez kontakty z przemytnikami dowiedziała się, że zwłoki Pawła leżały — jakby na pokaz — przez cały dzień. Znikły dopiero nocą. Nie uwierzyli.

Skrzywdziliśmy Pawła, obwołując go zdrajcą — ale skąd mogliśmy wiedzieć?

Zginął, zanim rozpoczęła się wojna. Bezimienny żołnierz, któremu nie udało się wypełnić zleconego zadania.

Janina Orłowska

NAJLEPSZA FREŚC
ZA NAJLEPSZĄ CENĘ!
PRENUMERATA „ORŁA BIAŁEGO“
TYLKO £.2.2.0 ROCZNIE!

PROFESOR TYTUS KOMARNICKI

Z szeregów naszych, walczących o wolność i niepodległość Polski, ubył żołnierz wybitny, zasłużony i waleczny.

S.p. prof. Tytus Komarnicki wyróżniał się zarówno rzadko spotykaną wybitną, bystrą i gruntowną zarazem inteligencją, jak też niepospolitą wytrwałością — zajądłością chciałoby się powiedzieć — w pracy dokładnej i ofiarnej — przedzierającej się przez wszelkie trudności i przeszkody ku wytkniętemu przez umysł celowi. Połączenie tych wybitnych zdolności z hartownym i odpornym na wszelkie trudności i niebezpieczeństwa charakterem, pozwoliły mu w służbie gorąco umiłowanej objąć i zaznaczyć się wybitnie na wszystkich polach w swej wszechstronnej działalności.

Urodzony w Warszawie, 15. stycznia 1895 r. po ukończeniu studiów prawno-historycznych na Uniwersytecie warszawskim, uzyskuje tytuł doktora praw na Uniwersytecie w Paryżu. Wstępując do służby zagranicznej już w końcu 1920 r., zajmuje szereg coraz odpowiedzialniejszych stanowisk w centrali M.S.Z. i na placówkach zagranicznych. Berlin, Watykan, Haga, Sekretariat Generalny Delegacji Polskiej na Konferencję Rozbrojenia w Genewie — pozwalają mu na ostateczne pogłębienie swej kultury politycznej i wszechstronne zaznajomienie z różnymi aspektami sytuacji międzynarodowej. W końcu 1934 roku obejmuje jako minister pełnomocny jedną z najbardziej odpowiedzialnych i eksponowanych placówek dyplomacji polskiej, mianowicie delegację R.P. przy Lidze Narodów, którą kieruje aż do schyłku 1938 roku. Niejednokrotnie zastępuje ministra spraw zagranicznych, zasiadając w Radzie Ligi Narodów i biorąc udział w obradach Zgromadzenia Ligi. Zabłysnął wtedy w pełni nie tylko zaletami swady i argumentacji w dyskusji na wysokim nieraz poziomie napięcia politycznego, jak i połączoną ze zręcznością uporczywą obroną poruczonych jego pieczy też ówczesnej polityki polskiej. Mianowany Posłem R.P. w Bernie, gdzie zastaje go wybuch Drugiej Wojny Światowej, reprezentuje tam do końca kwietnia 1940 roku sprawę rozgromionej przez Hitlera i Stalina Polski, jedyną dla niej szerokie koła opinii szwajcarskiej. Z wyjazdem do Francji kończy się właściwa — błyskotliwa, lecz zbyt krótka — kariera dyplomatyczna tak wytrawnego i wnikliwego znawcy stosunków międzynarodowych. Mianowany został wprawdzie przez rząd polski w Londynie Posłem R.P. w Hadze i odwiedził nawet po wojnie oswobodzoną z okupacji niemieckiej Holandię, lecz cofnięcie uznania dla legalnego rządu polskiego przez wiaro-

łomnych jego sojuszników nie pozwoliło mu już na objęcie tej placówki.

Zaczyna się zupełnie nowy okres życia Tytusa Komarnickiego, jak i tyłu innych jego rodaków. Inauguruje go wykonanie obowiązków Delegata Rządu w Londynie na okupowaną Francję w ciągu 1943 r. Kończy tę z ciągłym narażeniem życia pełnioną funkcję nielegalne przekroczenie Pirenejów, a następnie przyjazd do Londynu.

Na terenie londyńskim Tytus Komarnicki bierze wybitny udział w pracach organizacyjnych i politycznych polskiego obozu niepodległościowego. Zasiada we władzach naczelnych Ligi Niepodległości Polski i reprezentuje ją do niedawna w Radzie Jedności Narodowej, gdzie wygłasza szereg nieraz świetnych przemówień na temat sytuacji międzynarodowej. Lecz punkt ciężkości jego zainteresowań przesuwa się coraz bardziej ku działalności naukowej, badawczej w szczególności. Habilituje się i wygłasza szereg wykładów zarówno w polskiej Szkole Nauk Politycznych i Społecznych w Londynie, jak i na Akademii Prawa Narodów w Hadze (po angielsku) oraz na Institut des Hautes Études Internationales w Paryżu (po francusku). Ogłosił drukiem szereg rozpraw z dziedziny prawa międzynarodowego i historii dyplomacji po polsku, francusku i angielsku. Z olbrzymią wytrwałością i w trudnych warunkach, kierując badaniami polskiego Ośrodka Naukowego, a następnie Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego — wydaje po angielsku dzieło traktujące o odrodzeniu Państwa Polskiego po pierwszej wojnie światowej, pt. „Rebirth of the Polish Republic“, które stanowić będzie ważną i nieodzowną pozycję dla badaczy tego okresu i tego zagadnienia. Drugi tom obejmujący okres od Traktatu Wersalskiego po rok 1933 nie ukazał się jeszcze na półkach księgarskich. Pochłonięty jest jednocześnie wydaniem wymagającego niezwykle pieczołowitości „Diariusza i tek Jana Szembeka“ (przed wojną kilkuletniego podsekretarza Stanu w M.S.Z.), zaopatrując go w znakomite i nieodzowne komentarze i przypisy, stanowiące chlubny przykład sumienności i uczciwości intelektualno-badawczej. Nie doczekał się wydania trzeciego tomu „Diariusza“.

Ostatnim jego, jeśli się nie mylę, osiągnięciem był wydany drukiem przez Komitet uczczenia setnej rocznicy urodzin Marszałka Piłsudskiego odczyt pt.: „Józef Piłsudski i polska racja stanu“, stanowiący świetną w swej zwięzłości i

(Dokończenie obok)

Orzeł Biały, październik, 1967

ŚP. ADOLF FERLA

Śmierć ma tysiąc drzwi, którymi życie uchodzi...“ Jednymi z nich uszło 8 września w Londynie życie prof. Adolfa Fierli, Polaka o gorącym sercu, poety o szczerym talencie, pedagoga o wielkim umiłowaniu naszej młodzieży.

Zmarł w 59 roku życia, nagle, w pełni swych życiowych poczyni. Syn Ziemi Śląskiej — urodził się w Orłowej na Zaolziu — pozostał jej wierny przez cały czas swego utrudzonego żywota, choć „szczęścia nie znalazł w domu, bo go nie było w ojczyźnie“ i żyć mu wypadło z dala od niego. Za tę miłość za-

przejrzystej formie syntezę znaczenia historycznej postaci Piłsudskiego.

Jestem głęboko przekonany, że jeśli by nawet wykreślić z życia Tytusa Komarnickiego cały świetny przecież przebieg jego służby dyplomatycznej — to jego wysiłek naukowo-badawczy na emigracji w obronie tej samej sprawy, której służył jako dyplomata — wystarczyłby zupełnie, by mu zapewnić głęboki szacunek i uznanie współczesnych, a wdzięczną pamięć tych, którzy po nas nadal będą służyli Ojczyźnie.

Najpiękniejszą spuścizną po Tytusie Komarnickim jest jednak postawa jego jako człowieka w obliczu życia i śmierci. Od długich lat znajdując się pod groźbą nieznaną pardonu choroby, uczynił z niej nie hamulec, lecz bodziec do tym bardziej wyteżonych, z pasją wykonywanych i wytrwania nie znających wysiłków nad osiągnięciem postawionych sobie trudnych i żmudnych zadań, nim pasmo jego życia zostanie przerwane. Ta piękna i waleczna postawa budziła podziw, szacunek i serdeczne przywiązanie jego bliźszych i dalszych przyjaciół. Trzeba mocno ukochać to co się robi i to, w imię czego się pracuje — żeby się na nią zdobyć. Wyraziła się tu głęboka religijność Tytusa Komarnickiego, wierzącego żarliwie, po katolicku.

Toteż myślę, że mogę w imieniu przyjaciół z wielkim żalem i głębokim smutkiem szkicując tu życie Tytusa Komarnickiego, złożyć hołd bardzo drogiej pamięci mego długoletniego serdecznego przyjaciela i wyrazić naszą wdzięczność, że zostawił po sobie w sercach naszych nie tylko bolesne wspomnienie, ale i krzepiącą świadomość, że miłość silniejsza jest od śmierci. —

K. Trębicki

placił drogo, bo piekłem niemieckich obozów koncentracyjnych.

Jak gdyby idąc za przewodem mickiewiczowskiej maksymy, że „w słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę“ — prof. Fierla przez całe życie pozostawał w słuźbie słowa i czynu. W Jego różnorodnej, barwnej twórczości obok pierwiastka regionalnego, który był mu nigdy nie wysychającym źródłem inspiracji, płynie głęboki nurt patriotyzmu i religijności. Żył bowiem w czasach, w których zagrożony śmiertelnie byt narodu zależał od tych dwu wielkich sił poruszających życie człowieka.

Potrafił jednak prof. Fierla odrywać się od swego umiłowanego rzemiosła pisarskiego i oddawać swój czas i energię życiu praktycznemu, które Go wciągało, jak wielu z nas, niemal siłą. Stąd Jego ogromnie pożyteczna praca pedagogiczna, stąd Jego działalność na rzecz Polskiego Zboru Ewangelickiego, dla którego położył niespożyte zasługi. Był wielkim przyjacielem młodzieży. Natchmiast po wyjściu z obozów koncentracyjnych obaj z bratem Władysławem, obecnie biskupem ewangelickim w Londynie, podążyli do 2 Polskiego Korpusu we Włoszech. Brat zajął się z niezwykłą energią organizowaniem duszpasterstwa ewangelickiego, zaś śp. Adolf, niepomny kruchego jeszcze zdrowia, z miejsca poświęcił się wychowaniu młodzieży, podejmując obowiązki polonisty w Gimnazjum w Porto San Giorgio. Uczyl również w tym kraju, dopóki istniały polskie szkoły.

Odprowadziło Go na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarz St. Marylebone liczne grono tych, którzy Go znali, lubili i cenili.

A. Cz.

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE 5 KRE-SOWEGO BAONU C.K.M. 1942-1967. Jednodniówka Koła Żołnierzy 5-go Kresowego Baonu C.K.M., Londyn, 1967, stron 42.

Zawiera listy, życzenia dla Koła baonowego oraz materiał historyczno-wspomnieniowy żołnierzy Batalionu. Program obchodu 25-lecia. Wiele fotografii ze szlaku bojowego i życia emigracyjnego.

Książki nadesłane D.I.C

Tytus Komarnicki: JÓZEF PIŁSUDSKI I POLSKA RACJA STANU. Londyn, 1967. Wydawnictwo Komitetu Uczczenia Rocznicy Urodzin Józefa Piłsudskiego. Stron 20.

Wacław Chocianowicz: DZIEJE 1. PUŁKU ARTYLERII LEKKIEJ LEGIONÓW JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO. Londyn, 1967. Stron 590. Liczne szkice i fotografie. Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie.

ALBUMY HISTORYCZNE, w opracowaniu Barbary Mękarskiej-Kozłowskiej, seria I. Zawiera 7 albumów: 1) Na polach bitew, 2) Pod dachem, 3) Na kresach, 4) Z biegiem Odry, 5) Nasze znaczki, 6) Polskie orły, 7) Akademia krakowska. Wydawnictwo Skarbu Narodowego Zjednoczenia. Seria II. w przygotowaniu.

THE POLISH REVIEW, vol. XII, No 2, Spring, 1967. Kwartalnik wydawany przez Polish Institute of Arts and Sciences in America. Zeszyt zawiera: Wacław Lednicki — The role of the Polish Intellectual in America; Maria Starczewska — The historical geography of the oldest Polish settlement in the United States; Priva B. Gross — Some aspects of medieval church architecture in Poland; Peter Brock — A pacifist in wartime; Wojciech Bogumił Jastrzębski; Henry G. Weissen — Polonophilism and the British working class, 1830-1845; Richard Lourie — A context for Tadeusz Różewicz; Catherine Leach — Remarks on the poetry of Tadeusz Różewicz; Tadeusz Różewicz — A tale of old women; Letters to the Editor.

Marie Rydyński: YOUNG THOUGHTS. Wyd. Vantage Press, New York — Washington — Hollywood, 1967, str. 63. Zbiór wierszy młodej poetki polskiej, zamieszkałej w Stanach Zjednoczonych, piszącej w języku angielskim.

ZESZYTY HISTORYCZNE, zeszyt dwunasty, Paryż 1967, stron 240, zawiera: Piotr Wandycz: Z zagadnień współpracy polsko-ukraińskiej w latach 1919-1920. Tadeusz Nowacki: Ludowe Wojsko Polskie (dok). Z. S. Siemaszko: Retinger w Polsce w 1944 r. Mieczysław Młotek: Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich (dok). Wspomnienia: Józef Jaklicz, Stanisław Kot, Tadeusz Nowacki, Stanisław Lubodziecki, Stanisław Żochowski. Recenzje i polemiki. List do redakcji.

Dr Stanisław Skrzypek: UKRAIŃSKI PROGRAM PAŃSTWOWY NA TLE RZECZYWISTOŚCI. Wydanie drugie. Wydawnictwo Koła Lwowian, Londyn, 1967, stron 104.



Świat się śmieje

Ochotnik

Dowódca: A więc to wy jesteście tym żołnierzem, który wystąpił krok naprzód, kiedy szef kompanii zapytał, kto chciałby podjąć się na ochotnika niebezpiecznego zadania? Żołnierz: „To nie ja wystąpiłem o krok naprzód, to kompania cofnęła się o krok w tył“.

Kuracja

„Proszę się przyznać — ile papierosów wypala pan dziennie?“ — lekarz pyta pacjenta. „Trzydzieści“. — „To niedobrze, szanowny panie dla pańskiego zdrowia radzę palić jednego papierosa po każdym posiłku“. W trzy miesiące pacjent jest ponownie u lekarza. — „No, posłuchał pan mojej rady i stwierdzam wielką poprawę“. — „Tak — zauważył pacjent — ale gdyby pan doktor wiedział, ile to kosztuje jeść trzydzieści razy dziennie!“

Piotruś

„Nie, Piotrusiu, nie pozwolę ci na bawienie się młotkiem, bo wiem czym się to skończy; stłuczysz sobie paluszek“. — „Mamusiu, nie bój się, nie zrobię sobie nic złego, bo gwóźdź będzie trzymała ta mała dziewczynka z sąsiedniego domu“.

Słabość

„Wychodząc po ceremonii ślubnej z kościoła, panna młoda zwraca się do swego nowoposiłubionego męża: „Przyznaj się teraz, dlaczego ożeniłeś się ze mną?“ — „Bo zawsze miałem słabość do mężatek“.

O zgodzie

Bernard Shaw: „Zgoda małżeńska przestaje istnieć, gdy pies zaczyna nosić mężowi pantofle, a żona szczeekać“.

Aby modlitwa była wysłuchana

Mały Jaś na tydzień przed Bożym Narodzeniem odmawia modlitwy niezwykle głośno: „... i przynieś mi samochód, ubranie kowbojskie i piłkę“ — „Dlaczego krzyczysz tak Jasiu — pyta mama — przecież św. Mikołaj nie jest głuchy?“ — św. Mikołaj nie — odpowiada Jaś — ale dziadzio jest głuchy“.

Studia

Mąż przy stole do żony: „Wiedziałem, że przerwałaś swoje studia, ale nie wiedziałem, że to była sztuka gotowania“.

Cudze światła

Komediodpisarz Marcel Achard: „Cudze błędy są jak światła samochodu w nocy: oślepiają bardziej od naszych“.

Uprzejmość wieśniacza

Automobilista przejeżdżając przez jakąś wioskę, potrafił kurę. Nie namyślając się wiele chwytła mocno poturbowanego ptaka i pakuje go do bagażnika swego wozu. W tym momencie zjawia się wieśniak i mówi: „Czemuż pan mnie nie zawiadomił, że zabiera moją kurę do szpitala?“

Cudowny staw

Pewien letnik podąża z wędką na ramieniu w stronę stawku w pobliżu willi, w której zamieszkał. Po drodze spotyka sąsiada farmera. — „Czy, można łowić ryby w tym stawku?“ — „Naturalnie“ — odpowiada farmer. — „A więc nie popełnię żadnego przestępstwa, jeśli złowię rybę?“ — Na pewno nie, ale zrobi pan cud“.

Minus koń

Turysta oglądając pomnik jakiegoś bohaterskiego wodza w małej miejscinie: „Bardzo ładny pomnik, tylko ten

wasz bohater jest w jakiejś dziwnej postawie“. Przewodnik wyjaśnia: „Artysta rzeźbiarz wykonał już pomnik kiedy rada miejska uchwaliła, że z braku funduszy nie będzie konia“.

Okoliczności łagodzące

„Przed wydaniem wyroku — mówi sędzia — chciałbym zapytać pod sądne go, czy może przytoczyć jakieś okoliczności łagodzące?“ — „Tak! Wysoki Sądzie — odpowiada oskarżony — byłem skazany dwadzieścia razy i nie siedziałem ani razu“.

Żony

„Mam wspaniałą żonę — mówi żonkoś do swego przyjaciela — kiedy wracam z biura ma w pogotowiu moje pantofle“.

Myśl

Gdyby was kiedy ogarnął smutek za utraconą młodością, wtedy pomyślcie o algebrze.

Rocznica

Ona: Czy pomyślałeś o tym, jak moglibyśmy uczcić nasze srebrne wesele?

On: Tak. Co byś powiedziała, gdybyśmy uczcili je minutą milczenia?

Po wakacjach

Dwaj przyjaciele wspominają swoje urlopy. — Wiesz, byłem w pensjonacie, w którym płaci się za dzień pobytu 10 funtów“. — „Jak długo zatrzymałeś się tam?“ — „Dziesięć minut“.

Różnica

Jaka jest różnica między bogatym a ubogim kretynem? — Nie ma żadnej różnicy, obaj są kretynami. — O, nie! Bogaty kretyn jest bogaczem, a ubogi kretyn jest kretynem.

Z dowcipów warszawskich

(FEI) Cztery typy dygnitarzy partyjnych:

1. rycerski — zakuty łeb,
2. hiszpański — który z byka spadł,
3. rządowy — ja cię urządzę,
4. strip-tease — ja ci pokażę.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Oddział Redakcji we FRANCJI: „Syrena“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, Editions ELKA S.A.R.L. c/c p. No. 5507-30 Centre Paris, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.); w BELGII: J. Korab Bzozowska-Csáky, 19, Rue Amédée Lynen, apt. 67, Bruxelles 3, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikieciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; w WŁOSZECH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNIE: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — włącznie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

GŁOSA DO GŁOSY

Do Redaktora „Orla Białego“!

Czesław Jeśman w „Głosie do Pawlikowskiego“ („Orzeł Biały“, Nr 31 z lutego 1967 roku), rozpoczął recenzję książki „Wojna i Sezon“ od własnych wspomnień „cytowanych na wrywki“. Już pierwsze wspomnienie dotyczące śmierci ppor. Bohdana Węclawowicza nasuwa dużo wątpliwości i niesłaby wymaga sprostowania. Jeśman podaje, że Bohdan Węclawowicz został „na siłę“ wpakowany do ulanów Kuncmana (7-y pułk ulanów III-go Polskiego Korpusu Wschodniego) przez stryjeczną babkę Jeśmana, zwaną w rodzinie „ciotką Rachelką“, oraz że później został obdarty ze skóry przez bolszewików pod Niemirowem. Słusznym byłoby tu dodać, że „ciotka Rachelka“, z domu Jeśmanówna, była wprost rodzoną matką Bohdana Węclawowicza. Nie miała jednak potrzeby pakowania syna swego „na siłę“ do 7-go pułku ulanów, gdyż sprawa formowania pułku zdecydowaną była wcześniej i na całkiem innym poziomie, mianowicie przez oficerów i szeregowych Polaków z 11-tej Dyw. Kawalerii oraz 2-iej Dyw. Kirasjerów Gwardii armii rosyjskiej w drugiej połowie 1917 roku. W pułku zaś dragonów Ryskich z 11-tej Dywizji Kawalerii służyli wówczas w randze podporuczników Bohdan Węclawowicz i jego kuzyn, obecnie mieszkający w Londynie ppłk. Otton Węclawowicz. To chyba wystarczy. Stwierdzam jednocześnie, że żaden z 8-u oficerów 7-go pułku ulanów, zabitych pod Niemirowem nie został obdarty ze skóry, natomiast wszyscy zostali doszczętnie obrabowani, co było zresztą procederem stale praktykowanym przez obdartusów z armii rewolucyjnych. Zabici oficerowie i ulani pochowani zostali później we wspólnym grobie w Niemirowie.

Nawiasem muszę też dodać, iż dziwnym wydaje mi się stosunek Jeśmana do korporacji Polonia, członkowie której walczyli i ginęli licznie w obronie ojczyzny, zaś jednym z nich był właśnie filister Polonii i stryjeczny wuj Jeśmana, Bohdan Węclawowicz.

Co do właściwej recenzji książki M. K. Pawlikowskiego „Wojna i Sezon“, to niektóre uwagi Jeśmana są dość ciekawe. W pewnym wypadku nie zgadza się z Pawlikowskim, że „w Mohylewsku gromiono dwory na potęgę“, podając że trzy dwory krewnych Jeśmana nie zostały rozgromione, stwierdzając jednak jednocześnie, że w jednym tylko powiecie bychowski ucierpiało około pół tuzina dworów. Tu należy się chyba zgodzić z trafnością powiedzenia, że „własna koszula jest najbliższą ciałą“, co widocznie przeważało w rozumowaniu recenzenta. Poza tym Jeśman daje różne tytuły książce Pawlikowskiego: raz jest to „Wojna i Sezon“ zaś innym razem „Rewolucja i Sezon“.

Na ogół, jeśli chodzi o te „wspomnienia“ z 1917 roku, wydaje mi się że Jeś-

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

Zbigniewa Grabowskiego

B.D.I.C.

OJCZYŻNA EUROPA

Niezwykle interesująca książka o 14 krajach kontynentu europejskiego. Wizerunek Europy powojennej, skreślony przez wrażliwego obserwatora, podróżnika, doskonałego znawcę jej historii i kultury.

Cena: £ 2.10.0

Str. 484

Skład główny:

GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.,
20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

Do nabycia w księgarniach polskich.

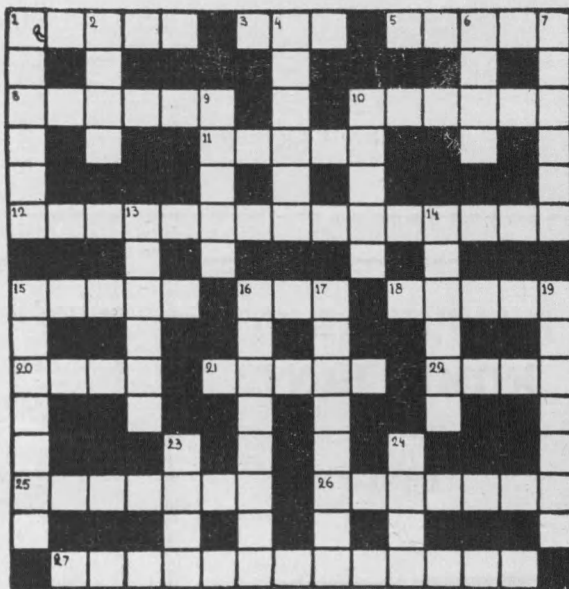
NIE POŻYCZAJ... NUMERU „ORŁA“, RACZEJ
PRZYŚLIJ ADRES ZNAJOMEGO (a my mu dostarczymy każdy numer)

KRZYŻÓWKA Nr 597/67

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) Ordonka; 3) i 16) narzędzie górnicze; 8) schronienie mahometa; 10) często jest kością niezgody wsi; 11) chętny; 12) Ziemia Obiecana (4, 11); 15) i 18) herbu Zerwikaptur. 20) stamtąd najbliższej do Sfinksa (wspak); 21) światelko; 22) czystka; 25) zamieszanie; 26) Indianin (wspak); 27) w Grecji symbolizowała je Mojra.

Pionowe: 1) glos niezadowolenia?; 2) i 6) dla niektórych to samo co 12) poziomo; 4) gimnastyczne ptaki?; 7) dawna republika morska na południu Włoch; 9) ementarz w Wilnie (wspak); 10) dzieło Pascala; 13) tragiczny w konsekwencjach dla Paryża; 14) niedołężny podarek?; 15) przegrana; 16) biskup z Hippony; 17) jego tytuł, jego ojca i syna; 19) dziewczyna Prusa?; 23) i 24) coraz inaczej.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 596/67

Poziome: 1) i 5) konszachty, 3) i 16) glusza, 8) rwtes, 10) klusak (wspak), 11) osika, 12) piękne za nadobne, 15) kakał, 18) żniwo, 20) lico, 21) Hades, 22) tort, 25) Prystor, 26) Dalibóg, 27) czarna godzina.

Pionowe: 1) prorok (wspak), 2) i 6) niechluj, 4) łacina, 7) edykty (wspak), 9) sobek, 10) katar, 13) kłopot, 14) ornaty, 15) Kaliopa, 16) szafarka, 17) abecadło, 19) ostrogi, 23) Styr, 24) ślaz.

man czerpał wiadomości z tzw. „drugiej ręki“, co chyba też potwierdza wiek autora. Ujemnie to wpłynęło na treść, mimo bezsprzecznego talentu piszącego.

Andrzej Węclawowicz
Szwecja

KSIEGARNIA S.P.K.

20, Queens Gate Terrace,
London, S.W. 7.
Tel: 584 3500

BIEGAŃSKI ST. (redakcja) — Działania 2 Korpusu we Włoszech, Tom I.	63s
WAŃKOWICZ M. — Było to pod Monte Cassino (reportaż)	7/6
WAŃKOWICZ M. — Bitwa pod Monte Cassino, Tom II.	10s
WAŃKOWICZ M. — Bitwa pod Monte Cassino, Tom III.	10s
JAMAR K. — Śladami gąsienic Pierwszej Dywizji Pancерnej	10/6
Drogi cichociemnych — Spadochroniarze Armii Krajowej	36s
Polscy Spadochroniarze — pamiętnik żołnierzy	15s
SOSABOWSKI ST. — Najkrótszą drogą. Pierwsza Polska Brygada Spadochronowa ...	30s
Wykonać „4444“ — Walki Pierwszej Dywizji Grenadierów we Francji w 1940 roku ...	35s
Nasza Droga — 2 Dywizja Strzelców Pieszych, Francja — Szwajcaria, 1939—1945 ...	60s
CHOCIANOWICZ W. — Dzieje Pierwszego Pułku Artylerii Lekkiej Legionów Józefa Piłsudskiego	63s
KRZECZUNOWICZ K. — Ułani Księcia Józefa — Historia 8 Pułku Ułanów Ks. J. Poniatowskiego, 1784—1945	52/6
BIELATOWICZ J. (redakcja) — Ułani Karpaccy — Zarys historii pułku	60s
BÓR-KOMOROWSKI T. — Armia Krajowa	45s

KALENDARZYK KOMBATANTA na rok 1968

★

najtańszy i najpraktyczniejszy
podarek świąteczny dla każdego

zawiera kilkaset adresów
organizacyj oraz instytucyj
polskich w świecie

u k a ż e s i ę
w l i s t o p a d z i e

BIBLIOTEKA „KULTURY“

„Zeszyty Historyczne“ ZESZYT DWUNASTY

Lipiec 1967

zawiera m.in. prace:

P. Wandycza: Z zagadnień współ-
pracy polsko-ukraińskiej w la-
tach 1919—1920.

T. Nowackiego: Ludowe Wojsko
Polskie (dok.).

Z. S. Siemiaszki: Rettinger w Pol-
sce w 1944 r.

M. Mlotka: Samodzielna Brygada
Strzelców Karpackich (dok.).

J. Jaklicza: 17 września 1939 r.
w Sztapie Naczelnego Wodza.

Str. 240. Cena: dol. 3.00, 22sh.

BIBLIOTEKA „KULTURY“

BORYS PASTERNAK

DOKTOR ŻIWAGO

NOWE

wydanie głośniejszej powieści

•

Przekład

PAWŁA HOSTOWCA

•

Str. 544.

Cena: dol. 5.50

sh. 38/6